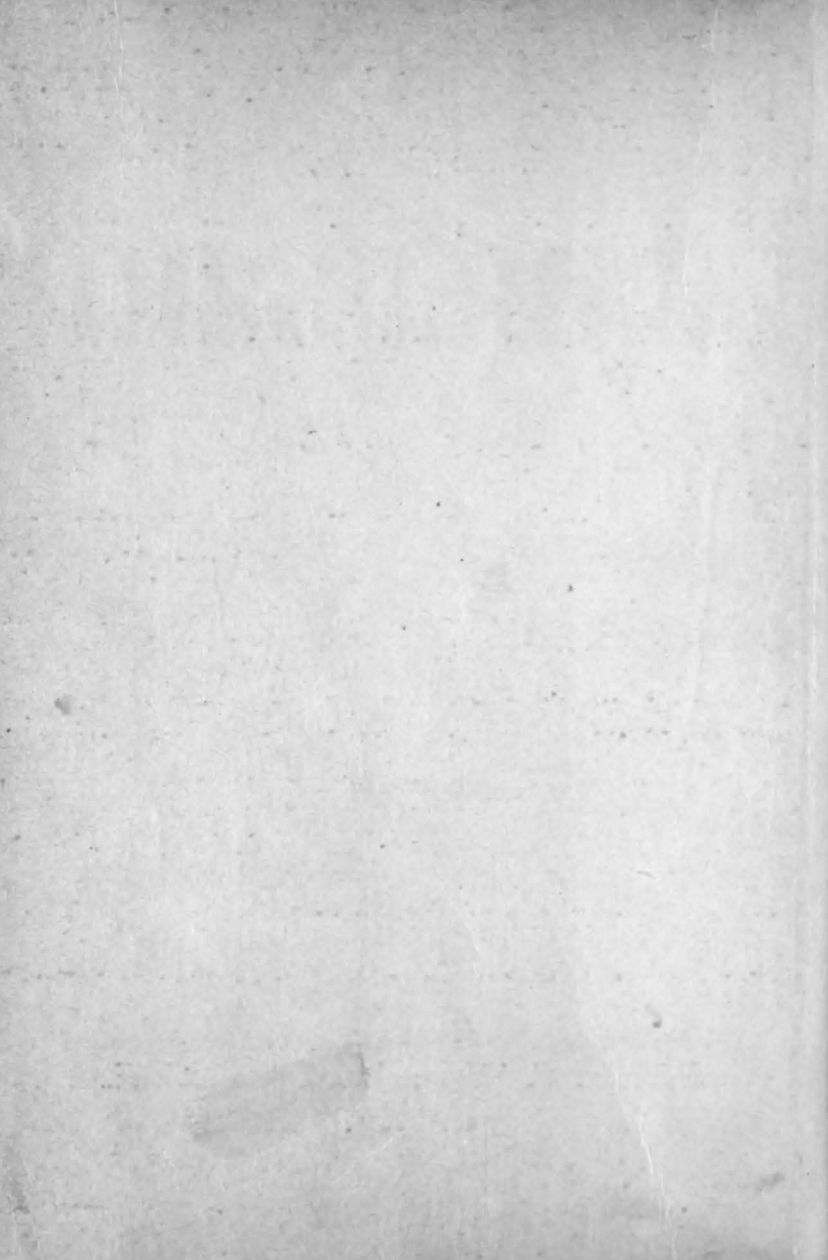


S E R G I U S Z P I A S E C K I

JABŁUSZKO



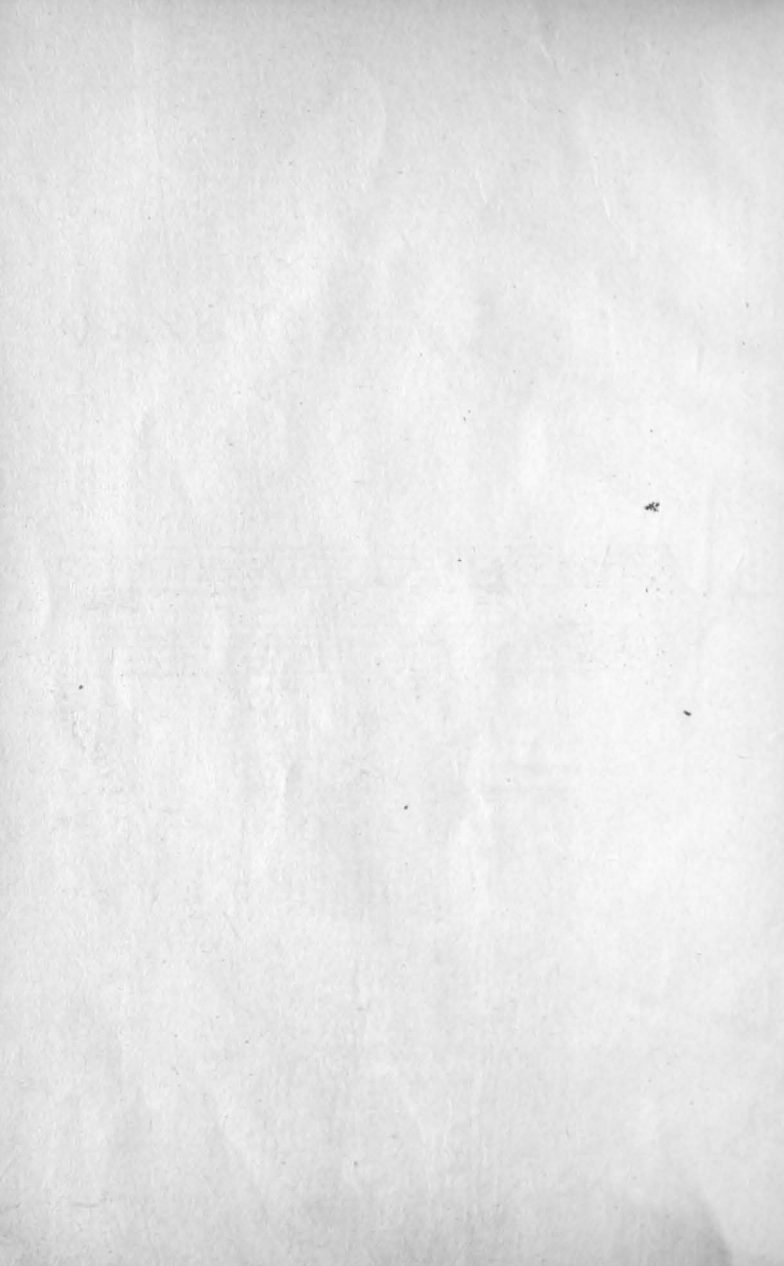
I N S T Y T U T L I T E R A C K I
R Z Y M 1946



JABŁUSZKO



„ H A N U L C E “



S E R G I U S Z P I A S E C K I

JABŁUSZKO



I N S T Y T U T L I T E R A C K I
R Z Y M 1 9 4 6

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603802

—
PRINTED IN ITALY
—



1.574.625.

EGZ. ARCHIWALNY

19470. 132 / 3

*Kto z was bez grzechu jest, niech
na nią pierwszy rzuci kamień.*

Ewangelia Św. Jana VIII, 7.

W powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” zobrazowałem życie przemytników. W powieści „Piąty etap” i „Bogom nocy równi” — pracę szpiegów wojskowych na terenie Rosji. W powieści „Jabluszek”, „Spójrzę ja w okno...”, „Nikt nie da nam zbawienia...” zaprezentuję świat przestępców zawodowych. Aby nie być — jak poprzednio — fałszywie zrozumianym daję krótki wstęp.

Te trzy powieści — tak jak i poprzednie nie są amoralne. Kiedyś napiszę o tym. Może pewni ludzie pokuszą się by nazwać je akademią przestępstw. W tym wypadku ja nazwę je — akademią zwalczania przestępstw i przestępców zawodowych przez poznanie ich życia, zwyczajów, „filozofii”, praw, „etyki” i metod pracy... Przestępcy zawodowi o „frajerach” wiedzą wszystko. „Frajerzy” o nich mało. Przestępcom moje książki są zbędne. Psychologów, kryminalogów nauczą wiele.

Powieści te są: 6, 7 i 8-mą z rzędu. 2-giej p. t. „Żywot człowieka rozbrojonego” i 4-tej — „Droga pod mur” nie wydam jeszcze przez dłuższy czas ze względów „egoistycznych”.

„Jabluszek” pisałem za czasu okupacji niemieckiej na Wileńszczyźnie, w różnych okresach czasu — od roku 1941 do 1944. Skończyłem w styczniu 1944 r. Czasem urywałem pisanie w połowie zda-

nia i nie wracałem do pracy wiele miesięcy z powodów ode mnie niezależnych. Drugą powieść p. t. „Spojrzę ja w okno...” napisaną w 3/4-tych, przerwałem 30 maja 1944 roku. Ponieważ chcę „odrzucić” ten temat skończę obecnie powieść „Spojrzę ja w okno” i napiszę „Nikt nie da nam zbawienia”.

Powieści te obejmują okres od wczesnej wiosny 1918 roku, po koniec lata 1919. Tło ich: Mińsk Litewski, który koncentrował wówczas życie dawnego imperium rosyjskiego i... Europy. Miasto stanowiło centrum walczącej Europy. Przeżyło okupację niemiecką i bolszewicką. Jest tu analogia do okresu okupacji niemieckiej i bolszewickiej w obecnej Polsce.

Bohater powieści, Aleksander Baran, to postać autentyczna. Pochodził z Wilna i takie miał nazwisko. Został rzeczywiście rozstrzelany latem 1919 roku w Mińsku na Komarówce. Paulinka Churdziaczówna istniała również, lecz nazywała się Zapolska i pochodziła z Wilna. W roku 1921 odnalazłem tam jej rodzinę.

Meliny, złodzieje — są przeważnie autentyczni. Przygody w 50 % rzeczywiste. Jest tam sporo fantazji, lecz nie ma nic z próżni. Wszystko powstało z czegoś co przeżyłem w więzieniach lub na wolności.

Pisałem te powieści, chcąc pomóc ludziom w poznaniu ich braci z marginesu życia i pomóc tym wydziedziczonym przez Los nieszczęśliwcom, przez zobrazowanie tragizmu ich życia.

Tytuły powieści są słowami pieśni. „Jabluszko”, to „hymn i sztandar » wszystkich skrzywdzonych przez bolszewizm przestępców i ludzi uczi-

wych — który niespodzianie razem z nimi znaleźli się na jednym poziomie: szczutych i ściganych zwierząt. "Spojrzę ja w okno..." to — mało znana, oryginalna, nieco komiczna w swej „dumie”, piosenka złodziejska. "Nikt nie da nam zbawienia..." to początek drugiej zwrotki "Internacjonalu" po rosyjsku... — tym ludziom nikt nie da zbawienia, prócz... Kultury.

Miałem wielokrotnie możność porównywania etyki i praw złodziejów zawodowych z tymiż kategoriami pojęć ludzi "mechanicznie" uczciwych. Nie pozory i formę a treść tych słów. Porównania wypadły fatalnie dla ludzi uczciwych. Złodziej, którego los rzucił na poniewierkę, który idzie ze swym "krzyżem" po tej ścieżce, którą mu wytyczyły nasze prawa, "pozbawienie praw" i pogarda, jeśli ma charakter, wolę i serce, jest Człowiekiem... skrzywdzonym. Natomiast człowiek uczciwy, który przy próbie okaże się brudną szmatą, zdrajcą, tchórzem — jest tylko dlatego "uczciwy", że nie było próby i probierza... Wojna, niewola i walka o wolność, wiele nas nauczyły i sędzę, że teraz potrafimy głębiej i lepiej szacować ludzi.

Niech ta książka służy historykom obyczajów, kryminologom, psychologom i socjologom. Niech pomoże naszym wydziedziczonym braciom upomnieć się o swoje prawa. Oni, sponiewierani, też byli na barykadach, oni też walczyli o wolność i prawa Człowieka. Oni się nie legitymowali prawem do walki. Oni — pozbawieni praw — napiętnowani i pogardzeni, walczyli o wasze prawa. Wśród nich było najmniej zdrajców Narodu... może i wcale nie było. Ja takich nie znam. Natomiast wśród ich surowych "sędziów"... nie warto pisać.

Niech ci, co pieśczożliwie wymawiają słowa: malwersacja, defraudacja, sprzeniewierzenie, nadużycie, wykroczenie, nie akcentują zbyt ostro wyrazu: złodziej. Ja znam straszniejsze wyrazy: zdrajca, szpicel, sadysta, oportunista, tehórz, pyszałek, tyran... Porównanie może być bardzo niekorzystne.

Niech, wreszcie w sądach, gdzie syci, wykształceni ludzie sądzą zapędzonego przez nich i życie w kąć nędzarza, — szatan nie pęka ze śmiechu. Niech za stołem sędziowskim usiądzie nie sztywny, obojętny dyplom — obciążony umysłowo — a Sędzia — Lekarz, agent Kultury i rzecznik Ducha. Mniej będziecie pogardzani, jako frajerzy, szatan zasmuci się w piekle, a na barykadzie Kultury — na której obok was walczyli niedawno o wolność Narodu prostytutka i złodziej — niech oni również znajdą miejsce... Po zwycięstwie na tej ostatniej Barykadzie — przestępców zawodowych nie będzie!

''Melodramatyczny'', niepotrzebny wstęp do powieści, który mógłby być początkiem życiorysu ''klawisznika'' Aleksandra Barana, gdyby taki życiorys został napisany.

Zaranie życia Aleksandra Barana było twarde, czarne, zimne, gorzkie i cuchnące. Matka jego, Andzia Baran, pracowała jako młodsza służąca w licznej rodzinie zamożnego rosyjskiego urzędnika. Nic nie umiała i nie posiadała określonego zajęcia, a wyręczała wszystkich domowników w pracy. Należała do osób, których obecności się nie dostrzega, a roboty nie docenia. Uważano, że tylko zawadza. A stłuczenie przez nią popękanego talerza po czytywano za zamach na byt rodziny. Poniewierano nią i lekceważono, a często niezasłużenie karcono. Lecz gdyby nagle Andzi zabrakło, wówczas okazałoby się, że nie ma komu przynieść węgla z piwnicy, drzewa z szopy, wody ze studni, — a mieszkanie było na trzecim piętrze — że nie ma komu wynieść śmieci, zamieść pokoi, zasłać łóżek, wyczyścić obuwia i ubrania, wymyć naczyń, odziać młodszych dzieci, ''skoczyć'' kilkadziesiąt razy dziennie do sklepiku i spełnić mnóstwo innych posług.

Od rana do nocy dziewczyna uganiała po czar-

nych schodach dużej, ponurej kamienicy. Przemierzała je wiele razy, przeważnie dźwigając ciężary. Może by się stały one utrapieniem i zmorą tego nędznego, bezbronnego stworzenia, lecz — zapewne wiedzona instynktem — uczyniła sobie z nich zabawkę. Początkowo, idąc bez ciężaru, zbiegała w dół, przeskakując po kilka stopni na raz. Z czasem doszła do takiej wprawy, że każdą kondygnację schodów przebywała w dwa susy... Skakała z górnego pomostu w dół, głową naprzód, zaledwie dotykając dłonią — dla zachowania równowagi i kierunku — żelaznej poręczy. W porę opadała na stopę drugiej nogi, robiła następny skok i wpadała na zakręt schodów. Błyskawicznie go okrążała. Znow robiła dwa susy i znow zakręt. Tak, mijając piętra, jak burza wpadała w dół, zdyszana, z zapłonionymi policzkami i lśniąco oczami — prawie szczęśliwa. Umiała również ześlizgiwać się po okutych żelaznymi listwami brzegach stopni w ten sposób, że dotykała ich tylko obcasami trzewików. Przy dużej szybkości odbywało się to równo jak po lodzie i tak prędko, że dziewczynie oddech w piersi tamowało... Im więcej ją poniewierano, tym szybsze i zapamiętalsze były jej „ewolucje” na schodach kamienicy. Gdy doznawała szczególnie dotkliwej krzywdy, wówczas się rzucała w dół po schodach jak szalona i dziw, że się nie kaleczyła... Były to jej imaginacyjne samobójstwa, które pomagały dziewczynce zachować równowagę duchową.

Pewien lokator kamienicy, obserwując wielokrotnie — jak sprytnie uganiała się Andzia po schodach — nazwał ją „Wiewiórka”. I miano to

się utarło w kamienicy. Zapomniano jej imienia: znikła Andzia, powstała Wiewiórka, tylko los dziewczęcia nie zmienił się na lepsze. W rodzinie urzędnika z biegiem lat przybywało dzieci i pracy, którą stale, niepostrzeżenie spychano na Andzię. „A gdzie Wiewiórka?... Wiewiórka to zrobi... Zawołajcie mi Wiewiórkę... Ta dziewczyna jest niemożliwa: nigdy jej nie ma do pracy!”. I Wiewiórka musiała coraz zwawiej uwijać się po ciasnych klatkach pokojów, coraz szybciej skakać w dół i w górę po stopniach klatki schodowej.

Miała Andzia jeszcze jedną rozrywkę: czyszczenie trzewików całej rodziny. Wykonywała tę czynność starannie, metodycznie, można powiedzieć — z namaszczeniem. Robiła to bardzo wcześnie, gdy wszyscy lokatorzy kamienicy jeszcze spali i na schodach panowała cisza. Andzia usadawiała się na górnym stopniu schodów, ustawiała dokoła siebie różnego fasonu, gatunku i wielkości obuwie i rozpoczynała pracę. Czyściła je nie śpiesząc się, starannie, z przyjemnością. Najpierw oskrobywała dokładnie z błota, potem czyściła twardą szczotką, potem nakładała cieniutko pastę, potem... Potem, po wielu zabiegach, z przyjemnością spoglądała na ustawiony — według wielkości — rząd trzewików, który lśnił wspaniale i zdawało się, że świecił dokoła.

Andzia posiadała dobre serduszko i wszystkie trzewiki traktowała sprawiedliwie, chociaż do właścicieli niektórych par obuwia mogła żywić uzasadnioną urazę, a nawet nienawiść. Więc choć do jednych miała sympatię — jak do ich właścicieli, inne traktowała obojętnie resztę niechętnie, to jednak wszystkie czyściła starannie. Gdyby kto-



kolwiek niepostrzeżenie znaleźli się wówczas w jej pobliżu, to posłyszałyby dziwne przemowy:

— ...Znów podrapałeś sobie nosek!... Biedactwo!... Ileż razy mówiłam ci: bądź ostrożny, uważaj pod nóżki... No nie, nie martw się. Ja to poprawię. Znak nie będzie — przemawiała Andzia do bucika jednego z młodszych dzieci, które ujmowało dziewczynę swą wesołością i tym, że nie grymasiło.

— ...A ty, świnió, podarłeś sznurowadło! Co ty sobie myślisz, że u mnie fabryka sznurowadeł? Moje uszanowanie! proszę siadać! może kraść dla ciebie pójdę! Co?! — karciała Andzia stylem gospodyni (od której najwięcej miała przykrości) jej właśnie trzewik.

— ...O, moja droga: gumka ci się oblużowała... Zaraz zakręcę mocniej... O, tak... widzisz jak dobrze teraz... — zwracała się Andzia do pantofelka starszej córki, którą uważano w rodzinie za anormalną, a która była bardzo grzeczna dla Andzi.

Na ostatku Andzia czyściła własne trzewiki. Robiła to z wielkim zamiłowaniem i wprawą, lecz przy tym posepniała jej pogodna zazwyczaj twarzyczka. Widziała, że niedługo będą tak pięknie lśniły, że będzie musiała wkrótce sama ująć im splendoru, co czyniła zawsze z wielką przykrością. Robiła to dlatego, że gospodyni jej, która pewnego razu zwróciła uwagę, że trzewiki Andzi ładnie błyszczą, zbeształa ją:

— ...A ty, świnió, lafiryndo, ja pasty nastarczyć nie mogę, a ona sobie te wstrętne łapska pucuje! Widzicie ją: hrabina się znalazła! Moje uszanowanie! Proszę siadać!... Żebym ja tego więcej nie widziała.

Odtąd Andzia, gdy wchodziła do mieszkania, stojąc przed drzwiami chuchała w dłoń (aby ją zwilżyć) a potem przesuwała ją kilkakrotnie po trzewikach: żeby zmatowiały. Gdy znów wychodziła na schody, by gdzieś „skoczyć”, to starannie czyściła trzewiki brzegiem lichej spódniczki.

Gdy zapadła noc i roboty były ukończone, Andzia ostatni raz w półmroku pędziła schodami w dół. Zbiegała o jedną kondygnację schodów niżej niż zwykle — do sutereny, gdzie mieszkała jej ciotka, która była jedyną krewną i opiekunką Andzi. Opieka ta polegała (gdy Andzia była dzieckiem) na biciu, głodzeniu, i zmuszaniu do nieodpowiedniej roboty. Gdy Andzia miała dziewięć lat, ciotka oddała ją jako młodszą służącą — za wikt, ubranie i nikłą zapłatę, którą sama odbierała, do pracy w rodzinie urzędnika. Poza służbą Andzia musiała pomagać ciotce, która była praczką. Więc dziewczynka nigdy chwili wolnej nie miała.

Dopiero we śnie Andzia „żyła” dla siebie. Wówczas tylko mogła mieć własną wolę i postępować według swego „życzenia”. Główną rolę w jej snach odgrywały schody. Były nieraz jasne, czyste i tak przyjemnie było po nich biegać. Innym razem ponure, ciemne, pięły się w górę, w nieskończoność. Czasem spadała z nich, toczyła się w dół i budziła się zdyszana, zmęczona, z pośpiesznie tłukącym w piersi sercem. Trzewiki również często jej się śniły. Było ich mnóstwo. Czasem zachowywały się jak żywe istoty: chodziły, rozmawiały, tańczyły. A Andzia bawiła się z nimi, jak z żywymi istotami... jak lalkami, których nigdy nie miała naprawdę. Te sny Andzia lubiła najwięcej.

Nadchodził poranek i zimna, koścista dłoń cio-

tki wyrywała Andzię z krainy marzeń. Słuchając jej gderań, dziewczyna co prędzej ubierała się i uciekała z sutereny, aby rozpocząć nieskończoną gonitwę po schodach, aby wykonać mnóstwo pilnych, czekających na nią prac.

Mijały lata. Wątle dziecko przemieniło się w 16-letnią dziewczynę. Lecz w oczach otoczenia Andzia była nadal bezpłciową, bezosobową Wiewiórką, która od lat uwija się po klatce schodowej kamienicy. Ona również nie dostrzegła swego rozwoju. Szarzyzna i jednostajność jej życia, zacieślały różnicę w czasie. I nie dziwiła jej wcale ta okoliczność, że traktowano ją wciąż jak dziecko. Andzia była dobrze zbudowana, smukła, silna. Można by nazwać ją wcale ładną, gdyby nie trochę mongolski układ twarzy. Elegancko ubraną i uczesaną dziewczynę z towarzystwa, te skośne, ciemne oczy i lekko w górę zadarty nosek, przy ładnej sylwetce, nie szpeciłyby wcale. Przeciwnie: stanowiłoby to powab. Lecz zapracowanego, wystraszonego, odzianego w zniszczone suknie panienek kocmołucha, nie mogły upiększać. A urok jej młodości i niezwykłego sprytu, ginał w obecności ludzi, zabity nieśmiałością i "boczeniem się" źle traktowanej niewolnicy. Andzia nigdy w niczym nie mogła mieć racji. Nie zdążyła otworzyć ust, aby zdaniem obecnych nie palnęła głupstwa. Więc nauczyła się milczeć zawsze i wszędzie. Zamknęła się w sobie i tylko nieraz na jej ustach zjawiał się lekki uśmiech. W ten sposób mściła się na otoczeniu i za złe traktowanie i za wszystkie krzywdy. Zrozumiała, że jest

to jedyna „zemsta” ludzi poniewieranych, a słabych.

Ten tryb życia Andzi może trwałby długo, lecz zaszedł wypadek, który wywarł olbrzymi wpływ na dalsze losy Wiewiórki. Historia to pospolita. Lecz nie o Wiewiórkę już chodzi...

W tejże kamienicy, na salkach, mieszkało trzech studentów. Odnajmowali wspólny, duży pokój. Andzia nieraz widziała ich na schodach, z książkami lub tekami pod pachą i żywiła wielki szacunek i podziw dla ludzi nauki. Pewnego razu przed dwoma laty zdarzyło się, że gdy dźwigała w górę po schodach wodę, czyjaś ręka ujęła za pałak dużego wiadra i uniosła go w górę. Andzia, zdumiona, zobaczyła obok siebie studencką czapkę, a pod nią wesołe oczy i uśmiech. Student zaniósł wodę na trzecie piętro i udał się na salki. Andzia dostrzegła, że dźwigając wodę na górę, zmęczył się więcej od niej. Często potem wspominała oddaną jej żartobliwie przysługę i nieraz się zastanawiała zupełnie poważnie, jakby się za to wywdziękzyć.

Od tamtego dnia minęły dwa lata. Pewnego popołudnia, wiosną, student wracał do domu. Był w dobrym humorze i wesoło się śmiał. Dobry humor spowodowała ta okoliczność, że zostały przyjęte jego oświadczyzny o rękę kochanej dziewczyny. Ubiegał się o to dawno, bo jego śliczna Halszka była nie tylko ładna i czarująca w obejściu, lecz i posażna, co wywarło nie mały wpływ na temperaturę jego uczuć. Teraz czuł się u kresu marzeń i widział, otwierającą się przed sobą wspaniałą przyszłość. A śmiał się dla błahego powodu, który mu się wydał dziś — bo był w złotym humorze —

szczególne komiczny. Gdy wszedł na dziedziniec kamienicy, był świadkiem takiej scenki. — Jakaś starsza jejmość, w kapeluszu z całym ogrodem warzywnym i kwietnym, przechodząc przez podwórze znalazła się w chmurze pyłu, który wzbijał w górę miotłą sprzątający podwórko stróż. Jak oparzona rzuciła się w tył, krzyząc:

— ...Co też Antoni wyrabia!

Stróż przestał zamiatać, uparł się pięścią w bok i rzekł:

— A cóż, za przeproszeniem dobrodziejki, mam robić? Na rękach chodzić?

— Nie na rękach chodzić, ale jak się zamiata podwórko, to trzeba wodą skropić, żeby się kurz nie unosił.

Stróż ironicznie uśmiechnął się i odparł pobłażliwie:

— Jeszcze, proszę szanownej osoby, ten sam kurz nikomu oczu ani zębów nie powybił. Tak...

— Ale zrozumcie, Antoni, że wraz z tym kurzem w powietrzu fruują bakcyle.

Stróż walnął się dłonią w biodro i parsknął śmiechem:

— He, he, he... no, no... ależ z dobrodziejki wesoła osoba!... Co się ubawiłem, to ubawiłem!... 55 lat żyję na świecie, a jeszcze nie widziałem fruującego bakcyla!

I Antoni, śmiejąc się coraz głośniejszym, wziął się do przerwanej pracy, znikając w gęstej chmurze pyłu.

Student nie śpiesząc się szedł w górę po schodach, gwizdząc arię z „Pięknej Heleny”. Tymczasem Andzia, stojąc na parapecie, czyściła okno na zakręcie klatki schodowej, między drugim, a trze-

cim pięciem. Uwagę jej zajął kataryniarz, który przed chwilą wszedł na podwórze. Wkrótce dziedziniec wypełniły chrapliwe, urywające się dźwięki jakiegoś dawnego walczyka. Dla Andzi była to nie lada atrakcja i wychylała się coraz bardziej, nasłuchując jęków zakatarzonego, przestarzałego instrumentu.

Gdy student zbliżał się do tego zakrętu schodów, dostrzegł stojącą na parapecie Andzię. W pierwszej chwili zaniepokoił się, aby nie wypadła. Lecz po chwili spojrzenie jego zatrzymało się na jej nogach, które wiatr, igrający krótką, lekką spódniczką, odsłaniał bardzo wysoko. Student ładnie malował. Nawet miał zamiar kiedyś poświęcić się sztukom pięknym. Lecz potem względy praktyczne przeważyły i poszedł na prawo. Nogi dziewczyny wydały mu się urocze i pociągały nie tylko pięknem linii, lecz i zmysłowo. Porównywał je, mimo woli, z nogami Halszki, które widywał dość często lecz w pończochach i nie tak... zupełnie. Nogi Andzi wydały mu się o wiele ładniejsze. Tamte były piękne, lecz zimne i... poprawne. A te posiadały samodzielne życie, wyraz i ciepło... „Kto by pomyślał, że ta smarkata jest tak zbudowana! Tyle razy widziałem ją i nie zwracałem uwagi”.

Zrobił parę kroków naprzód. Katarynka urwała walczyka i Andzia słysząc czyjeś kroki z tyłu, pośpiesznie obróciła się. Zobaczyła wesołą zarumienioną twarz. Też wesoło się uśmiechnęła. Wtem spojrzenie jej spotkało zamglone oczy, prześlizgujące się po jej ciele. W jednej chwili rozumiała to wszystko, o czym tak wiele słyszała. Bo słyszała i widziała aż za dużo, lecz tamto było

nierealne, obojętne. A teraz spotkała się z „tym” sama. Prędkim ruchem obciągnęła kusą spódniczkę i zapłoniona stała na parapecie, nie wiedząc co począć. A student żartobliwie uchylił czapki.

— Moje uszanowanie ślicznej paniencie. Idę sobie po schodach, a tu taka sylfida okna czyści! Przestraszyłem się, że spadnie. Bo doprawdy szkoda by było. Takich nówek i w balecie nie widziałem! Daję słowo...

Andzia tkwiła w bezruchu na parapecie. Na wargach miała blady uśmiech. A student spojrzął po schodach i ujmując dziewczynę dłońmi w pasie zdjął ją z parapetu.

— Dziecko może się zabić... Tu będzie bezpieczniej... bezpieczniej...

Przechylił w tył jej głowę i pocałował mocno w usta. Z dołu zadudniły po schodach czyjeś ciężkie kroki. Student puścił oszołomioną dziewczynę. Powiedział:

— Niech Andzia uważa. Można wypaść przez okno, a to wysoko. O wypadek nie trudno.

Poszedł do siebie. Gdy się oddalił, Andzia usiadła na parapecie i zapłakała. Nie ze zmartwienia, sama nie wiedziała dlaczego. Może ze wstydu, a może z radości. Tyle było w niej uczuć naraz, że trudno to powiedzieć.

A student wszedł do swego pokoju na salkach i zaczął przechadzać się od okna do drzwi, rozmyślając o swych dzisiejszych powodzeniach. Jednocześnie brawurowo śpiewał słabym tenorem:

Grzmot zwycięstw brzmi wesoło
I ciesz się, chrobry Ros!

Jego współlokator — również student — który w tej chwili leżał, z nogami na oparciu mocno zde-

zelowanego, w pałąk wygiętego łóżka, a który sły-
nęł wśród kolegów, jako sceptyk, dokończył patrio-
tycznej pieśni zwycięsko usposobionego towarzy-
sza :

Na łapcie lipy dość dokoła :
nie będziesz chodził bosy !

Na Andzi pocałunek studenta wywarł wielkie
wrażenie. Myślała o nim bez ustanku. Przypomi-
nała sobie każde słowo, powiedziane do niej na
schodach. Obudziła się w niej kobieta. Zrozumia-
ła, że zainteresowała studenta swymi nogami. Bo
tak dziwnie na nie patrzył i mówił też o nich z
zachwytem. Kilka razy Andzia, będąc sama w
klatce schodowej, unosiła w górę spódniczkę i po-
chylając się w tył i na boki, przyglądała się swym
nogom. Nie dostrzegała nic niezwykłego. „Ot,
jeśliby mnie pończochy” ! Ta myśl opanowała
Andzię całkowicie, tropiła ją bezustannie. Nie ro-
zumiała, że właśnie nagość dodawała najwięcej
uroku jej nogom, że to ona właśnie przyciągnęła
uwagę studenta.

W kilka dni, po zejściu w klatce schodowej,
Andzia, wracając z pracy, zwróciła się do ciotki,
która wyżymała w cebrze mokrą bieliznę :

— Ciocia mi kupi pończochy.

— Co ?

Ciotka, trzymając w ręce skręconą sztukę bie-
lizny, zdumionymi oczami obejrzała Andzię.

— Ciocia mi kupi pończochy — powtórzyła
dziewczyna.

— A może jeszcze coś ? — rzekła ciotka, szy-
derczo mrużąc oczy i robiąc krok ku Andzi.

— Więcej nic... pończochy...

— Masz chabala! — wrzasnęła ciotka. —
Masz!

Andzia nie odpowiedziała. Nie rozumiała znaczenia tego wyrazu, lecz nadal uparcie mówiła: „Ciocia mi kupi pończochy”. Wówczas ciotka chciała poskromić swą wychowanicę, tak jak to czyniła przed paru laty wielokrotnie i zwykle bez powodu. Lecz Andzia z taką siłą wyrwała jej z rąk sztukę mokrej bielizny, którą ciotka chciała ją uderzyć, że tamta się aż cofnęła zdumiona:

— A, to ty taka!... Ja ci pokażę!... Ja cię nauczę!... To za moje dobro! Za moją pracę!

— Ciocia mi kupi pończochy — powtarzała uparcie Andzia.

I Andzia dokonała cudu: ciocia kupiła jej pończochy. Mimo zupełnego braku inteligencji zrozumiała, że prędzej utraci dziewczynę a wraz z nią spore zyski, niżli przełamie jej upór.

Student kilkakrotnie wspominał Andzię. A działał się to (dziwna rzecz) zwykle w obecności narzeczonej. Gdy patrzył na swą cudną, słodką, jedyną, ubostwianą Halszkę — niestety tak niedostępną przed ślubem — nawiedzała go wizja tamtej uroczej dziewczyny, stojącej na parapecie okna ich kamienicy. Podsuwało ją przecucie, że dziewczyna jest głupia i łatwo mu ulegnie, jeśli zechce o to się postarać. Spróbowałby już dawno swoich sił, lecz obawiał się aby jego romans ze służącą nie wydał się.

Pewnego dnia wracał do domu szczególnie podniecony. Halszka była dziś tak czuła; obdarzyła go kilku gorącymi całusami i wymownymi uściskami, lecz, nie patrząc na największe zakłęcia i prosby, stanowczo zahamowała dalsze zapędy:

— Trzeba mieć trochę woli, hartu, cierpliwości... Potem będzie lepiej smakowało — mówiła przebiegła, dobrze uświadomiona dziewczyna.

W klatce schodowej student usiadł na parapacie okna drugiego piętra i zapalił papierosa. Miał niezupełnie jeszcze określony zamiar czekania na Andzię. Maskował go sam przed sobą.

W górę i w dół szli rozmaici ludzie, nie zwracając na niego uwagi. Wypalił już drugiego papierosa, gdy posłyszał w górze trzaśnięcie drzwi do mieszkania, w którym pracowała Andzia. Stał na zakręcie schodów. Dziewczyna gnała w dół i wpadła na wylaniającego się na zakręcie schodów studenta.

— Och!... przepraszam!...

Wyszeptała oblewając się pąsem, chciała się usunąć na bok, lecz student ją zatrzymał.

— Dobrze, że Andzię spotkałem — rzekł wesoło, jedną ręką trzymając ją za ramię, a drugą głaszcząc po policzku. — Chciałem Andzi powiedzieć coś ciekawego. Ale nie teraz... Niech Andzia wieczorem, o 9-tej, wyjdzie na schody. Tam naprzeciw strychu... Ja zaczekam... Przyjdzie Andzia?... Dobrze?... Powiem Andzi coś ba-ardzo ciekawego! Dobrze?...

— Dobrze — wyszeptała Andzia. A gdy student puścił jej ramię, błyskawicznie zbiegła w dół, słysząc z tyłu jeszcze raz powtórzone: „Więc o 9-tej!”.

W tym dniu Andzia nie biegała, a wprost fruwała po schodach, opanowana mnóstwem dziwnych uczuć i myśli, których nie umiała uporządkować w sobie. Czasem jej się zdawało, że dzień się wlecze nieskończenie długo i chętnie by przyspieszyła na-

dejscie wieczoru. To znów ze strachem myślała o tym, że za kilka godzin zapadnie zmierzch i będzie musiała pójść tam... „na randkę”. Że mogłaby tam nie pójść, nawet nie powstało jej w myśli. Przede wszystkim: powiedziała „Dobrze”, a czy można nie dotrzymać słowa? Strach i radość jednocześnie ogarnęły dziewczynę i jak piłkę rzucały ją po schodach. Były to już zawrotne jej loty, z których może dlatego tylko wychodziła cało, że nie myślała o nich wcale. Radość, że on, taki uczony, taki mądry, zwrócił na nią uwagę. Na nią głupią, młodą, źle ubraną dziewczynę. „Dobrze, że chociaż mam pończochy. Na pewno mu się spodobały i też, ta nowa niebieska wstążka”... Ale i strach ją dręczył, bała się, że on przekona się o jej głupocie i ją wyśmieje. Lecz te myśli pierzchały... Prośba studenta brzmiała dla niej jak rozkaz, a nie było wypadku, aby mogła komuś czegoś odmówić, czyjś rozkazu nie wypełnić.

Wreszcie nadszedł wieczór. Korzystając ze zmierzchu, Andzia w pokoju starszych córek gospodyni odsypała z pudełeczka trochę pudru, chwając go w papierku na piersi. Popelniła pierwszą w swym życiu kradzież. A gdy praca była skończona, co zwykle działo się około godz. 9-tej, wyszła z mieszkania i cichutko usiadła na parapecie okna. Wiedzioną jakimś dziwnym instynktem, nie poszła na randkę pierwsza, a oczekiwała wyjścia studenta.

Andzia upudrowała sobie twarz. Nie wiadomo po co, bo przecież nie mógł jej widzieć wyraźnie. A u góry naprzeciw strychu, było prawie całkiem ciemno i tylko oczy przyzwyczajone do mroku, mogły cokolwiek odróżnić.

Po kwadransie posłyszała otwieranie drzwi na salkach i czyjeś kroki. Z łomoczącym w piersi sercem nasłuchiwała. Kroki zatrzymały się na pomoście trzeciego piętra i nie skierowały się w dół, lecz w górę. Oddalały się ostrożnie, powolnie, po schodach w kierunku strychu. Po kilku minutach oczekiwania Andzia dość prędko, lecz bez szmeru, poszła na górę.

Na ostatni pomost prowadziły z trzeciego piętra dwie kondygnacje schodów. Gdy Andzia stanęła na górnym ich stopniu, znalazła się w mownym, niecierpliwym uścisku.

— Długo nie przychodziłaś, moja kotka...

Nie mogła nic odpowiedzieć, bo usta jej pokryły coraz gorętsze pocałunki, a szept mężczyzny był tak dziwny, nerwowy, ręce takie zaborcze, takie śmiałe...

Student wrócił do siebie na salki po 10-tej. Kolega jego — jak zwykle, leżąc na łóżku o czymś rozmyślał. Wielki to był filozof! Tok jego medytacji przerwał śpiew wchodzącego kolegi:

Była bitwa pod Połtawą.
Bitwa sławna przyjaciele!

Od łóżka rozległo się ironiczne:

Orzygaliśmy tam trawę,
Bo piwa szklanę golnęli.

Sceptyk i filozof przypuszczał, że „prawo” się uchlało, bo „miało” zaczerwienioną twarz, zmatowiałe oczy, a ubranie w nie zupełnym porządku.

Minęła wiosna, minęło lato, minęło i zainteresowanie studenta Andzię. Znudziło go jej ciche, wierne przywiązanie, jej uległość, wreszcie jej milczące, gorące uwielbienie. Natomiast Andzia nosiła w sobie swe uczucie jak skarb. Spoważniała, wyładniała, pięknie rozwinęła się fizycznie. Twarz jej uduchowiła się i zaczęła zwracać na siebie uwagę mężczyzn.

Andzia nie była kłopotliwą kochanką. O nic nie pytała, niczego nie żądała, starała się zgadywać nawet myśli swego bożka. A każde jego życzenie, kaprys, były dla niej prawem. Jemu nigdy nie przyszło do głowy, że dziewczynie trudno wymykać się na schadzki, że może mieć z tego powodu przykrości. Nie mógł wyobrazić sobie — jak drogo kosztowały ją nowe pończochy, czysta bielizna, przyzwoita sukienka, puder. Nie wiedział ile to upokorzeń i próśb kosztowało, ile łez z jego powodu wylała po nocach. Lecz za nic w świecie nie wyrzekłaby się swej miłości. I nigdy mu się na nie nie skarżyła... Była szczęśliwa.

I dziwna rzecz: od tego czasu jak Andzia stała się kochanką studenta, który (kłamiąc) kazał jej nazywać się Ryszardem (w myśli dodawał: Zdobycza Serc) — przestała uganiać jak kiedyś po schodach; przestała też rozmawiać z trzewikami podczas czyszczenia ich. Zaczęła wyżej się szacować. Jeśli ją kocha (bo mówił to często) ten uczony, piękny młodzieniec, to chyba jest niezupełnie głupia i brzydka!

Pewnego dnia student spakował rzeczy i wyprowadził się. Poprzedniego wieczora uprzedził ją o tym, mówiąc, że jedzie do rodziców, że powróci jesienią. Kazał nie tęsknić. Obiecał często pisać na

adres jej koleżanki, służącej u państwa z drugiego piętra, z którą Andzia się przyjaźniła. W czasie tego pożegnania Andzia po raz pierwszy wybuchnęła tak namiętymi pieszczotami, że zdumiała swego kochanka. Może przeczuła, że po raz ostatni ma go przy sobie.

— Wrócisz, najmilszy? — szeptała dziewczyna.

— Wróczę, wróczę — niecierpliwie mówił student (oczekiwała go Halszka) śpiesząc się, by pożegnać dziewczynę.

Nie wrócił. Nie wrócił i nie napisał. Zniknął z życia Andzi tak niespodzianie, jak w nie wszedł. Tylko zostawił za sobą zmiażdżone uczucie dobrej, bezbronnej istoty.

Na próżno wyglądała Andzia listonosza, naderemnie oczekiwiała powrotu kochanka. Chciała zapytać o niego kolegów, z którymi mieszkał, lecz początkowo bała się, aby się o to nie gniewał, gdy wróci, a potem i oni opuścili mieszkanie na salkach.

Później Andzia dowiedziała się, że jest w ciąży. To ją przeraziło. Z początku chodziła oszołomiona, jakby nieprzytomna. A potem znów rozpoczęła swe obłędne gonitwy po schodach. Były to już zawrotne, rozpaczliwe loty...

Wkrótce i ciotka dowiedziała się, że Andzia jest w ciąży. Skoczyła do dziewczyny z pięściami:

— Ty, suko, podła! mów: kto ci to zrobił? Mów?

Lecz Andzia ani słówkiem nie wspomniała o swym „Ryszardzie”. Nie powiedziałyby o nim nawet na mękach, bo wyczuwała, że to będzie dla niego przykre. Ciotka się wściekała. Cięża mogła pozbawić ją dochodu, który Andzia dawała swej

„opiekunce”. A mogły dojść jeszcze kłopoty i wydatki, gdy dziecko przyjdzie na świat. Rozpoczęła starania, aby dziewczyna pozbyła się płodu. Robiła dla niej gorące kąpiele w dużym cebrze. Dawała dziewczynie pić ocet. Dawała chininę. Kazała wachać siarkę. Wreszcie zmuszała ją do skakania ze stołu na podłogę. Dziewczyna była bierna i posłuszna. Automatycznie wykonywała wszystkie rozkazy ciotki. Pewnego razu zdarzyło się, że Andzia skacząc ze stołu zwichnęła sobie nogę. (Podświadomie chciała skoczyć lżej — aby nie uszkodzić „go”). Zwichnięcie było poważne i dziewczyna nacerpiała się bólu. Dopiero wezwany przez ciotkę felczer „naciągnął” nogę Andzi. Odtąd dziewczyną stanowczo się sprzeciwiła wszystkim zabiegom ciotki, w celu zabicia płodu.

W marcu następnego roku Andzia urodziła chłopca. Z początku odniosła się do niego obojętnie. Później zaczęła wykazywać coraz większą miłość dla dziecka. Wkrótce Andzia spostrzegła, że ciotka chce zgładzić niemowlę. Parę razy zostawiła dziecko nago, na parapecie okna suteryny, — aby się zaziębiło. Andzia okrywała je. Ciotka kilkakrotnie kładła chłopca na brzegu pieca, zapewne licząc, że spadnie i zabije się. Lecz dziecko leżało cicho, spokojnie tak długo, dopóki Andzia nie przeniosła go w bezpieczne miejsce.

Ciotka dawno by załatwiła się z „bękartem”, lecz chciała, aby to stało się „przypadkowo”. Nie obawiała się sądu: kto by jej dowiódł winy, lecz była — nie patrząc na podły charakter i brak serca — „pobożna”. Więc bała się, aby za zabójstwo dziecka nie dostać się na wieczyste czasy do piekła. To jedynie wiązało jej ręce i to ocaliło

dziecko. Andzia, instynktem matki zrozumiała to i pewnego razu, gdy ciotka znów próbowała zgładzić dziecko, powiedziała do niej:

— Niech ciocia uważa: jeśli ciocia zrobi mu krzywdę, to Bóg cioci nie daruje! Niech ciocia pamięta! ja też u cioci nie zostanę... mnie Bóg ukarał, bo sobie nogę zwichnęłam. A ciocię jeszcze gorszy los spotka, jeśli ciocia go zabije.

— Sam zdechnie! — parsknęła kobieta, rzucając złe spojrzenie ku Andzi.

Odtąd zamachy na życie dziecka ustały i ciotka musiała pogodzić się z jego obecnością u siebie. Zresztą dziecko było dziwnie spokojne i niewiele sprawiało kłopotu.

Gdy Andzia ze względu na ciążę opuściła służbę, — tak w rodzinie urzędnika, jak i w całej kamienicy prędko dowiedziano się o jej położeniu — nigdzie nie znalazła współczucia lub chociażby zrozumienia. Wysztydzano ją, nazywano „dziewką”, „ulicznicą”.

Jej dawna gospodyni rzekła:

— Zawsze mówiłam, że to zmija!... i córki ostrzegałam... Znam się na takich niewiniątkach... mnie na ładną buzię nie wzięła. Od razu się poznałam, jak tylko ją zobaczyłam, co to za ziółko...

Chyba zapomniała, że zobaczyła Andzię wówczas, gdy miała 9 lat.

— ...Dobrze, że jeszcze nie okradła mieszkania i nie uciekła z kochankiem!... — irytowała się dalej przebiegła chlebobawczyni. — Ja tego dopilnowałam!... Ja... a jakże... moje uszanowanie... pro-

szyć siadać... mnie nie łatwo w pole wyprowadzić!...

Lecz w mieszkaniu coraz bardziej zaczął się dawać we znaki brak Andzi. Roboty mnóstwo, a robić nie ma komu. Zmobilizowano do pracy wszystkie rezerwy: dwie starsze córki i dwie młodsze, a również chłopców, trochę starszych i niezbyt „pod wąsem” — tym nie wypadalo. Nawet gospodyni porzuciła Paul de Cocka i obwiązawszy chustką głowę zabrała się do sprzątanía pokoi. Praca poszła zwawo: dźwigano drzewo do pieca, wodę, wynoszono śmiecie, zmywano naczynia, karmiono i ubierano dzieci, sprzątało mieszkanie, podawano śniadanie, obiad, kolację, palono w piecach, lecz wieczorem okazało się, że pomimo iż wszyscy „okropnie się napracowali” roboty nie ukończono. Gospodyni zaczęła robić wymówki starszej służącej-kucharce, która ściśle przestrzegała przyjętych obowiązków i żądała pomocnicy. Tamta zagroziła porzuceniem pracy. Gospodyni „skapitulowała”.

Za parę dni w kuchni zjawił się nowy kocmołuch. Zaprzągnięto ją zaraz do pracy. Lecz służąca była tak dziwnie niezgrabna, że posądzono ją o złośliwość. Talerze tłukły się całymi stosami. Zbiła lampę. Potrafiła nawet w jakiś zagadkowy sposób obalić i strzaskać lustro. Tego było już za dużo. Kocmołucha na łeb na szyję wyrzucono z mieszkania.

Jej następczyni była opanowana przez stałą senność. Nie ominęła żadnej sposobności, aby sobie w tym nie pofolgować. Na drugi dzień zniknęła. Po długich poszukiwaniach znaleziono ją w piwnicy, gdzie poszła z wiadrzem po kartofle. Spała w najlepsze, siedząc na przewróconym dnem do góry wiadrze. Następnego dnia przespała od

rana prawie do wieczora na strychu. Wyrzucono i ją.

Następna dziewczyna była dość sprawna i energiczna. Gospodyni cieszyła się nią bardzo. „Nareszcie mam możliwą pomocnicę”. Lecz radość jej niedługo trwała. Zauważono, że na ulicy, w bramie, na podwórzuina schodach kręci się sporo wojskowych różnych formacji. Robiono różne domysły, starając się zrozumieć to niezwykle zjawisko. „Pewnie gdzieś w pobliżu utworzono sztab”! — niezbyt logicznie wywnioskował ktoś. Wkrótce zauważono, że ofensywa posuwa się coraz wyżej po schodach i że skoncentrowała się stanowczo u drzwi mieszkania, w którym służyła bardzo energiczna lecz dość płocha dziewczyna. Próbowano zajrzeć nawet do kuchni. A gdy dwóch „narzeczonych” stoczyło tam walną rozprawę o serce bogdanki, przy czym najwięcej ucierpiały rondle, wazy i talerze, i tę służącą wyrzucono.

— Precz! tu u mnie nie koszary! a jakże! moje uszanowanie, proszę siadać! Poszła wont!

Następna służąca miała jeszcze gorętszy temperament. Miejsce wojskowych na ulicy, w podwórzu, w bramie i na schodach, zajęły prawie kompletne oddziały straży pożarnej z dwóch pobliskich rejonów. Z początku przestraszono się i zaczęto sprawdzać, czy się gdzieś nie pali? Lecz wkrótce okazało się, że celem ataku rycerzy Salamandry było jedynie pałające serduszko nowej służącej. Odprawiono i ją.

Gospodyni ręce załamała:

— Co ja teraz pocznę? Jaka szkoda Andzi! Złota była dziewczyna! Jaka cicha, pracowita, sprawna, milcząca... No zgrzeszyła... bo młoda,

niedoświadczona... Ale robotna, sumienna. Gdzie ja taką znajdę.

Dopiero teraz praca Andzi znalazła uznanie. A gdy po połogu dziewczyna przyszła do sił, ciotka, z którą dawna gospodyni Andzi już się porozumiała, wyznaczając jednocześnie płacę dziewczynie, kazała jej wrócić do dawnej roboty.

Andzia chętnie zabrała się ponownie do pracy. Była milcząca, jak i dawniej, lecz pracowała jeszcze staranniej i w mieszkaniu wszystko aż lśniło czystością. Tylko życie samej Andzi teraz zmieniło się. Nie rozmawiała, jak dawniej, z trzewikami, gdy je czyściła. Nie fruwała po klatce schodowej. Godność matki wpłynęła na zmianę jej charakteru. „Wiewiórka” na zawsze zniknęła z kamienicy.

Korzystając z każdej wolnej chwili Andzia odwiedzała i karmiła syna. Ochrzczono go i dano mu imię Aleksander. Ciotka teraz nie robiła zamachów na życie dziecka, które nie było już dla niej ciężarem, bo Andzia znajdowała czas, aby nie zaniedbując służby, opiekować się synem.

Upłynął rok czasu. Andzia pracowała na dawnym miejscu. Trwałoby to może długo, lecz znów nieprzewidziana okoliczność zakłóciła normalny tryb życia dziewczyny. W rodzinie urzędnika był, między innymi dziećmi, dorosły syn Grisza. Chodził do 7-mej klasy gimnazjalnej, lecz uczył się źle i to nie z powodów, które często przeszkadzają uczyć się zdolnym i impulsywnym chłopcom, lecz ze względu na ospałość i lenistwo pospolite, — mazgajstwo. Od pewnego czasu młodzian ten o czerwonych rękach, bezmyślnych oczach i zgnitych zębach, zaczął okazywać wielkie zainteresowanie osobą Andzi. Widocznie onanizm był już dla

niego niewystarczający. Stale zaczepiał dziewczynę, która z trudem unikała jego zasadzek. Pewnego dnia zastał ją przy sprzątanii sypialni, pochwycił z tyłu i wraz z nią zwałił się na łóżko. Dziewczyna bała się krzyczeć, aby nie zwrócić uwagi domowników. Chociaż Grisza był duży i dość silny, lecz ona była zwinna i wytrzymała. Starła mu się wyrwać, lecz rozpalony młodzian nagle zaczął dusić ją za szyję. Andzi w oczach pociemniało. Z nosa jej broczyła krew. Miała sińce na twarzy. I wówczas — wiedzona instynktem samozachowawczym — zaczęła walczyć zaciekle. Podbiła paniczowi oczy i parę razy rzuciła go na podłogę, lecz umknąć z pokoju nie mogła, bo kawaler zamknął drzwi na klucz. W pewnej chwili Grisza zerwał ze ściany wieszak. Wówczas Andzia chwyciła stolik do kwiatów... Hałas w sypialni zwrócił uwagę domowników. Do drzwi zaczęto się dobijać. Wtedy panicz odemknął je i podrapany i ubabrany we krwi Andzi, wyskoczył z pokoju.

— Mamusiu, to mi Andzia zrobiła!... — ryknął bohater, chowając się za matkę.

— A, ty, źmijo, dziecko mi chciałaś zabić! Ty prostytutko, ty żebraczko, złodziejko! zawołać mi policję! Ja cię nauczę!...

Andzia wymknęła się z mieszkania, zbiegła do suteryny i dopiero tam, tuląc do piersi Olusia, zaczęła po cichu szlochać. Do służby już nie wróciła, chociaż gospodyni po opamiętaniu się i trzeźwym rozważeniu sprawy, chciała ją wziąć z powrotem. Pośredniczyła w tym ciotka.

— Andziu, pójdiesz jutro do pracy. Nie ci się nie stało. A jeśli panicz chciał się pobawić, to cóż z tego... Głupia jesteś. Żebyś miała rozum, to

dobrze byś na tym wyszła. A ty jak wariatka. Znalazła czego szkodować. Dla kogo marynujesz? Dla tamtego twego chabala, co ciebie porzucił jak sukę ze szczeniakiem. Idź jutro do pracy. Ja przeproszę gospodynię.

— Ciotka przeprosi, to niech ciotka i pracuje tam, a ja nie wróce.

Po dwóch tygodniach Andzia znalazła pracę w fabryce papierosów, lecz wkrótce zwróciła na siebie uwagę starszego majstra, który uważał, że dziewczyny za zarobek powinny płacić mu haracz ciałem. Było to prawie regułą, której ulegały wszystkie ładniejsze pracowniczki. Andzia obojętnie odtrącała karesy majstra. To go jeszcze więcej podniecało. Zrobił się natarczywy. Andzia stanowczo odrzuciła jego zaloty. A za kilka dni wyrzucono ją z pracy, za... „niemoralne zachowanie się i marną robotę...”.

Upływały tygodnie, a pracy wciąż nie było. Ciotka coraz głośniej szemrała na darmożjadkę, chociaż Andzia bez roboty nigdy nie siedziała i wykonywała prawie całą pracę swej opiekunki, która teraz coraz częściej zaglądała do kieliszka, a Andzia nieraz po całym dniu nie miała co do ust włożyć. Czula, że opada z sił. Przecież karmiła dziecko. Gdy się pochylała, a potem prostowała, w oczach robiło się jej ciemno. Nie potrafiła przynieść bez odpoczynku wiadra wody ze studni.

Najwięcej smuciło ją to, że i jej Oleś głoduje. Posprzedawała, aby go dokarmiać, nieliczne posiadane rzeczy, lecz tego nie na długo starczyło. Wówczas ciotka — która uważała, że nadszedł odpowiedni czas — zaproponowała dziewczynie

wstąpienie na „pensję” do Niemki, Emmy, która miała najszykowniejszy w mieście lupanar... „oficerski”, pięćiorublowy. Ciotka nieraz stręczyła jej za sporym wynagrodzeniem ładne dziewczęta, a teraz spodziewała się dobrze zarobić na Andzi, od której nie przewidywała w dalszym ciągu większych zysków. Andzia nie odpowiedziała na tę propozycję. Ciotka, myśląc, że dziewczyna jej nie rozumie, zaczęła tłumaczyć, jak dobrze jest w „zakładzie”. Jak tam karmią, jak ładnie się ubierają „dziewczynki”, jak tam wesoło, jak grzeczni i hojni są kawalerowie.

— Jak nie będziesz głupia to w rok zbierzesz najmniej 1000 rubli. Wówczas rzucisz to. Z pieniędzmi znajdziesz sobie chłopca i wyjdiesz za mąż.

— Jeśli tam tak dobrze, to niech ciotka tam wstąpi — odparła Andzia.

Ciotka nie na to nie powiedziała. Przeczuwała, że ma za sobą najlepszego sprzymierzeńca: głód, który zmusi prędzej niż ona do uległości. I nie omyliła się. W dwa tygodnie pó tej rozmowie, Andzia nocą, słysząc, że ciotka przewraca się na posłaniu, spytała:

— Ciocia nie śpi?

— Czego chcesz?

— A jak będzie z Olkiem?

Ciotka w mig zrozumiała o co idzie dziewczynie i rzekła:

— Zostawisz go u mnie... Za 8 rubli miesięcznie będzie żył jak hrabiątko. Już ja mu krzywdy nie zrobię, Bo choć to i bękart, ale też niby i krewny... to się da zrobić... i zawsze możesz go odwiedzać...

Nazajutrz ciotka wraz z Andzią, którą trochę „ogarnęła” aby lepiej zaprezentować towar, udała się do Emmy. Dziewczyna spodobała się Niemce. Okiem znawczyni oszacowała ją i postarała się nie wypuścić z rąk.

Ciotka i teraz zarobiła na Andzi kilkadziesiąt rubli, a nazajutrz dziewczyna zamieszkała już, jako stała pensjonariuszka, u Emmy, która rzeczywiście dość ludzko traktowała swe dziewczynki i mniej je wyzyskiwała niż inne gospodynie. Być może że działa się to dlatego, że miała pierwszorzędnny „towar”, który jej dawał ogromny zysk. Andzię otoczono specjalną opieką. Wiedziano, że dziewczyna trochę dzika więc starano się nie zrażać jej i stopniowo wdrażać do pracy. Była przeznaczona dla najlepszych gości i rzadko kiedy wychodziła na ogólną salę.

Nie podobało się tylko gospodyni, że Andzia jest zawsze smutna. A również i to, że — jak inne dziewczęta — nie pije z gośćmi win i wódek. Postarała się wkłęcić jej na przyjaciółkę swą ulubienicę; Złotą Polę, która się wyróżniała nie tylko urodą, lecz i wesołym charakterem. Pola w niedługim czasie potrafiła przyzwyczaić Andzię z początku do słodkich win, a potem i do wódki... Zdawało się że Andzia pogodziła się z losem, tylko w oczach jej zawsze czaił się jakiś dziwny niepokój...

Andzia była najładniejszą „dziewczynką” Emmy. Ubierano ją jak pensjonarkę, lub jak chłopca — dżokeja. Miała duże powodzenie, lecz krótkotrwałe. Nie posiadała zakochanych w sobie gości, na których się czeka, o których się gada z koleżankami: „Wiesz, a „mój” obiecał mi...” i t.d. Pociągała gości urodą i wdziękiem ruchów, lecz zrażała

ich obojętnością, zimnym temperamentem i odrażą, którą łatwo się wyczuwało. Zdawało się gościom, że oddaje się z zaciśniętymi zębami, aby nie krzyknąć ze wstępu.

Dziewczyna cierpiała i marnowała się, lecz Oluś miał dobrą opiekę, bo Andzia niczego mu nie szczydziła. Cieszyło ją, że chłopiec prędko rósł i dobrze wyglądał. Miał już trzeci rok. Dobrze chodził i trochę mówił. Andzi trudno było doczekać się tego dnia, w tygodniu, w którym ciotka przychodziła do kuchni do gospodyni wraz z Olkiem, zawsze ładnie ubranym.

Andzia była oszczędna i zbierała pieniądze. Przewidywała, że będą potrzebne dla dziecka, chciała mieć ich jak najwięcej. Miała już na książce u gospodyni przeszło 1000 rubli.

Pewnej nocy, było to przy końcu lata, w drugim roku pobytu Andzi u Emmy, wywołano wolne dziewczynki na salę. Przyjechało towarzystwo pijanych oficerów. Fortepian i skrzypce grały brawurowo marsza. Zaczęto tańczyć. Elza (imię Andzi w lupanarze) miała największe powodzenie i przechodziła — co prawda niechętnie — z rąk do rąk. Po kilkunastu minutach przyjechało czterech podpitych cywilów. Był wśród nich jeden, obdarzony szczególną werwą i zdolnością bawienia obecnych. W kilka minut potrafił rozruszać towarzystwo.

Zaczęto pić zdrowie armii i obywateli. Wygłaszano komiczne toasty. Zmuszano dziewczyny do picia wódki, płacąc po rublu za kieliszek. Muzykanci zachęcani hojnością gości, grali bez przerwy. Tylko Elza - Andzia, nie bawiła się. Z nachmurzonymi brwiami śledziła po kryjomu jednego

z cywilów, w którym natychmiast poznała „Ryszarda”. Mało zmieniły go wąsiki i cywilny garnitur. Lecz on nie przypomniał sobie Andzi. Była przecież w jego życiu tylko drobnym fragmentem, przelotną miłośką, które rachował na dziesiątki. Ona ze wszystkich była najmniej kłopotliwa, a najwięcej mu oddana. Jakże więc mogła się utrwalić w jego pamięci? Zresztą i strój zmienił ją do niepoznania. Miała na sobie drogą jedwabną sukienkę, jedwabne pończochy, lakierki i była modnie uczesana. Poza tym wyrosła, wydobrzała. Już nie była zabiedzona, nieśmiała, licho odzianą dziewczyną a pełną wdzięku, elegancko ubraną kobietą... chociaż i prostytutką.

W pewnej chwili „Ryszard”, obtańcowując dziewczynki — był dobrym tancerzem i lubił tańczyć — żartobliwie porwał Andzię do tańca.

— Śliczna Elżunia mi kogoś przypomina — rzekł do niej.

Andzi serce zakolało w piersi, a twarz zbladła.

— Kogo... — szepnęła słabnąc.

— Jedną taką... z filmu, czy z teatru... — trochę płacząc się w mowie, odrzekł niedbale jej dawny kochanek.

Dziewczyna poczuła, że łzy jej nabiegają do oczu, ale „Ryszard”, nie dostrzegając tego poszedł tańczyć z następną dziewczyną. Andzia ściagała go gorącym spojrzeniem.

Za dużym stołem — zestawionym z czterech mniejszych — siedzieli ci, którzy nie tańczyli. Cały był zastawiony butelkami i przekąskami. Andzia siedziała obok pewnego porucznika, który poprzednio był bardzo wesoły, lecz po wypiciu większej ilości alkoholu, nagle wpadł w mroczny

nastrój i dziko spozierał błędnymi oczami po otoczeniu. „Ryszard” siedział naprzeciw. Andzia nie odrywała od niego oczu, starając się, aby tego nie dostrzegł.

Atmosfera na sali i humory w miarę picia i palenia, zgęszczały się coraz bardziej. Ktoś z cywilów zaczął śpiewać „Dubinuskę”. Nie bacząc na to, że pieśń tę uważano za wolnomyślną, dołączyła się do niej chórem i „armia”. Właściwie mówiąc nie śpiewano, a ryczano, bo każdy chciał przekrzyć innych.

W pewnej chwili „Ryszard” przyniósł z bufetu kilka dużych grusz i zaczął rzucać je dziewczętom. Andzia sprytnie złapała swoją gruszę. Lecz jej koleżanka, Złota Pola, która usadowiła się na kolanach porucznika, który wpadł w mroczny nastój, tak niezgrabnie sięgnęła ręką po owoc, że odbił się o jej dłoń i uderzył w twarz porucznika. Oficer zbladł. Zrzucił dziewczynę z kolan na podłogę i porwał się z miejsca.

— Kto to zrobił?! — zapytał chrapliwie, zwracając się do obecnych.

Początkowo nie zrozumiano o co chodzi, więc wszyscy milczeli.

— Ja... pytam... kto mi to zrobił?!... — urywanym głosem mówił, chwiejąc się na nogach, oficer.

„Ryszard” zrozumiał, że chodzi mu o gruszę, którą Złota Pola tak niefortunnie łapała. Więc wstał z miejsca i rzekł:

— Przepraszam Pana bardzo. Ja rzuciłem gruszę, lecz wina, właściwie, nieczyja, bo dziewczyna niezgrabnie ją złapała. Nikt nie chciał Pana obrazić. Niech się Pan uspokoi.

— Co?! — wrzasnął oficer. — Pan... mnie...
uspokoić... Łajdaku!...

— Niech się pan zastanowi — zaczął „Ryszard”.

— Co-o?!... Ach ty draniu!...

Oficer, któremu w kącikach warg ukazała się ślina, szybkim ruchem wyrwał z tylnej kieszeni u spodni pistolet i robiąc krok w tył, uniósł w górę rękę.

Andzia, która zaciskając ręce na piersi, z zapartym oddechem śledziła jego ruchy, zwinnie skoczyła naprzód, tak że się znalazła w pólśiedzącej pozie na stole. Była zwrócona tyłem do dawnego kochanka, a twarzą do porucznika. Chwyciła dłonią lufę pistoletu. Padł strzał...

— Nie strzelaj! toż „Rysiek”... mój „Rysiek”! Na Boga, nie strzelaj! — krzyczała dziewczyna, której po twarzy ściekały łzy, a po sukni krew.

Koledzy porucznika odebrali mu broń. Andzia osunęła się na podłogę. Przeniesiono ją na kanapę przy ścianie.

— „Rysiek”... „Rysiek”... — słabym głosem wołała dziewczyna.

I on ją poznał teraz. — Nikt go od dawna „Ryszardem” nie nazywał. Zbliżył się do dziewczyny, która ocaliła mu życie i blady, zdenerwowany, wziął ją za rękę, badając tętno...

— „Ryśku” złoty... Mam u gospodyni pieniądze... Zajmij się Olkiem... toż to twój synek... Rysiu... złoty...

Nie zrozumiał o co chodzi. Zdumiewało go to, że Andzia wie, iż ma z Halszką synka. (Miał też na imię Aleksander). Nie wiedział, że dziewczyna mówi o swym własnym synie.

— Dobrze, dobrze — rzekł — pieniędzy nie trzeba... ja wszystko zrobię.

— Ryśku, kochany... ja tak czekałam... czekałam... Ryśku...

Umarła wkrótce. Prawie szczęśliwa. „Rysiek” dopatrzy Olka”. I tak Wiewiórka odeszła na zawsze.

W okna zaglądał siwy, smętny poranek.

Ciotka odebrała od gospodyni pieniądze Andzi, o których dawno wiedziała. Początkowo wydały jej się dużym kapitałem i nadal otaczała pewną opieką syna Andzi. Z biegiem czasu jednak troskliwość ta zmniejszała się coraz więcej. A po upływie roku, ciotka przestała zupełnie dbać o chłopca.

— Ciociu, jeść chcę — wołał Olek.

— Milcz, bękarcie! — wrzeszczała kobieta. Żadną ci ciotką nie jestem. Przybłęda jeden. Nie ma na ciebie śmierci, cholery jakiej... Inne dzieci mrą i mrą, a ta poczwara ani nawet nie zachoruje!

Ciotka teraz kolejno sprzedawała rzeczy chłopca, których Andzia dużo dla niego kupiła. Przede wszystkim sprzedała jego łóżeczko, potem ubrania, buciki, bieliznę. Wreszcie został w jednym lichym kostiumiku.

Znów nadeszły dla dziecka dni głodu. Dni tym straszniejsze, że nie umiał zupełnie ani poradzić sobie, ani się skarżyć. Głód pozbawił go sił. Ciągłe bicie i wymysły ciotki zaczęły obracać go w zwierzątko, które milcząc, nieufnie śledziło każdy jej ruch. Gdy ciotka od czasu do czasu rzucała mu coś do jedzenia: nie z litości, lecz aby nie zdechł

tak raptem, — to jadł łapczywie, prawie nie do-
szukując się smaku w jedzeniu. Spojrzenie jego
zaostrzyło się, zrobiło się przenikliwe. Ruchy były
skąpe. — Podświadomie rozumiał „ekonomię”
sił i ściśle do niej się stosował.

Minęła druga, po śmierci matki, szczególnie
ciężka dla Olka zima. Nadeszła wiosna. Chłopiec
puchł z głodu i słaniał się na nogach. Ciotka oczeki-
wała, że wkrótce zdechnie i coraz rzadziej da-
wała mu jeść...

Pewnego dnia, gdy pijana ciotka gdzieś wyszła,
nie zamykając go w izbie, Olek wy dostał się z su-
tereny i przytrzymując się poręczy, zaczął powoli
iść w górę po śliskich kamiennych schodach.

Gdy znalazł się na dziedzińcu, ledwie stał na
nogach, oślepiiony od dawna niewidzianymi pro-
mieniami słońca, otumaniony powietrzem. Zakrył
twarz dłońmi i chwiał się w tył i w przód... Wy-
glądał okropnie. Sinawa, obrzękła, pokryta stru-
pami głowa. Na ciele wrzody. Ubranko postrzę-
pione, wilgotne, lepiące się od brudu. Zaczerwie-
nione oczy. Cieniutkie nogi i ręce. I na tym nędz-
nym ciele tuczyło się jeszcze mnóstwo wszy.

Podwórzem szedł młody czeladnik, pracujący u
szewca. Wesoło pogwizdywał. Dostrzegł wlepione
w siebie oczy dziecka i z początku się cofnął, —
tak dziwne i dzikie było spojrzenie. Potem zacisnął
pięści i skierował się w stronę Olka.

— Ja ci zaraz kości połamię! Ja ci łeb ukręcę!

Olek resztą sił rzucił się do ucieczki. Prawie
się stoczył po schodach w dół, do małego koryta-
rzyka i tam ukrył się w ciemnym kątku. Do miesz-
kania ciotki nie wbiegł, bo wiedział że nie zdąży
prędko odemknąć drzwi.

Lecz czeladnik go nie ścigał. Gwizdząc poszedł dalej.

W suterenie, naprzeciw drzwi do ich izdebki, były inne drzwi. Mieszkał tam nocny stróż z tartaku i jego żona. Starsi ludzie. Gdy Olek się schował w korytarzyku, żona stróża ugotowała jedzenie dla psów i wystawiła je w wiadrze za drzwi — aby wystygło. Zapach jedzenia zwabił Olka. Wyłaził ze swego kąta i zbliżył się do wiadra. Parząc sobie ręce, wyjął z wiadra ochłap mięsa, znów uciekł do kąta i tam chciwie je pożarł. Potem prze-zornie roztarł ślady na podłodze, wyjął jeszcze coś z wiadra i schował się do mieszkania.

Od tego czasu zaczął systematycznie wykradać z wiadra przygotowane dla psów żarcie. Kradł je nawet na zapas, bo parę razy się zdarzyło, że mu w tym przeszkodono. Więc zrobił sobie w izbie ciotki skrytkę i tam chował w blaszanym pudełku kawałki „psiego” mięsa i mokre skrawki chleba.

Ciotką nie mało się zdumiewała, że bękart, który — jak przypuszczała — wkrótce zdechnie, nie tylko żyje, lecz nawet zaczął coraz lepiej wyglądać.

— To sucze nasienie — warczała: — jak chwast: byle gdzie rośnie.

Po kilku miesiącach pobytu na psim wikcie, Olek przyszedł do sił i zdrowia. Opuchlizna znikła z twarzy, rąk i nóg. Wrzody też poznikały... Psom jedynie, nie ludziom, mógł zawdzięczać to, że żył, lecz nie rozumiał tego wcale. Nie rozumiał, że obrywał zwierzętom i tak skąpą rację. Nie wiedział, że gdy on zaczął nabierać sił, psy zaczęły chudnąć i cierpieć głód.

Wkrótce Olek zaczął coraz częściej i dalej wy-mykać się z sutereny. Ciotka mu w tym nie przesz-

kadzała. A on poznawał świat. Pierwsze jego zainteresowanie wzbudził śmietnik na drugim podwórzu, w pobliżu ustępu. Tam znalazł źródło wielkich bogactw i skwapliwie z nich korzystał. Znajdował tam obcięte z chleba suche skórki. W pudełkach po konserwach były resztki ich zawartości. Trafiały się i kawałki spleśniałej kielbasy. Z kości wydostawał szpik. A ileż tam było innych skarbów, które sobie przyswajał i z wielką przebiegłością chował po kątach podwórka i w suterenie.

Tak żyło ludzkie szczenię, nieszczęśliwsze od szczenięcia prawdziwego, bo więcej cierpiące od nędzy i więcej bezradne. Tak walczyło o życie. I jeśli ocalało, to tylko sobie to zawdzięczało i psom. Nie ludziom.

Kiedy Olek stał się złodziejem — nie wiadomo. Może był nim przez całe życie. Może to się stało wówczas, gdy zaczął wykradać psie żarcie. Nie wiem. Wiem tylko na pewno, że nie „odziedziczył” tego po przodkach, że nie miał „wrodzonych zbrodniczych skłonności, że nie był „przestępczym typem”.

Jedno jest prawdą: przestępcą zrobiło go życie. Zbrodnia — była z początku jedyną jego możliwością utrzymania się przy życiu, a potem — jedynym zostawionym mu fachem — najgorszym, najcięższym jaki może istnieć. Jeśli są ludzie, którzy będą mieli dla niego pogardę, to znajdą się i inni, którzy go zrozumieją. Ja tylko podam najcharakterystyczniejszą część jego życia, w której Olek — o jak rzadko — wychodził ze swej ślimaczek skorupy, w której ukrywał się przed ludźmi.

Składały się na nią: upór, nieufność i milczenie. Były to również cechy jego matki, której wolno było tylko milczeć i pracować.

Nie oprowadzę was po wszystkich jego kryminałach i spelunkach. Nie będę snuł długiej nici jego cierpień i doświadczeń. Opowiem wam o jego miłości. O prawdziwej miłości... O tym, jak się dziwnie wplotła — jak drut koleczasty w żywe ciało — w liche życie złodzieja... i co z niego mogła zrobić, a co zrobiła.

A teraz, aby wlać trochę światła w ten ponury obraz, opowiem wam jeszcze jedną rzecz... „Ryszard Zdobywca Serc” miał syna nie tylko z Andzią, lecz i ze swą „cudną” Halszką. Dziwnym trafem dla obojga dzieci, które były w tym samym wieku, obrano za patrona Aleksandra. Lecz w życiu dzieci nie było żadnego podobieństwa. Już sama ciąża Andzi ściągnęła na nią wiele bólu i zmartwień. A ciąża Halszki była przyjęta z zachwytem i niecierpliwie oczekiwano przyjścia na świat potomka dwóch rodów. Gdy Olka starano się zgładzić i przed jego narodzeniem i później, Olka Halszki pielęgnowano jak najtroskliwiej. Gdy Olek Andzi cierpiał z głodu, Olek Halszki niedomagał z przejedzenia. Gdy Olek Andzi kradł zarcie psom, Olkowi Halszki psy nieraz zabierały z rąk smaczne kąski. Gdy Olka Andzi uczyła ulica, złodzieje i kryminały, Olka Halszki kształcono w najlepszych zakładach naukowych, pod nadzorem najwybitniejszych pedagogów. Jeden wszedł w życie uzbrojony w dyplomy, wiedzę, protekcję, jako wykształcony, dobrze sytuowany człowiek. Drugi ciężko włókł się drogą żywota, uzbrojony w ciężkie

przeżycia i instynkt praktyczny. Jeden szedł po gładkiej drodze, drugi torował sobie przejście przez życie „szabrem”, a wytrychami zdobywał środki do życia. Jednemu kupiono pozycję „uczciwego obywatela”, drugi musiał sam sobie zdobyć tytuł błatnego *).

*) Po rosyjsku « błatny ». Błatny = złodziej, swój. Na błat, po blacie = nielegalnie. Błatować = kraść, kombinować. Zbłatować = namówić, zjednać, it.d.

I.

JAK WIOSNA ZŁODZIEJOWI SERCE SKRADŁA

Wiosna. Przyszła wczesna, parna, niespokojna. Szumiała wodą w rynsztokach i krwią w żyłach. Pijanym oddechem topiła zwały brudnego śniegu. Kąpiel dźwięcznie szastała w krąg domów. Woda mętniała w kałużach, a myśli w głowie.

Tego dnia Złotą Górką szedł w kierunku śródmieścia zawodowy złodziej Olek Baran. Miał około 40 lat... Wzrost średni. Twarz owalna, nieco mongolska. Oczy lekko skośne, piwne. Ubrany był w rozpięty na piersi frencz i cyklistówkę. Na nogach miał wściekle lśniące, elegancko wykute chromowe buty.

Baran sprawiał wrażenie solidnego obywatela. Czysto ubrany, dobrze wymyty i ogolony. Na lewej ręce masywny pierścień z dużym rubinem. Spojrzenie spokojne, jakby zamyślane, czy rozmazane. Lecz jego skośne oczy widziały i nieomylnie szacowały wszystko co się działo dokoła. Czaiło się w nich doświadczenie. 30 lat złodziejskiego fachu. Był małomówny, zrównowagony, spokojny,

lecz w świecie złodziejskim był szanowany i wysoce ceniony za solidność złodziejską, za spryt w pracy i za ogromną siłę charakteru. Baran nawet żargonu złodziejskiego prawie nie używał. Uważał, że to potrzebne dla „szpamy”*), która niczym innym zaakcentować swego „blatniarstwa” nie może.

Olek nie szedł na robotę. Chciał zobaczyć dawnego spółnika, Kazika Moreckiego, który z jakichś powodów drapnął z Wilna do Mińska i na razie melinował się u paserki Cypy na Niżnim Rynku. Lecz spotkanie to nie odbyło się. W pewnej chwili Baran dostrzegł zamożnie ubraną panią, która wychodząc z bramy domu chowała do torebki klucze. Złodziej natychmiast zrobił kilka wniosków: idzie po zakupy; mieszkanie puste, albo zostały w nim dzieci lub piesek; mieszkanie może być zasobne.

Baran odprowadził panią do końca ulicy: chciał się przekonać czy nie wróci zapomniawszy czegoś w mieszkaniu i zbadać kierunek jej drogi. Rzeczywiście szła w kierunku Trojeckiego Placu, gdzie tego dnia odbywał się targ.

Olek prędko wracał. — Dobrze, że wziętem „statki” — myślał. W dzień — jeśli nie szedł na „robotę” — Baran narzędzi złodziejskich ze sobą nie nosił. Był za ostrożny: — a nuż hint zatrzyma i zrewiduje. Niósł je dzisiaj dla Kazika.

Na podwórzu Baran prędko znalazł zamknięte na dużą cухaltową kłódkę drzwi. Wejście było wygodne — niewidzialne z okien innych mieszkań. Baran wdusił mocno palcem przycisk dzwonka.

*) Żargonu złodziejskiego używam umiarkowanie, dla nadania charakteru treści. Sądzę, że czytelnikowi nie zaszkodzą te lekcje « obcego » języka.

Zaczekał. Nikt się nie odezwał. Baran skłuczył drzwi. Szabrem skręcił kłódkę i wszedł do mieszkania. Zostawiając wszędzie drzwi otwarte, obejrzał pokoje i odemknął okno na ogród. Zrobił obchód. Wrócił na ganek i zamknął drzwi wytrychem, a trochę nadwyreżoną kłódkę umieścił na skoblu. Teraz, z zewnętrznego wyglądu mieszkania, nawet właścicielka nie mogłaby się domyśleć, że wewnątrz złodziej pracuje. Olek wlaźł do mieszkania przez otwarte okno i przytknął je za sobą.

Baran, nawet pracując na ślepo — jak teraz — wyrabiał kradzieże czysto. Wolał odłożyć robotę na później i ją „wystawić” lub zupełnie porzucić, niżli spartolić. Rozpoczął plądrować mieszkanie od sypialni — tam najczęściej są drogie rzeczy. Przejrzał szuflady nocnego stolika i toalety. Następnie zabrał się do komody. Pracował sprawnie i prędko. Zamknięte szuflady otwierał i wyjmował jednym krótkim ruchem szabrami. Następnie wyrzucał zawartość ich na podłogę w pobliżu komody. W ten sposób oczom od razu ukazywała się cała ich zawartość. Rzeczy wartościowe Baran wsadzał do kieszeni; inne — godne uwagi — rzucał na środek pokoju. Zbadał szafę na ubranie; zajrzał pod obrazy — tam może być skrytka; obejrzał duży ścienny zegar — ten też może służyć za schowek na pieniądze.

Po sypialni Baran zabrał się do stołowego pokoju. Po zrewidowaniu kredensu przeszedł do gabinetu. Spenetrował biurko. Zdjął nawet górny blat i zajrzał doń z góry — jak do ula. Szukał skrytki. Cała robota trwała nie więcej jak kwadrans czasu. Pracując Baran jednocześnie nasłuchiwał: co dzieje się na zewnątrz. Pracował prędko.

ko, lecz z zupełną pewnością siebie. Żaden szczegół nie uszedł jego uwagi.

Baran zebrał łupy: dwa, prawie nowe męskie garnitury, damska suknia, męskie futro, zakiet karakułowy, garnitur srebra stołowego. Prócz tego miał w kieszeni kilka złotych monet, 3 pierścionki, bransoletę i złoty damski zegarek z łańcuszkiem. Chował je od razu. W pewnej chwili przypomniał sobie, że Staś Doróżkarz prosił go o przyniesienie z roboty bielizny dla niego i dla żony. Więc wybrał kilka najlepszych par bielizny. Potem mocno okręcił rzeczy w prześcieradło, aby wyszła jak najmniejsza paczka. Przewiązał ją sznurkiem, a z wierzchu owinął w duży arkusz papieru. Pakunek był niezbyt wielki i... niepodejrzany. Można było śmiało wyjść z tym na ulicę.

Są złodzieje, torbochwaty, którzy byle jak wyrabiają robotę. Partolą — jak mówią o nich wytrawni blatniacy. Wpadnie taki do mieszkania, nachwyta byle jakich ciuchów, pozostawiając wartościowe rzeczy, skręci w węzeł i, dygocząc ze strachu, chyc na ulicę.

Idzie z majdanem — „szmokty” mu się rozlążą. Z tyłu rękaw babskiej bluzki się majta, z przodu szal dynda, a tu jakaś mufka lub majtki się gubią. Sensacja na całą ulicę! Jak na takiego nie zwrócić uwagi? Po prostu sam na kurację do „kicza” się prosi. „Moser” go i chaps! albo „menta”. A zdarzało się, że i cywile takich zatrzymywali.

Z zachowaniem wszelkich ostrożności Baran się odbił czysto z roboty i udał się wprost do pasera. Opylił wszystkie rzeczy, chociaż sam na niektóre miał chrapkę. Szczególnie futro mu się podobało i jeden pierścionek. Lecz się nie skusił. Od dawna

miał zasadę: nie pozostawiać nic z roboty sobie — lepiej kupić pięć razy drożej, a nie dawać trefnych rzeczy w prezencie. Wyjątek stanowiła nieznaczonea bielizna, jeśli brał ją dla siebie lub swoich — jak teraz dla Stacha Doróżkarza i jego żony, którzy go o to prosili. Zresztą Stach nie był frajerem. Sam kiedyś blatował. Teraz na robotę nie chodził, lecz należał do ferajny i często lepszym chłopakom pomagał: facjenta przewoził lub roboty nadawał.

Późnym wieczorem Baran wyszedł wąskim zaułkiem, obok żydowskiej bożnicy, na Łogojski trakt. Szedł powoli, starając się jak najmniej zabrudzić nowe buty. Zatrzymał się obok olbrzymiego zajazdu Szlomy Goja, który utrzymywał niestałą, lecz dość popularną u starozakonnych komunikację furgonową z Łogojskiem i Borysowem. Staś Doróżkarz odnajmował od Szlomy mniejszą stajnię i małe mieszkanie w głębi podwórka.

Baran stał pewien czas przed bramą, potem wszedł na tonący w błocie dziedziniec. Powoli posuwał się naprzód, kierując się na światło, padające z okna stróżówki.

Nagle na dziedziniec jak perły wysypały się kaskady śmiechu. A potem rozległ się nerwowy głos kobiety:

— Przestań że!... Wiesz, że boję się łaskotki... Oj!...

I znów śmiech... Tak wesoły, tak porywający, że i obcemu trudno było się powstrzymać od uśmiechu.

Baran stanął i śmiech ustał. Tylko słyhać było dochodzące przez otwarty w oknie stróżówki lufcik kobiece głosy. Jeden głos był urywany, jakby gotowy lada chwila znów śmiechem wybuchnąć. Drugi niski, pełen irytacji.

Olek zbliżył się do okna, które tylko do połowy było osłonięte firanką. Za nią, na parapecie, stały doniczki z kwiatami. Spojrzał w głąb pokoju. Tylną jego ścianę osłaniał duży parawan. Tło jego było szkarłatne, a na nim — w jaskrawym świetle dużej lampy — lśniły złote motyle... Na tle parawanu, naprzeciw lustra, dziwnie uroczym wykwitała postać dziewczyny. Była to młoda pulchna blondyna. Ramiona miała nagie. A u jej stóp klęczała inna kobieta, o wiele starsza, prawdopodobnie szwaczka. Blondynka przymierzała sukienkę. Odbita w lustrze jej postać, była dziwnie lekka, jakby nierealna. Może sprawiała to wrażenie błękitna sukienka, może lustro, może jaskrawe światło lampy, może kontrast z ciemno ubraną szwaczką, może lekkie puszyste włosy, może nagie ramiona. Baran patrząc na nią, tchu nie mógł złapać z zachwytu. Zdawało mu się, że dziewczyna płynie w powietrzu, że lśni jak tamte złote motyle z parawanu, że zaraz zniknie.

Znów się rozległ wybuch śmiechu, który ciepłem wypełnił pierś Olka i jakby ścisnął mu serce. Zaraz potem odezwał się głos szwaczki:

— No, nie kręć się, bo ukłuję...

— Kiedy... łaskoczesz...

Blondynka, przesłaniając dłonią oczy od światła, przechylała się w lewo i w prawo, oglądając siebie w lustrze. Uwydatniała biodra, patrzyła w dół, odsłaniała zgrabne łydki. Gdyby nie lustro,

to wyglądałoby to tak, jakby umyślnie demonstrowała stojącemu za oknem mężczyźnie swą urodę.

Baran długo stał nieruchomo, a gdy znów wybuchnął śmiech, drgnął i cofnął się od okna. Potem zsunął w tył głowy cyklistówkę i długo bezmyślnie uśmiechał się. Długo tak stał... Westchnął i stanowczo ruszył, nie zważając już na błoto, w kierunku mieszkania Stacha Doróżkarza.

Powaga i uczoność Stacha Doróżkarza były niewątpliwe i one najwięcej imponowały lepszym blatniakom, bo Stach z byle kim się nie zadawał. Stach Doróżkarz pochodził z Częstochowy. Był złodziejem, lecz nie szło mu: więcej siedział w więzieniu, niżli był na wolności. Wreszcie wyjechał do Warszawy i tam objął posadę portiera i stróża w gimnazjum koedukacyjnym. Obcując z ciałem pedagogicznym i uczniami, przyswoił sobie masę wiadomości i sam zaczął mówić górnolotnie, co niemało bawiło jego przełożonych i uczniów. Nauczył się nawet czytać, tylko z pisaniem było gorzej. Umiał pisać tylko cyfry i to arabskie. Wreszcie Stach wyjechał do Wilna. Tu znów zaczął kraść, lecz zaraz wpadł do więzienia. Tam poznał się z Olkiem Baranem, który był słynnym na bruku wileńskim złodziejem-klawisznikiem. Po wyjściu na wolność Stach porzucił Wilno i wyjechał do Mińska. Tam stał się doróżkarzem. Wreszcie ożenił się i usatkwował. Owszem, blatował nadal, lecz tylko z firmowymi chłopakami. Przewoził facjenta; w nagłych wypadkach melinował wystawnych chłopaków; czasem i robotę nadał, bo oko miał złodziejskie, a w związku ze swoim nowym

fachem, z różnymi ludźmi obcował i rozmaite rzeczy spostrzegał.

Baran zastał przyjaciela w domu.

— Co słyhać dobrego? — rzekł Staś.

— Po zimie już... Tak... — oznajmił Baran i machnął dłonią, jakby wskazując kierunek, w którym zima odeszła.

Staś skinął głową i głucho kaszlnął. Potem długo ruszał szczęką i wargami, jakby delektując się smakiem flegmy. Wreszcie otworzył usta. Lecz mówić zaczął nie od razu, niby czekał aż słowa, które gdzieś w głębi brzucha tkwią, w górę nadpłyną. Wreszcie zaczął rzeźić głucho, tajemniczo:

— Już się przebiła atmosfera... Przeszła fala lodowata... Teraz pójdą prądy afrykańskie... — objawił poważnie i uroczyście.

Baran oczyścił miotelką buty z błota, potem naprowadził glans aksamitką, którą zawsze nosił w kieszeni. Troskliwość o buty była jego manią. Może odziedziczył to po matce, która sporą część swego krótkiego życia spędziła na czyszczeniu cudzego obuwia. Następnie rozpiął frencz i wyjął sporą paczkę bielizny. Rzucił ją na łóżko. Staś i żona jego, Bronka, mała szczupła, wymizerowana, zaczęli przeglądać bieliznę. Była nowa i w dobrym gatunku.

— Ile ci wyłożyć? — spytał Staś.

— Nic.

— To trochę nie tego... — rzekł Staś. — Chyba wypijemy.

— Wypić można.

— Bronka, machnij za hamizą! — rozkazał Staś żonie.

Gdy kobieta wyszła z mieszkania, Staś, chwając bieliznę do kufra, powiedział:

— Jutro każę Bronce te patenty (miał na myśli monogramy) wypruć... Różnie w życiu społecznym bywa.

— Prawilnie mówisz — potwierdził Baran.

Gdy wróciła Bronka przyjaciele zasiedli do stołu. Pili powoli, przegryzając kiełbasą i ogórkami. Kobieta również — udając zażenowanie — wypila parę kieliszków. Staś znów się zakaszłał. A gdy atak minął długo przeżuwał flegmę i ciężko odychał:

— Dusi mnie ta cholera... dychawica... To to samo co i reumatyzma... Tylko reumatyzma, to ona, ścierwo po kościach łązi, a ta abstrukcja więcej pod serce podpiera.

W pewnym momencie, który Baran uznał za odpowiedni, bo sam był trzeźwy, a Stach dobrze już popił, zapytał przyjaciela.

— Kto u was mieszka naprzeciw?... — Co za jedni?...

Pytanie to dawno miał na języku, lecz sam nie rozumiał dlaczego tak długo z nim zwlekał i po co tak politycznie zachodził z boku.

— Naprzeciw? — powtórzył Staś. — Naprzeciw cieć mieszka. U Szlomy Goja „padły” pilnuje. Majdanu też dogląda, no i uniwersalnie znaczy się całą stajnię sztafiruje. Zajac się nazywa, bo mu na zabawie w Sierebriance odważnikiem górną wargę rozparcelowali... I w ogóle pysk ma antysemitki.

— A co tam są za szmary?

— Co za szmary?... Szmary zwykłe... Siostry jego znaczy się. Jedną, na ten przykład, Kurtą wo-

łają, bo nogi ma krótkie jak ty ręce i krzywe. Ta też u Szlomy przy krowach urzęduje. A druga... starsza... dzybata taka... Ta to szwaczka... Bieliznę i inne temu podobne kalesony manufakturowym sposobem wyrabia.

Staś znów się zakaszał i jako lekarstwa zażył sporej ilości wódeczki. A Baran z jego opowiadania wywnioskował, że tamta dziewczyna, o którą mu chodziło, nie mieszkała u stróżów. Gdy dorożkarz przestał kaszleć spytał go:

— A przychodzi tu taka blondyna. Tip-top marchucha. Z pysku klawa i w podstawie niczegowata?

Staś zastanawiał się:

— Toż chyba Pawcia... Pucółowata i na pysku trochę karakułowa... Drobny taki karakuł — poruszał palcami przy czole, policzkach i nosie — określając w ten sposób ślady po ospie.

— Chyba że ona. Podpalana blondyna. Sukienkę u szwaczki mierzyła.

— Ona i jest... Paulinka — rzekł Staś, potwierdzając swe słowa uderzeniem pięści w kolano; które przy tym do góry skoczyło. — To niby ich siostrzenica. Córka Niury. A Niura jest antyczną (pewnie chciał powiedzieć autentyczną) ich siostrą... Tego Władka Zajaca, no i Kurty... Bali ich wołają... Pawcia tu często lata. To majtki, to rajtki. Wiadomo: swoja szwaczka. A dziewczka do ustrojenia pierwsza.

— A czy ona jeszcze nie tego?...

Baran nie dokończył myśli, lecz Staś w lot go zrozumiał.

— Nie... Jeszcze nie żonata... Matramanialnie wolna... Panna z mlekiem... Jak to się mówi po hebrajsku: przechodzowana ale git.

Baran prędzej niż zwykle pożegnał Stacha. Miał nadzieję że jeszcze raz zobaczy przez okno Paulinę, lecz w mieszkaniu stróża było już ciemno. „Pewnie poszła do domu”.

Olek wyszedł na ulicę.

Szumiało mu w głowie od wypitej wódki, a jednocześnie miał w sobie jakiś dziwny niepokój i smutek. Szedł przed siebie nie wiedząc gdzie, nie dostrzegając ani drogi, ani przechodniów, bez wyraźnej myśli w głowie, bez celu. A dokoła wszystko się budziło do życia. Rynsztokami rwały strumienie wody. Z dachów pełzły ciężkie zwały śniegu. Wiosna była w rozkwicie. Pijana ziemia majaczyła nieprzytomnie, a powietrze oszałamiało jak wino.

Baran późno wrócił na melinę. Katarzyna Sperda, właścicielka dwóch domków, mających po dwa mieszkania każdy, długo czekała na niego z kolacją. Może go „związali” — myślała trwożnie — i pilnie nasłuchiwała kroków, z rzadka idących Bondarewskim zaułkiem przechodniów.

Katarzyna Sperda miała około pięćdziesiątki, lecz była zdrowa, silna i dobrze wyglądała. Babina często zmieniała kochanków — blatnych przeważnie i sama nie miała im za złe, gdy ją porzucali. Z Baranem żyła drugi miesiąc. Od początku jego przybycia do Mińska. Oboje byli z siebie zadowoleni. Baran miał tu spokój i bezpieczeństwo, jakie rzadko można mieć na złodziejskich melinach. A Katarzyna miała za kochanka firmowego złodzieja, który czysto się trzymał, dobrze ubierał, nigdy nie kłął i zawsze był dziwnie poważny. „Hrabia i już” — myślała Sperda.

Gdy Baran wrócił do domu Katarzyna zapro-

ponowała mu, by zjadł kolację. Nie chciał. Wypił tylko szklankę mleka i zaraz poszedł spać. Leżąc na łóżku zapalił papierosa. A Katarzyna zamknęła drzwi na zasuwkę i zaczęła się rozbierać. Siedząc na łóżku długo zdejmowała pończochy, ukazując tłuste, białe kolana (wypróbowany środek podniecający). Lecz Baran wcale nie zwracał na nią uwagi.

— Josna się robi — „politycznie” zagadnęła go Kasia spuszczaając lewą nogę z łóżka i zsuwając pończochę z prawego kolana.

— Uhum... — odburknął Baran, patrząc gdzieś w sufit.

Kasia westchnęła. „Pewnie zmęczony”. Potem zdmuchnęła lampę i polazła spać na „karpaty”. Lubiła babina ciepło, a piec tak dobrze był napałony, że szkoda z tego nie skorzystać.

Baran palił papierosy i długo przewracał się z boku na bok. Wciąż stała mu w oczach objawiona w świetle lampy w mieszkaniu „ciecia”, Władka Zająca, dziewczyna. Była tak śliczna. Tak słodko się uśmiechała. Tak cudnie lśniły jej oczy. Tak urocze miała kolory na twarzy. Tak foremne ramiona, stopy, szyję. Tak lekką sylwetkę. Tak piękne, puszyste włosy... A jej srebrny śmiech zatrzymywał mu serce w piersi i rzucał falę krwi w twarz.

— ...Pawa... Pawka... Paulinka... — wyszeptał Baran w ciemności i uśmiechnął się. Potem znów zapalił papierosa.

Dziwny to był stan... Nieznany dotąd Olkowi: słodki i trwożny... A może to wszystko wiosna robiła. Wiosna urocza, potężna, szalona, która nie

wybiera: czy to serce księcia, czy złodzieja, czy zwykłego obywatela. Dla niej są to tylko ludzie, jednakowym prawom Natury podlegli i wobec nich tak samo słabi. Więc lubi im swawolne figle pła- tać, bo jest wciąż młoda i lubi się śmiać i bawić.

II.

MISTRZ WYTRYCHA PREZENTUJE SIĘ, JAKO MISTRZ DRATWY

Na dużym, zaniedbanym podwórku bawiło się grono dzieci: trzech chłopców, w wieku od 9 do 12 lat i dwie dziewczynki. A za dziećmi wesoło się uganiał czarny, kilkumiesięczny kundel. Jego psie serce rozsadzała radość i chęć okazania swej życzliwości tym oto towarzyszom zabawy. Pies był bezpański. Nie wiadomo skąd się znalazł na tym podwórku i nie wiadomo dlaczego tu został. Może dlatego, że pies zawsze się czuje nieszczęśliwy, jeśli nie ma opiekuna. Pies ma potrzebę należenia do kogoś, chce mieć swego pana — aby go lubić i... bronić. Nie to, że pan będzie głodził, bił; lecz może czasem i pogłaszcze.

Mieszkańcy domu, którzy przyzwyczaili się do obecności psa na podwórzu, nazwali go Żuk. Czasem ktoś rzucił mu kość, skórkę od chleba. Czasem go kopnął, lecz był to już swój pies, wszystkim życzliwy, zawsze wesoły, wylażący ze skóry, aby jakoś dogodzić.

Dzieci dokuczały mu ogromnie. Nieraz piszczał

i skowyczał, będąc obiektem bardzo bolesnych eksperymentów. Lecz po chwili wszystko się zapominało i Żuk wesoło uganiał wraz z rozbawioną czeredą, skacząc i naszczekując.

Dzieci są miłe. Dzieci są przyszłością każdego narodu. Lecz nie wiele trzeba spostrzegawczości, aby zrozumieć, że podstawową cechą charakteru dziecka jest okrucieństwo, a drugą — egoizm. Dopiero wychowanie łagodzi w nich te zasadnicze strony charakteru i usuwa w cień, gdzie... drze-
mią.

Tego dnia dzieci były szczególnie wesołe i pomysłowe w urządzaniu zabaw. Jeszcze przed chwilą bawiły się długo na ulicy. Zabawa to była taka. We wnęce następnej bramy siedział ślepy staruszek. Był to żebrak, który położył przed sobą na chodniku czapkę i czekał jałmużny od przechodniów. Gdy ktoś wrzucał monetę do czapki, żebrak, mówiąc głośno modlitwy, zabierał pieniądz i chował. Dzieci przywiązały nitkę do dużego, mosiężnego guzika i kolejno przechodziły obok staruszka, starając się trafnie wrzucić guzik do czapki, a następnie szarpnąć za nić, aby guzik wydostać z powrotem.

Gdy dzieci uczyniły to po raz pierwszy, staruszek długo, bezskutecznie szukał dłonią w czapce monety. Dzieci, stojąc o kilkanaście kroków dalej, chichotały radośnie, widząc jego wysiłki i zakłopotanie. Z tymże skutkiem powtórzono psotę. A gdy i po raz trzeci staruszek nie znalazł w czapce wrzuconej tam monety, zrozumiał, że ktoś z niego kpi. Żebrak przysunął bliżej kij i czekał. Dzieci spostrzegły to i przerwały zabawę. Tymczasem chodnikiem szła jakaś pani. Widząc że-

braka wyjęła z portmonetki pieniądz i wrzuciła do czapki ubogiego. Jakież było jej przerażenie, gdy, zamiast oczekiwanych błogosławieństw, spadł na nią silny cios kija. Kobieta wrzasnęła:

— Ach, ty łajdaku! Pijanico!

Wynikła awantura. Dzieci ogromnie ubawiły się tym zajściem i długo się śmiały. Trudno im było potem się uspokoić. Każde przypomnienie wywoływało nowe wybuchy wesołości.

Pies nie odstępował dzieci. Nie rozumiał ich zabaw, lecz ogólna wesołość i jego porywała, więc szczekał, skakał i głośno okazywał swą radość i szczenięcy zachwyty.

W pewnej chwili jedno z dzieci wystąpiło z pomysłem bawienia się w kopalnię... W jednym kącie podwórka znajdowała się stara, porzucona studnia. Od dawna nie korzystano z niej i z biegiem czasu, woda na dole zupełnie znikła. Pozostało tylko trochę szlamu, który deszcz od czasu do czasu rozrzedzał. Dzieci nazbierały różnych sznurów i zaczęły budować windę. Gdy winda była ukończona, powstało pytanie: kogo spuścić w dół?

— Żuka — powiedziała starsza dziewczynka.

Reszta dzieci to zaaprobowała. Schwytano kundla i usadowiono w skrzynce, słabo zawieszonej nad studnią na czterech sznurkach. Pies był trochę przerażony, lecz ufność w ludzi nie pozwalała mu zbyt gwałtownie protestować. Owszem: widząc niebezpieczeństwo skowyczał, przymilał się — prosił by go zwolniono. Nic nie wzruszyło jego panów. Dzieci zaczęły spuszczać w dół windę. Żuk drżał i tulił się do dna skrzynki.

— A teraz: katastrofa! Winda się urywa! — zakomenderowało jedno z dzieci.

Puszczono wierówki i skrzynia, obijając się o nierówne ściany studni, z łomotem poleciała w dół. Po chwili z dołu studni doleciał skowyt psa. Dzieci zaglądały w dół, lecz było tam zupełnie ciemno i nie można było dostrzec. Wówczas dzieci zaczęły palić papier i rzucać do studni, aby przy jego świetle zobaczyć wynik „katastrofy” w „kopalni”. Papier spalał się lub gasł nie dosięgając dna.

Pies pokaleczony spadł na dno studni. Prawie cały zanurzył się w szlamie. Rozpaczliwie wdrapał się na skrzynię, która spadła tuż przy jednej ze ścian studni. Spoglądał w górę i widział uwieńczone głowami dzieci brzegi studni. Zaczął piszczeć, skowyczeć — błagać o ratunek swych niedawnych przyjaciół... Wierzył jeszcze w ludzi. Lecz bezskutecznie... Był przerażony, gdy w dół zaczęły spadać płonące papiery. Drżał. Tulił się do wilgotnej ściany studni. Jednak płomienie nie dosięgały go. Znow zaczął błagać o pomoc, o ratunek... Jego dobre, psie serduszko nie mogło zrozumieć tego co zaszło. Za cóż go tak ukarano? Przecież tak ich lubił. Tak się cieszył ich widokiem. Starał się odgadywać każde ich życzenie. Był im tak wierny.

Nagle do studni spadł duży kamień. Potem drugi. Potem kamienie zaczęły spadać w dół prawie bez przerwy... Dzieci jakby oszalały. Biegały po całym podwórku, zbierały kamienie, cegły, kawały rdzawego żelaza, polana, drągi i wrzucały to wszystko do studni, starając się trafić psa, którego nawet dostrzec nie mogły. Opanowała je chęć morderstwa. Podniecała możliwość bezkarnego zabicia. Ponoślił sadyzm... to wszystko, co potem

się tłumi, a nieraz się przejawia (u ludzi dorosłych) w potworny, więcej zamaskowany, sposób.

Jeden z pierwszych kamieni złamał psu łapę. Kilka innych dotkliwie go skaleczyło. Pies zaczął pośpiesznie szukać ratunku. Wpełził w pokrywający dno studni szlam i wcisnął się pod wystający z błota brzeg skrzynki. Do połowy zanurzony wlepkiej, ziemnej, cuchnącej mazi, leżał okryty z wierzchu deskami skrzyni i drżał z zimna i strachu. A z góry toczyły się w dół kamienie. Obijały się o brzegi studni, dudniły po skrzyni i wpadając w szlam rozrzucały go dokoła.

Po dłuższym czasie bombardowanie ustało. Znowu brzeg studni otoczył wieniec dziecięcych głów. Patrzyły w dół. Nasłuchiwały... Cicho... Wreszcie rozległy się głosy:

— Żuczek!... Żuczek!...

— Ciu... ciu... ciu... ciu...

Cicho...

Pies się nie odezwał... Umarła w nim wiara w ludzi... Wyrosła nienawiść...

Wieczorem dziedziniec zaległa cisza. Pies drząc z zimna wylazł z błota i wczołgał się na skrzynię. Dręczył go głód. Bolała złamana łapa i zranione uderzeniami kamieni ciało.

W górze mgliście świeciły gwiazdy. Pies zaczął wyć. Skarzył się niebu na ludzi. Wył długo...

Do studni cicho zbliżyła się w półmroku sylwetka człowieka. Był to Baran. Spostrzegł, kiedyś, że na tym dziedzińcu jest wędzarnia, więc od czasu do czasu, przechodząc obok, zaglądał tu, oczekując kiedy się rozpocznie wędzenie nowej partii szynki i kiełbas. I teraz przyszedł tu w tym celu. Coś mu przeszkodziło, więc usunął się w głąb podwórka.

Stojąc w pobliżu studni posłyszał wycie psa. Z początku nie mógł zrozumieć, skąd pochodzi. Potem zbliżył się ku studni, przechylił się w dół i poświecił latarką kieszonkową. Odróżnił w dole białe dno skrzyni, a na niej ciemny tułów psa, który niespokojnie się poruszył i zamierzał uciec ze skrzyni do swej poprzedniej kryjówki. Baran zaklął.

— „Ot podłe bachory! Nic lepszego do roboty nie było!”.

Baran oddalił się od studni. „Zdechnie tam z głodu”. Wrócił do studni. Wyjął z kieszeni frencza zawiniętą w papier francuską bułkę i, świecąc latarką w dół, rzucił psu bułkę, starając się, aby trafiła na skrzynię.

Mieszkańcy stróżówki Szlomy Goja byli nie-mało zdziwieni, gdy pewnego dnia wieczorem przyszedł tam nieznany im mężczyzna.

— Dobry wieczór — rzucił od progu.

Wszyscy milczeli oglądając przybysza. Szwaczka przerwała pracę. Baran rzucił na ławkę cyklistówkę, zbliżył się do stołu i położył na nim owiniętą w papier paczkę.

— Proszę obejrzyć materiał — rzekł Baran do szwaczki.

Szwaczka zaczęła rozwijać paczkę, a Baran usiadł na krześle obok stołu i wyjął z kieszeni dużą srebrną papierośnicę ze złotymi monogramami. Wziął papierosa sobie, a drugiego rzucił przez pokój Władkowi Zajacowi.

Wladek nie palił, lecz jakoś nie umiał odmówić przybyszowi i zaczął nieumiejętnie ćmić papie-

rosa Wkrótce się zakaszła. Baran powiedział: „Rzuć!”. I Władek rzucił na podłogę niedopalonego papierosa. Tymczasem Lidia Bala — szwaczka — szczupła, blada, kobieta lat około 35, oglądała materiał. Była to sztuka naturalnego jedwabiu w kremowym kolorze. Kobieta z przyjemnością oglądała i dotykała dłońmi piękną tkaninę. Baran zwrócił się do niej:

— Wystarczy tego na dwie pary bielizny?

Szwaczka zdumiała się.

— Toż... szkoda...

— Czy wystarczy?

— Wystarczy i jeszcze zostanie.

— To proszę wziąć miarę.

Baran zdjął frencz i szwaczka wzięła miarę.

— Robota ma być ef-ef! — mówił Baran. Grunt odrobić dobrze kołnierzyki... Zresztą będę przychodził do miary.

Baran wkrótce opuścił mieszkanie.

— Kto to może być? Pewnie jakiś bogacz — zawyrokowała Lidia.

— Bogacz... bogacz... bogacz... — mówił Władek, który miał nałóg powtarzania wyrazów.

— Nie zapytał nawet ile za szycie. Pewnie dobrze zapłaci.

— Zapłaci... zapłaci... zapłaci... — potwierdzał Władek.

Tylko Romka, którą nazywano Kurta, milczała siedząc w kącie i przyglądała się obecnym ślicznymi oczami. Była upośledzona przez naturę. Miała bardzo krótkie krzywe nogi. Skutek przebytej w dzieciństwie choroby. Twarz jej była też brzydka. Lecz oczy miała cudowne, ozdobione wspaniałymi rzęsami. Pracowała u Szlomy Goja za nędzne wy-

nagrodzenie. W domu była poniewierana przez siostrę, rozhisteryzowaną starą pannę. Władek Zajac też był zresztą tyranizowany przez starszą siostrę. Natura i dla niego nie była hojna. A rozcięta na żabawie uderzeniem odważnika wargą, ostatecznie zdeformowała jego twarz. Przy swej brzydkiej powierzchowności Władek był ogromnie wrażliwy. Wystarczyło gdy ktoś powiedział: zimno, aby Władek zaczął zacierać ręce. Powiedziany przez kogoś wyraz, lub ostatnie słowo zdania, mógł powtarzać wiele razy. Staś Doróżkarz mówił, że Zajac ma przetrącony gwint w głowie. Zajac miał bardzo dobre serce i lubił zwierzęta. Z ludźmi nie umiał mówić, natomiast do koni zwracał się jak do dzieci. Opowiadał im o swych kłopotach i zmartwieniach i w ich towarzystwie czuł się zupełnie dobrze.

Po pierwszej wizycie u Bałów, Olek Baran wkrótce znów tam zawitał. Gdy bielizna była uszyta, hojnie zapłacił, czym wprowadził w zdumienie i zachwyt Lidie, która zaczęła go nazywać: „Pan dziedzic”.

— Żaden ja dziedzic — odparł Baran. — Jestem szewc na luksusowe obuwie. Przyjechałem z Ameryki i chcę tu założyć warsztat.

Wówczas Lidia, mówiąc o Baranie, nazywała go „Amerykanin”.

Po uszyciu bielizny Baran wkrótce znów się zjawił u szwaczki i kazał jej uszyć sobie „gimnaściorkę”... Wciąż miał nadzieję, że spotka tu kiedyś Paulinkę. Lecz dziewczyna albo nie przychodziła, albo zjawiała się wówczas, gdy Barana tam nie było.

Lidia uszyła „gimnaściorkę”. Baran ją odebrał.

A Paulinki wciąż nie było... Paulinkę „Amerykankin” również zainteresował. Tyle słyszała o nim od Lidii, która teraz o niczym innym nie mówiła. „Ty rozumiesz: jedwabną bieliznę szyje i to z jakiego jedwabiu. A jakie pierścienie ma na rękach! A co za papierośnica! Na pewno milioner, co przed bolszewikami tu się chowa”. Paulinkę ciekawość aż rozpierała, lecz też nie mogła go zobaczyć.

W kilka dni po odebraniu ostatniej roboty Baran przyszedł pod wieczór do Balów i zapytał o Władka. Kurta podreptała na podwórze szukać brata. Gdy Zając, zaskoczony niespodziewaną wizytą, przyszedł do stróżówki. Baran go spytał:

— Masz długą linę?

— Linę... linę... linę... — powtarzał Zając.

— Przynies tu jakie znajdziesz liny, wierówki, lejce... Pójdziemy do miasta... jest tam taki jeden interes... Dobrze ci zapłacę.

Zając nie wypytywał o co chodzi. Chociaż był potworny fizycznie i niedołączny w mowie, posiadał duży spryt i umiał szybko działać. W mig zrozumiał, że sprawa jest pilna. Wypadł ze stróżówki i wnet powrócił, niosąc całe naręczce wierówek. Baran wybrał grubsze i mocniejsze, i, nie pytając czy Wladek ma czas, powiedział:

— Chodź!

Udali się do śródmieścia. Zapadł już wieczór.

Baran i Wladek zbliżyli się do studni w głębi dużego podwórka. Baran poświecił latarką w dół.

— Jest — powiedział. — Jeszcze żyje.

Żuk, żył. Żył już dwa tygodnie. Ratowało go jedzenie, które Baran wieczorami rzucał mu do studni. W dzień pies się chował pod skrzynię, bo przeczuwał, że mogą zaskoczyć go ciosy kamieni.

Rzeczywiście dzieci co dzień przychodziły do studni i rzucały w dół kamienie. Baran spostrzegł, że kamieni w studni przybywa. Nie wiedział jak pies unika śmierci. Stwierdził tylko, że wciąż jednak żyje i niespodzianie dla siebie, postanowił go ratować. Samemu mogło to być trudne. Poprosić kogoś z blatnych nie chciał, bo by byli zdumieni, że firmowemu złodziejowi takie głupstwa przychodzą do głowy. Wtedy przypomniał sobie Władka Zajęca. Dostrzegł, że ma olbrzymią siłę fizyczną i wielką dobroć. Widział, jak dobrze traktuje konie, widział, że bez wysiłku — czasem jedną ręką — zarzuca tył wozu, aby wyjechać z dziedzińca, lub wprowadzić go do stajni.

Baran rozwinał linę, którą wprowadził następnie pod poprzeczną belkę, aby była ruchoma. Następnie drugą, cieńszą wierówkę, wrzucił do studni, a drugi jej koniec umocował do żelaznej klamry, wystającej z boku studni. Tą wierówką zamierzał wyciągnąć psa. Sam chciał się spuścić tam po linie. Mógłby to wszystko zrobić i sam, lecz nie miał lin. Poza tym chciał mieć „asekurację” na wypadek nieszczęścia, lub jeśli by w dole były szkodliwe dla człowieka gazy. Poza tym zamierzał dać Władkowi psa na wychowanie do czasu dopóki nie będzie mógł urządzić go u siebie.

— Ja się spuszcze w dół... Rozumiesz... Tam jest pies... Wrzucili go swołocze... Jeśli coś się stanie, to ty mnie wyciągniesz... Rozumiesz?... Podołasz przecież...

Baran posłyszał, że Zajęca parsknął, jakby się zaśmiał, i splunął w dłonie.

Baran zdjął buty. Jeden koniec liny, zakończony dużą pętlą włożył sobie pod pachy i zaczął się

spuszczać do studni. Powoli zwalniał trzymany w rękach drugi koniec liny i w ten sposób zjeżdżał w dół. Czasem opierał się stopami bosych nóg o wystające brzegi studni. Tymczasem Władek u góry z niepokojem nasłuchiwał. Dłonią prawej ręki ujął linę i „kontrolował” jej ruch w dół. Po pewnym czasie lina przestała się poruszać. Władek, zaniepokojony, chciał już krzyknąć w dół: co jest? lecz zobaczył w studni błysk światła.

Baran stanął na kupie kamieni, pokrywającej dno studni. Dokoła było pełno kijów i drągów. Skrzyni już prawie widać nie było. Baran zdumiał się nie widząc psa. „Może go stąd zabrali?” — pomyślał. Wtem posłyszał w dole szmery... Żuk, przestraszony, wlaził z trudnością do swej poprzedniej kryjówki. Było to trudne, bo kamienie przeszkadzały. Baran przekonał się, że trudniej jest wy dostać psa jak przypuszczał. Musiał rozebrać i ułożyć w pewien system drągi, kije, polana, cegły, kamienie, aby się dostać do skrzyni, pod którą ukrył się Żuk. Lecz i teraz nie można było wziąć psa. Skrzynia była jak wmurowana. Wyciągnąć ją nie sposób, bo dokoła piętrzyły się stosy kamieni. Wówczas Baran wsadził rękę do dziury z boku skrzyni, przez którą pies tam wlaził. Gdy dotknął sierści Żuka, poczuł na dłoni mocne szarpnięcie zębów. Wyrwał rękę. „Gryzie, psiakrew!”.

Wiele pracy i czasu zużył na to, aby wy dostać przerażonego psa spod skrzyni. Żuk bronił się rozpaczliwie: kąsał, drapał, wciskał się jak mógł najdalej pod skrzynię i w muł. Wreszcie Baran wyciągnął go na wierzch i wsadził do worka. Przywiązał go do zwisającego w dół końca wierówki i krzyknął:

— Ciągnij!

Worek znikł w górze.

Niedługo potem Baran zaczął wydostawać się ze studni. Na pewno by się zabił, lub poważnie skaleczył żeby nie Zajac, który wciąż „kontrolując” dłonią ruch liny dostrzegł nagle, że belka, po której ślizgała się lina, zaczyna się ruszać.

— Czekaj! — krzyknął Zajac w dół.

Baran zrozumiał, że się stało coś złego i pośpiesznie znalazł oparcie stopami bosych nóg u brzegów studni. W górze coś się działo rzeczywiście. W dół sypała się ziemia. Baran mocno przyłgnał ciałem do rogu studni i czekał...

Zajac potrafił wyjąć na wierzch osuwające się bierwiono i zwolnić linę. Chwycił ją następnie obiema dłońmi i lekko ciągnął — dopóki nie wy-czuł oporu.

— Ja będę ciągnął — krzyknął w dół.

— Dobrze.

Wkrótce Baran usiadł na brzegu studni. Był cały unurzany w błocie. Ręce i nogi krwawiły. Powoli się obuł, uporządkował nieco ubranie i otarł ręce z krwi.

Zabrali linę, wierówki i worek z psem. Potem udali się na przedmieście.

Baran nie wstąpił już do Balów. Oddał worek z psem Władkowi, wsadził mu w rękę kilka banknotów i rzekł:

— Ty dopilnuj mi tego psiaka... Zanieś do weterynarza... Niech obejrzy... Ja jutro przyjdę.

— Dobrze — odparł Władek, ściskając twardą jak drzewo, krótką, szeroką ręką dłoń Barana.

Zajac szedł do domu i wciąż się uśmiechał.

Dziwną była mu ta przygoda i dziwny był to pan. Poczul dla niego ogromną sympatię.

Historia z psem wywołała u Balów niemłą sensację. Trudno im było zrozumieć motywy postępowania Barana.

Władek nazajutrz zaniósł psa do weterynarza. Żukowi zrobiono opatrunek. Miał złamaną łapę i kilka brudnych zaognionych ran. W domu Władek ulokował psa na razie we wnęce pod dużym kuchennym piecem. Pies natychmiast schował się. Postawiono mu miskę z jedzeniem. Dopóki ludzie patrzyli pies nie jadł, lecz gdy nikt na niego nie patrzył zeżerał wszystko i znów się chował.

Pawcia, która — od czasu, gdy się dowiedziała o Amerykaninie, — częściej odwiedzała szwaczkę, jeszcze więcej nim się zainteresowała, słuchając przesadnego opowiadania Lidii o wczorajszej przygodzie Władka. Małomówny brat opowiedział wszystko w kilku słowach, ona ułożyła dokoła tego całą historię.

Pod wieczór Pawcia przyszła do ciotki z jakimś haftem. Postanowiła koniecznie zobaczyć Amerykanina. Niedługo potem i Baran się zjawił. Od razu dostrzegł obecność Pawki i twarz mu jakby się rozjaśniła. Jej obecność — zdawało mu się — zmieniła wygląd mieszkania. Zresztą mało co w nim prócz dziewczyny widział. A Pawka zagryzła dolną wargę, potem pośliniła ją, aby się stała jaskrawo czerwona i z niemałym zainteresowaniem, lecz dyskretnie, przyglądała się Olkowi.

Baran przywitał się z Lidia i zbliżył się do Pawki.

— A tę piękną panienkę pierwszy raz tu widzę — rzekł wesoło.

Pawka się zapłonila, a Lidia zatrajkotała:

— To moja siostrzenica. Co piękna, to piękna. Wszyscy to mówią. Ale i psotna. Lubi mężczyznom w głowach zawracać.

— Nie dużo na to trzeba fatygi — rzekł Baran.

Pawcia z udanym wyrzutem spojrziała na ciotkę. Potem niżej się pochyliła nad haftem, z ukosa obserwując Barana.

Olek jakby się odmienił: stał się wesoły. Zniknął mu z twarzy zwykły kamienny spokój. Oczy się rozelśniły. Pawka, pewna swych powabów, od czasu do czasu zerkała ku niemu, poprawiając haft. Baran wyjął papierosa i zostawiając papierośnicę na stole — dla efektu — zapalił.

„Piwonia” — myślał Baran, patrząc na dziewczynę z coraz większym zachwytem. Usiadł obok niej i oglądał haft. Po chwili zwrócił się do Lidii:

— Gdzie Władek?

— Zaraz przyjdzie... Pewnie w stajni... Chyba panu tu nie nudno...

— Przy takiej dziewczynie i całe życie bym się nie nudził.

— Ot z pana komplementarz!

— Prawdę mówię... Oczom nie uwierzyłem, gdy zobaczyłem tu taki cud!

Baranowi wciąż się zdawało, że zna skądś Pawkę, że kiedyś gdzieś ją widział. Starał się przypomnieć to sobie i nie mógł. To mu marszczy-

ło chwilami czoło, a wzrok robił się ostry, badawczy... Stawał się roztargniony.

Gdyby Baran mógł przebić tunel w swej pamięci i przejść nim w dzieciństwo, w daleki zakątek duszy to by zobaczył rzecz ciekawą. Zobaczyłby stojącego przed dużą szybą wystawową sklepu z zabawkami dla dzieci, obdartego, brudnego chłopca... Było tam mnóstwo lśniących, wabiących wzrok dziecka skarbów. A pośrodku panowała duża, pięknie ubrana lalka. Miała złote włosy, błękitne oczy, malinowe wargi, ciemne brwi, okrągłą szyję, pulchne ramiona — jak Pawka. Miniatura siedzącej przed nim obecnie dziewczyny. Lalka dla dziecka była władczynią tamtych skarbów, mogących stać się ziszczeniem wielu jego marzeń. Dziewczyna również zaczęła się stawać jego marzeniem. A marzenia dla ludzi są największą wartością. Są bogactwem duszy. Są złotem, perłami, muzyką i barwą życia. Z marzeń rodzą się bajki, a z nich wielkie czyny powstają. One tworzą sztukę, kulturę. Z nich rodzą się bohaterowie. I miłość z nich wyrasta.

Baran natchniony swym uczuciem dla dziewczyny, robił się coraz weselszy i dowcipniejszy. Osiągnął to, że dziewczyna coraz częściej wybuchała śmiechem, dzwoniącym jak strumień po izbie.

— Oho! — pomyślała Lidia — ta już chyba zahaczyła „Amerykanina!”.

Do izby weszła Kurta, a niedługo potem Władek. Baran wesoło ich witał. A do Władka zwrócił się z pytaniem:

— A jakże mój wychowanek?

Władek pokazał w uśmiechu zęby, odpowiadając niedorzecznie:

— A jakże... a jakże...

Zawołał psa: „Czarny! Czarny!”.

— Miły — się nazywa — poprawił go Baran, nie wiadomo dlaczego nadając to imię kundlowi.

Zając sprytnie wyciągnął psa spod pieca. Pies próbował go ugryźć, lecz nie mógł tego zrobić, bo Władek mocno trzymał go za kark.

Baran wziął psa na kolana i przytrzymując za szyję, powoli głaskał po głowie. Pies drżał i cofał się przed pieszczącą go ręką, a jednocześnie głucho warczał.

— To piesek rasowy, firmowy — mówił Baran do Pawki: — Francuski można powiedzieć. I papę miał i mamę miał, więc go szanować trzeba. — Niech go pani pogłaszcze.

Pawka z odrazą dotknęła dłonią głowy psa. Miły warknął i dziewczyna pośpiesznie cofnęła rękę.

— Ja u ciebie go zostawię — rzekł Baran do Władka. — Będę ci płacił. Karm go dobrze. Ja na razie w hotelu mieszkam i nie mam czasu doglądać go.

— Po co on panu? — spytała Barana Pawka.

— Po co?... ja go wykształcę. Będzie mi buty czyścił, samowar nastawiał. Nauczę go cygara palić, wódkę pić i będziemy żyć wesoło.

Pawka zaczęła opowiadać coś o psie swego ojca. Mówiła pośpiesznie, jakby się bała, że jej przeszkodzą. Olek patrzył jej w twarz i nie słyszał co mówi. Musiał się skupiać, aby rozumieć.

— Czy mogłaby pani wyhaftować mi koszulę? — spytał oglądając haft, który Pawka miętoszyła w rękach. — Mam jeszcze dobry kawałek materiału. Pani Lidia uszyje koszulę, a pani wyhaftuje. A ja pani zrobię za to pantofelki. Ale takie, jakich

żadna hrabianka nie miała. Wszyscy będą podziwiać. Po amerykańsku wysztafiruję, jak dla córki Rotszylda. Zgoda?

Oczy Pawki błysnęły.

— Owszem. Bardzo chętnie. Tylko jaki haft zrobić?

— To już jak pani uważa. Ja pantofelki również zrobię pani według swego uznania. Tylko pozwoli pani, że wezmę miarę.

Baran złożył w tasiemkę kawałek papieru i wziął miarę ze stopy Pawki. Dziewczyna trochę się przy tym krygowała, lecz Baran spełniał tę czynność z nadzwyczajną powagą.

Niedługo potem Pawka zaczęła się zbierać do odejścia. Olek powiedział, że ją odprowadzi. Gdy oboje wyszli za drzwi, Lidia rzekła:

— Pachnie mu Pawcia! Oj, pachnie!

Olek odprowadził Pawkę na Slepiańską ulicę. Umówili się, że się spotkają znów u Lidii w niedzielę wieczorem. Baran wracał do domu okreźną drogą. Radość rozsadzała mu pierś. Wesoło mu było, rzewnie i dobrze. Wciąż się czemuś uśmiechał. I noc śmiała mu się gwiazdami.

III.

JAK POWSTAŁ ZAKŁAD SZEWSKI „ WARSZAWIANKA ”

Na Złotej Górcie, przy ulicy Zacharzewskiej pod numerem 157, znajdują się trzy małe drewniane, parterowe domki. Należały do pani Lichodziejewskiej, która mieszkała pod numerem 159, w dość ładnym, więcej nowoczesnie wybudowanym domu. W jednym z trzech domków — położonym od ulicy — mieszkała Stanisława Nacewiczowa, wdowa po urzędniku Izby Skarbowej. Miała dwoje dzieci: syna Jana, lat 19 i córkę Helę, 16-letnią dziewczynę.

Dopóki mąż żył powodziło im się dobrze. Po jego śmierci — w drugim roku wojny światowej — było im coraz gorzej. A po rewolucji 1917 roku, kiedy zginęły ulokowane w procentowych popietrach pieniądze, bieda na stałe zagnieździła się w ich mieszkaniu. Sprzedano nieliczne graty, bez których można było jeszcze się obejść i zaczęto cierpieć głód. Zaradzić biedzie było trudno, bo Nacewiczowa i w dobrych czasach była chorowita: cierpiała na serce. A obecnie choroba się pogor-

szyla i z trudnością mogła podolać w pracy domowej, która stopniowo przechodziła do rąk Heli. Jaś szukał pracy. Parę razy otrzymywał robotę, lecz płaca, ze względu na skaczące w górę ceny, była marna.

Wdowa martwiła się bardzo tym stanem rzeczy i coraz więcej zapadała na zdrowiu. Jaś z bólem patrzył na przedwcześnie zestarzałą matkę, na jej zaczerwienione od łez oczy. Tylko Hela nic sobie z tego nie robiła. Zawsze śpiewała jakieś głupie, nie wiadomo skąd zasłyszane piosenki i była jakby obca w rodzinie — tak mało się przejmowała ogólnym trudnym położeniem. Dostawała od brata klapsy. Sama odpowiadała mu uderzeniem pięści, albo pokazywała mu język i dalej robiła swoje.

Do pewnej opieki nad rodziną Nacewiczów poczuwał się brat matki Jasia, Filip Żardoń. Był to dziwny typ: pijanica na dużą skalę i marzyciel. Z zawodu był kamasznikiem i nawet w obecnych czasach mógłby dobrze zarobić, lecz nie chciał. Mawiał tak: „Nie pracuję, no bo po co? Czy pracuje, czy nie, każdy w trzewikach chodzi”.

Jaś nie pamiętał prawie, kiedy widział wuja trzeźwego i zwykle już z dala poznawał w jakim wuj jest nastroju. Jeśli wuj miał czapkę zsuniętą na tył głowy, to wiedział, że jest w szampańskim humorze. Czapka zbakierowana — roztargniony. Czapka w przód nasunięta — zły. Taki psychologiczny barometr. Jaś lubił słuchać bajań wuja. A wuj lubił mu pleść różne niesamowite historie. Wczoraj, na przykład, do późnego wieczora opowiadał mu, że pójdzie do Orszy:

— Tam jest taki człowiek, rozumiesz, nie diabeł, ale z diabłem ma do czynienia. Jemu krwią

się podpiszesz i będziesz miał wszystkiego o, tyle!
— pokazał dłonią: po oczy. — Ja to koniecznie
załatwię. Wtedy wszystko: to pole, chałupy — będą
nasze. Ogród założymy na 1000 drzew. Między
drzewami ule postawimy. Miód beczkami będzie-
my mieli, a owoców góry. Wina będę wyrabiał i
marmolady. Ty tylko zaczekaj trochę.

Wuj od czasu do czasu brał ze sobą Jasia na
Niżni Rynek, aby pomagał mu sprzedawać różne
rzeczy. Jasia z początku to krępowało, potem za-
częło bawić. Wreszcie — gdy parę razy pomógł
dobrze sprzedać wujowi jakieś łachy i coś tam od
niego otrzymał za fatygę, zaczął się tym interesow-
wać. Zrozumiał, że kupując rzeczy tanio u jed-
nych, a sprzedając drożej innym, można nieźle za-
rabiać.. Zaczął uczęszczać na każdy większy rynek
i po trochu handlować. Przeszkadzał mu brak go-
tówki, więc musiał się ograniczać do handlu dro-
biażkami, który dawał marny zysk. Tymczasem
nabierał wprawy i coraz więcej pomagał rodzinie.

Pewnego razu, po udanym handlu, w którym
Jaś przysłużył się wujowi „podbijając cenę”, Filip
kupił trochę wiktuałów i przyszedł do siostry
na obiad. Był podпиты i swoim zwyczajem zaczął
bujać w chmurach.

— Co tam będzie kiedyś, to nie wiadomo —
przerwała mu siostra — ty byś teraz doradził co
robić, aby trochę grosza zdobyć.

Filip nachmurzył się, przymrużył lewe oko,
wykrzywił wargi i myślał. Po chwili trzasnął się
dłonią po głowie i zawołał uroczyście:

— Jest!

— No, co?

— A ot co. Macie dwa wejścia do mieszkania:

jedno od ulicy, drugie z dziedzińca. Pokojów macie aż trzy i kuchnię. Wystarczą wam dwa. Oddzielcie narożny pokój z frontowym wejściem i będzie pierwsza klasa lokal na wynajęcie pod sklepik, czy inną jaką herbaciarnię. Ja wam mówię. Punkt tu co się zowie. Można dobre komorne za to drapnąć. I swoje mieszkanie opłacie i jeszcze trzy razy tyle wam zostanie.

— Może ty i masz rację — rzekła siostra. — Trzeba nad tym pomyśleć.

— Nie ma co i myśleć — odparł Filip. Przy waszej biedzie duża to będzie pomoc.

Wieczorem odbyła się narada rodzinna. Właściwie naradzała się tylko matka z synem, bo Hela w takich wypadkach, jako trzpiot i latawiec, nie była brana pod uwagę. Postanowiono odnająć narożny pokój.

Nazajutrz Jaś pięknie wykaligrafował na kartce papieru: „Pokój z osobnym wejściem od ulicy do wynajęcia”. Umocował tę kartkę na bramie i oczekiwał rezultatu.

Pierwszym interesantem był jakiś wysoki, dostojnie wyglądający staruszek. Oglądał pokój, krytykował końcem laski strzępy tapet, aż zirytował Jasia.

— Jak panu się pokój nie podoba, to proszę poszukać innego. Nie ma co tu tapet obrywać.

Jegomość się zaperzył:

— I poszukam... I znajdę... Za moje pieniądze co zechcę... Taks... Ot co... Jestem dymisjonowanym majorem! Rozumiesz pan!

— Bądź pan choć i generałem... Tu nie kosza-ry! Proszę wynosić się i nie wrzeszczeć.

Staruszek jeszcze na ulicy groził laską i wymyślał.

Potem przyszła jakaś dobrze ubrana pani. Obejrzała pokój i spytała:

— A można z kuchni korzystać?

— Nie.

— I mebli nie ma?

— Nie ma.

Potem przyszło jeszcze kilka osób. Jednym pokój był za ciemny. Innym wilgotny. Niektórym cena nie dogadzała.

Tegoż dnia pod wieczór przyszedł jeszcze jeden reflektant. Miał skośne oczy i przenikliwe, inteligentne spojrzenie.

— Ja tu względem pokoju — rzekł do matki Jasia, która otworzyła mu drzwi.

— Proszę bardzo. To ten pokój.

Jegomość uważnie obejrzał pokój. Nie stracił na to wiele czasu i żadnych głupich pytań nie stawiał.

— Dobrze ja ten pokój wezmę.

Matka Jasia była zdumiona tak szybką decyzją. — „Nawet o cenę nie spytał”. Zaprosiła go do następnego pokoju. Był to pokój stołowy, salonik, a jednocześnie — po zlikwidowaniu narożnego pokoju — Jaś miał tam sypiać.

Doktor w mig obejrzał pokój i zrobił kilkuniosków. Pierwszy: bieda aż śmierdzi. Drugi: szpagaty *). To wywnioskował ze stosu książek na stole.

Baran, gdyż on to był szukającym mieszkania jegomościem, zapłacił za miesiąc z góry i zapowie-

*) Inteligencja.

dział, że wkrótce się wprowadzi. Poprosił Jasia, aby zameldował go w policji i zostawił paszport.

Gdy lokator odszedł Nacewicze z ciekawością obejrżeli zostawiony dokument. Paszport był autentyczny, tylko w rubryce: zawód, było napisane, nie zgodnie z prawdą: złodziej, lecz: szewc.

Hela od dłuższego czasu mizdrzyła się przed lustrem i śpiewała:

Hej, jabłuszko, niedojrzałe
I dlatego wisi całe.

Jasia irytowało to. Był zajęty sprzątaniami pokoju lokatora, a ta ani myśli pomóc. Godzinę siedzi przed lustrem i robi miny.

Hej, jabłuszko, szczerozłote,
Każdy zerwać ma ochotę.

— Ja ci zaraz łeb zerwę! — wybuchnął Jaś.
— Hrabina! Ja tu się męczę, a ona śpiewa..

— A co mam robić?

— Chociażbyś okna wymyła. Może lokator jeszcze dziś się sprowadzi.

Hela ociągając się, niechętnie zabrała się do mycia okien. Natomiast Jaś odkurzał ściany, usuwał pajęczynę z kątów i szorował podłogę. Robił wszystko starannie i prędko.

Zaledwie skończył przyszedł Baran. Zobaczył, że pokój jest dobrze sprzątnięty i wygląda teraz bardzo mile. Podobało mu się to.

— Dziękuję — rzekł do Jasia. — Za sprzątanie zapłacę osobno.

Wyjął z kieszeni portfel a potem z niego pienią-

dze. Jaś zarumienił się i odmówił przyjęcia zapłaty. Barana to zdziwiło. Wiedział, że ludzie chętniej wyciągają ręce po pieniądze, niż sami płacą. „Honorny frajer”. Podał rękę i uścisnął dłoń Jasia.

— No, to dziękuję.

Gdy Baran został sam w pokoju, długo oglądał lokal. Obmyślał, jak go urządzić, aby było wygodnie i mile. Chociaż przeżył życie w nędzy i brudach, w więzieniach i po melinach złodziejskich, miał zamiłowanie do czystości i porządku. Dbał bardzo o czystość ciała i ubrania, a jeśli mógł to i każde przelotne schronisko starał się upiększyć.

Pokój miał jedno duże okno od podwórka. Od ulicy były drzwi oszklone w górnej połowie, a z zewnątrz można było zamknąć duże drewniane odrzwia. Pokój był prawie czworokątny; miał około 30 metrów kwadratury. Tapety w wielu miejscach były poplamione lub podarte. To jedynie szpeciło dość jasne i przytulne mieszkanie. Prócz drzwi frontowych były jeszcze drzwi w przepierzeniu, łączące pokój narożny z resztą mieszkania. W prawym kącie pokoju była spora wnęka, która umożliwiała dostęp do pieca.

Baran, marszcząc czoło stał pośrodku pokoju i zastanawiał się co trzeba mieć, aby urządzić przyzwoicie wnętrze. Potem zamknął zewnętrzne drzwi na klucz, przymknął odrzwia i poszedł do miasta. Możliwe, że Baran na razie nie troszczyłby się o wynajęcie i urządzenie własnego kąta, bo w Mińsku czuł się gościem. Tęskno mu było za Wilnem, skąd zbiegł przed kilku miesiącami. Lecz poznanie Pawki i stopniowo narastająca miłość dla dziewczyny, kierowały teraz jego czynami.

Zachciało mu się mieć własny kąt, aby nie być bezdomnym tułaczem. Pomimo to, że był złodziejem, że żył nieustannie ryzykując wolność, a często i życie, miał pociąg do spokojnego, mieszczchańskiego bytu. Chętnie zbudowałby sobie gniazdko, w którym — przede wszystkim — Pawcia byłaby gospodynią.

W ciągu kilku dni Baran wielokrotnie odwiedzał swoje nowe mieszkanko, chociaż nocował nadal u Kasi. To przywoził dorożką cięższe rzeczy, jak łóżko, stół, krzesła, to sam przynosił różne drobiazgi.

Wreszcie, po tygodniu krzątania, pokój był urządony. Lewy kąt pokoju zajęło duże nikłowe łóżko ze sprężynowym materacem. Przy łóżku stała mała szafka i leżał dywanik z kilku zeszytych i oblamowanych sukniem zajęczych skórek. Ten kąt pokoju osłaniał duży parawan. Poza tym był stół — na lewo od wejścia. Wzdłuż ścian stało kilka krzeseł i na czerwono pomalowana szafka do naczyń. Od progu, w kierunku pieca, rzucony był wzorzysty, lniany chodnik.

Niedługo po umeblowaniu pokoju Baran w nim zamieszkał, a w kilka dni po tym zawołał Jasia. Chłopiec wszedł do pokoju przez wspólne drzwi w przepierzeniu, które lokator zwykle zamykał od wewnątrz na haczyk.

— Czy potrafisz napisać mi szyld? spytał go Baran, pokazując Jasiowi duży kawał dykty.

A jaki to ma być szyld?

— Pracownia obuwia. Rozumiesz? I jakaś fajną nazwę.

— Aha! Wiem.

Gdy Baran wieczorem wrócił do domu, Jaś uro-

czyście wręczył mu starannie namalowany szyld, nad którym prześlęczał prawie cały dzień. Baranowi ta praca bardzo się podobała i jako wynagrodzenie dał Jasiowi dwa kółka kiełbasy. Chłopiec ociągał się z przyjęciem prezentu, lecz Baran rzekł stanowczo:

— Bierz, bierz... Należy ci się... U was też kruchoch... Bez krępacji.

Nazajutrz prawą stronę drzwi ozdobił szyld Jasia: Zakład szewski „Warszawianka”, Słowa te ilustrował dość ładnie namalowany czarną farbą trzewik.

Szyld Jasia wywołał spore wrażenie na mieszkańcach domków pod numerem 157. Najwięcej zainteresowały się nim trzy siostry — stare panny — Pożarskie. Wynajmowały we trójkę nieduże mieszkanie. Z zamykania trudniły się plotkarstwem, a z konieczności praniem po domach, a czasem i do siebie brały robotę, zawieszając dzieciniec, w najniewygodniejszy dla przechodniów sposób, mokrą bielizną, której srogim okiem pilnowała jedna z sióstr.

— Nacewiczowa ma szczęście! Ten Bocian Kopylski (myślała o Filipie Żardoni) im nosi i nosi, a teraz będą mieli własnego szewca — mówiła Wiera.

Nadzieja rozwieszała mokrą bieliznę, manipulując tak, aby można było zajrzeć w okno nowego lokatora. Przy tym naraziła się innej lokatorce, Łobowej. Tamta odemknęła okno i krzyknęła:

— Zdejm te szmaty mi sprzed okna.

— A jak nie, to co? — spytała zadzierzyście Nadzieja.

— A ot co!

I energiczna kobieta, nie wychodząc z mieszkania, uderzyła przez okno szczotką do zamiatania podłogi w naciągnięty sznur. Sznur nie pękł, lecz kilka sztuk bielizny spadło na ziemię.

Nadzieja zakipiała. Bała się, jak i inni mieszkańcy dziedzińca, hardej, wyniosłej i bardzo energicznej Marusi Łobowej, której mąż był jakimś znacznym komisarzem w Orle. Lecz zrzucenie bielizny na ziemię i ta okoliczność, że Marusia była w mieszkaniu, dodała Nadziei odwagi, więc puściła w ruch język:

— Ach ty lafiryndo, suko...

— No, no!... Poszczekaj jeszcze! — odezwała się Marusia.

— Ja nie pies — wrzasnęła Nadzieja.

— Tyś nie warta psa nawet w d... pocałować! krzyknęła Marusia.

— A ot warta! — broniła się Nadzieja.

— A nie warta!

— A warta.

Wtem Marusia wyskoczyła przez okno na dziedziniec. Miała na sobie tylko poranny szlafrok, który zaczepił się o parapet, więc ukazała się całkiem nago, prezentując goły tors i nogi zdębiałej z przest్రachu Nadziei. Marusia co prędzej oswobodziła szlafrok. Tymczasem Nadzieja oprzytomniała i drapnęła do mieszkania, zamykając za sobą drzwi na hak. Otworzyła lufcik i patrzyła z bezpiecznego miejsca co będzie dalej. Marusia pogroziła jej pięścią. Pożarska odpowiedziała na to daleko wysuniętym językiem. Wówczas Łobowa od-

wróciła się do niej tyłem i przechylając się napród uniosła szlafrok z tyłu. Pożarska splunęła. Jednak na dziedziniec wyszła dopiero wówczas, gdy Marusia, wysoka, zgrabna, swobodna i energiczna w ruchach, z czerwonym szalem na głowie — jak ze sztandarem — wyruszyła na miasto.

Po obiedzie siostry Pożarskie swoim zwyczajem zaczęły obrabiać bliższych i dalszych sąsiadów. Z różnych błahostek wysnuwały najdalej idące wnioski i suchej nitki na nikim nie zostawiły.

— A ciekawe, co też za ptaszek ten nasz nowy lokator, szewc? — rzekła Luba.

— Pewnie nie na próżno do Nacewiczowej się sprowadził. Widzi, że wdowa. Myśli: może i pieniądze są... — wyraziła przypuszczenie Nadzieja.

— A ja tak myślę — powiedziała Wiera, — że mu o Helcie chodzi.

Luba, najstarsza z sióstr, sucha, prawie 50-letnia dziewczyna, porwała się z miejsca:

— Ot pójdę i zobaczę... Niby z reperacją...

Znalazła mocno sfatygowaną parę pantofli i włożywszy jakiś przedhistoryczny saczek, a na głowę modny, przy schyłku 19-go wieku, kapeluszek, ruszyła z mieszkania. Młodsze siostry przyłgnęły do szyb.

Baran był w mieszkaniu gdy Luba Pożarska zapukała do drzwi. Właśnie porządkował warsztat. Dziś rano sprowadził komplet nowiutkich narzędzi szewskich i kilkanaście par „kopyt”. Warsztat stanowiła przewrócona dnem do góry skrzynka, której brzegi były obite listewkami, aby gwoździe i narzędzia nie spadały na podłogę. Był i mały, obity płótnem szewski stółek.

— Proszę — rzekł Baran w odpowiedzi na pukanie do drzwi.

Pożarska słodkavo się uśmiechając weszła do środka i stanęła przy drzwiach. Oczki jej szybko przebiegły mieszkanie i starały się prześwidrować nawet parawan, za którym stało łóżko. Baran w lot oszacował do jakiego gatunku ludzi należy Pożarska, więc zmarszczył czoło i rzekł sucho:

— Czego?

Pożarska jeszcze słodziej się uśmiechnęła:

— Ot przyniosłam do pana obstalunek.

Baran wziął do rąk pantofle i obejrzał je. Potem podniósł na Lubę oczy, pod ostrym i zimnym spojrzeniem których kobieta omal nie siadła.

— Czego pani chce? — rzekł sucho.

— Niech pan poradzi co z nimi zrobić?

— Wyrzuć je pani na śmietnik.

Luba chwyciła pantofle i bez pożegnania, co prędzej wyfrunęła z mieszkania.

Była to pierwsza klientka Aleksandra Barana, właściciela zakładu szewskiego „Warszawianka”, położonego przy ul. Zacharzewskiej nr 157, w mieście Mińsku. A działo się to wiosną 1918 roku. Wiosną, która była nadspodziewanie wczesna, ciepła i niepokojąca.

IV.

TOWARZYSTWO Z NIEOGRANICZONĄ BEZCZELNOŚCIĄ

Baran był, niepiśmienny, lecz umiał czytać to, co było wydrukowane dużymi literami. Natomiast drobny druk sprawiał mu ogromną trudność w czytaniu. Przez całe życie nie zdarzyło mu się przeczytać od razu nawet pół strony książki. Jeśli od czasu do czasu do tego się zabierał, to czuł się zmęczony i zniechęcony już po przeczytaniu kilku zdań... Baran nie chodził do żadnej szkoły. Nikt go nie uczył. Orientację w znaczeniu drukowanych liter posiadał sam. Wyuczyła go ulica. Przede wszystkim plakaty i reklamy. Na przykład: „Papierosy Jawa”. Te cztery litery objawiły mu swoje znaczenie jeszcze w dzieciństwie, przez swą fonetykę i porównanie z innymi plakatami, np. „Ada”. W ten sposób poznawał poszczególne litery, a z biegiem czasu zaczął je łączyć w zgłoski i słowa.

Gdy Baran koniecznie musiał napisać list, jak to było kilka razy w więzieniu, gdy siedział w pojedynczych celach, a chciał się porozumieć ze spół-

nikiem, to rysował na papierze drukowane litery. W ten sposób, pracując mozolnie, układał kilka ważnych dla niego zdań.

Dziwnym się wydaje, że Olek Baran, mający ogromne zdolności, ujawniające się w łatwości wyuczenia się rzemiosł, posiadający wielką siłę woli i charakteru, oraz duży spryt i żywą inteligencję, pozwalającą mu łatwo, prędko i trafnie oceniać ludzi i sytuację, nie potrafił wyuczyć się sztuki czytania i pisania. Stało się to dlatego, że nikt nie wskazał mu drogi do nauki, a Baran nigdy nie miał własnej książki, i uważał druk i pismo za rzeczy dla siebie niedostępne — „zakazane”... I może stąd urósł w nim wielki szacunek dla nauki teoretycznej. Książkę brał w ręce ostrożnie — jakby w obawie, aby się nie stłukła. Wobec książek czuł się mały, głupi, bezradny. Nauka była dla niego cudowną magią, która dawała ludziom władzę nad światem. A jeśli nie umieli jej osiągnąć — mając tak wspaniałą broń — to (myślał) dlatego, że byli frajerami.

Tu uważam za potrzebne, aby uniknąć dalej nieporozumień, wyjaśnić znaczenie wyrazu frajer. Ludzie „mechanicznie uczciwi” (przepraszam wrażliwych czytelników) też często stosują wyraz frajer, określając tym czyjąś niewiedzę lub głupotę. U złodziejów frajer oznacza przede wszystkim człowieka nie należącego do branży złodziejskiej. Wywiadowca ekspozytury śledczej (hint, moser, pies, legawy) też jest frajer, chociaż na rzemiośle złodziejskim często lepiej się zna od wielu zawodowych złodziejów. Następnie wyrazem frajer określa się ludzi — zależnie od potrzeby i sytuacji. Kuprin pisał w pewnej swej noweli,

że u złodziejów frajer, to nie pogardliwe określenie, że to znaczy po prostu: bogaty pan — dodam, nadający się do okradzenia go. To niesłuszne. Wyraz ten stosuje się wielorako, tak jak np. w języku cywilizowanym wyraz snob. Frajer, zależnie od potrzeby, może oznaczać i głupi, nieprzezorny, niesprytny i niezdolny. Aby definitywnie tę sprawę rozwiązać, wyjaśnię to krótko: świat w oczach złodziejów dzieli się na dwie zasadnicze kategorie: blatni i frajery. Blatni to swoi (a jacy to są przeczytacie w tych książkach), a reszta — frajery różnych gatunków. Dla frajera złodziej może mieć czasem szacunek lub podziw, lecz jednak zawsze to jest frajer.

Baran wychodząc z domu do miasta prawie zawsze kupował gazetę. Nosił ją złożoną wpół w rękę. Czasem wkładał do kieszeni. Baran gazet nie czytał, ale szukał w rubryce „Kronika” wypadków i kradzieży. Jeśli znajdował coś godnego uwagi: opis własnej „roboty” lub znanych mu chłopaków, to mozolnie budując zgłoski, odszyfrowywał treść. Poza chęcią dowiedzenia się nowin o trickach rycerzy wytrycha, powodowało nim i dawne przyzwyczajenie. Baran kiedyś „uprawiał dolinę”, albo — jak mówią rosyjscy złodzieje „chodził po szyrmie” (*). Kieszonkowi złodzieje, pracując przeważnie posługując się czymś maskującym ich ruchy, jako osłoną. Służą do tego: kapelusz, szalik, obrazek, ramka, rękawiczki — zależnie od wprawy i upodobania. Baran posługiwał się gazetą i choć od dawna nie był już doliniarzem, lecz gazety kupował nadal. Było w tym i inne wyra-

*) Doliniarz lub szyrmacz — kieszonkowy złodziej.

chowanie. Człowieka, mającego w ręce, w kieszeni, lub za klapą marynarki gazetę, trudniej posądzić o przynależność do zakonu rycerskiego spod znaku wytrycha, niż bez niej.

Dzisiaj Baran również kupił na Placu Katedralnym gazetę i poszedł na Niżni Rynek. Spodziewał się, że zobaczy tam w truszczobie (*) Cypy Kazika Moreckiego, z którym nie spotkał się ze szłym razem, bo wówczas przeszkodziła mu „robota”, a potem: Pawka, pies Miły, utrzymywanie kontaktu ze szwaczką, urządzanie warsztatu... I tak czas mijał. Teraz, poza ciekawością dowiedzenia się od Kazika nowin z gruntu wileńskiego, chciał omówić z nim, jakąś nową robotę. Wydał prawie wszystko w ostatnim czasie na urządzenie mieszkania, a na wyszukanie nowej roboty nie miał czasu.

Truszczoła Cypy była miejscem zebrań arystokracji złodziejskiej miasta Mińska. Spelunkę uważano za zupełnie pewną, bo Cypa umiała zjednać sobie policję mundurową i śledczą. Jak mówią złodzieje: i mentów i moserów. Więc o każdej — z bardzo nielicznych zresztą — rewizji z góry wiedziała i umiała uprzedzić lub zabezpieczyć swych klientów. A gdyby nawet nie uprzedzono jej, to też wynik rewizji byłby żaden. Spelunka posiadała swych obserwatorów i takie skrytki, że odnaleźć je można by chyba po zburzeniu murów i zerwaniu podłóg. A dla niebieskich ptaszków zawsze było w pogotowiu kilka wyjść.

*) Truszczoła = melina — spelunka złodziejska.

U Cypy można było załatwić każdy trefny interes. Znaleźć paserów na każdy towar. Kupić fałszywy paszport lub dolary (za 20 fałszywych płacono 6 prawdziwych). Tu można było nabyć kokainę lub morfinę i zdobyć potrzebne do wykonania kradzieży narzędzia. Nie wychodząc stąd, można było załatwić wiele niezbyt zgodnych z prawem interesów w różnych instytucjach miasta — nawet mających za cel właśnie ściganie takich interesów. Słowem była to złodziejska giełda, biuro informacyjne, pośrednictwo pracy i klub.

Do lokalu Cypy prowadziły z ulicy kamienne schody. Nad drzwiami był stary, wypłowiały szyld, na którym zaledwie można było przeczytać: Herbaciarnia — a u dołu: Cypa Buff. No i czajnik był tam kiedyś wymalowany, ale prawie że zniknął wraz z farbą. Baran wszedł do brudnej herbaciarni, w której przy ścianach stało kilka na czerwono pomalowanych stolików i stołków. Lokal był pusty — jak zwykle. Rzadko kiedy wstępował tu nieświadomy rzeczy chłop lub mieszczuch i ku zdumieniu właścicieli prosił o herbatę, której nigdy nie było. Baran zbliżył się do długiej lady naprzeciw drzwi. Za ladą siedziała niezwykle piękna Żydówka, siostra Cypy, Ruda Chana. Ognista fala zaniedbanych włosów była zebrana z tyłu głowy w duży węzeł i tworzyła jakby ramę dla bladej karnacji twarzy, o czarnych brwiach, pąsowych, ślicznie ukształtowanych wargach i niesamowicie pięknych oczach. Chana była nie zupełnie normalna. Jej narzeczony otruł się na kilka dni przed ślubem i od tego czasu dziewczyna ujawniała oznaki rozstroju umysłowego. Baran zapytał dziewczynę:

— Nasi są?

Chana długo patrzyła mu w twarz — jak w pustą przestrzeń. Wreszcie odpowiedziała niskim, altowym głosem:

— Są.

Baran schylił się pod ladę i przeszedł w otwarte drzwi. Minał półciemny pokój i znalazł się w długiim korytarzu, który robił kilka zakrętów i tworzył dziwne wnęki i zakamarki. Stąd Baran wszedł do dużego pokoju, który łączył się kilkoma drzwiami z resztą lokalu. Wszystko lepiło się od brudu. Powietrze, przesycone wilgocią, cuchnęło wonią piwa, oliwy i czosnku. Trzeba było do niego się przyzwyczaić, aby oddychać bez odrazy.

W pokoju, w którym się znalazł Baran, siedziało za długim, niebieską ceratą pokrytym stołem, trzech ludzi. Ponuro patrzyli na samotną, wypróźnioną flaszkę wódki, która zdobiła środek stołu. Jeden z nich ćmił papierosa, cheiwie wciągając w płuca kłęby dymu i przetrzymując je tam. Baran przywitał się z obecnymi, wnosząc ze sobą pewne ożywienie.

— Cóżes nie przyszedł wtedy? — zapytał go Filip Łysy, ziewając i drapiąc się po głowie, która tylko na skroniach i z tyłu zachowała skąpe resztki uwłosienia.

— Nie mogłem... Interes się trafił...

Filip skinał mu głową i ziewnąwszy ponownie rzekł:

— A Kazik wtedy do trzeciej czekał.

— Dziś nie był?

— Był... Poszedł z Jankiem „pająka” (*) obej-

*) Sklep.

rzyć... Powinni zaraz wrócić... Mówili, że robota murowana i tak dalej...

Znów szeroko ziewnął. W ogóle ziewał często i uważał to za oznakę dobrego tonu. A swoje ulubione „i tak dalej” wplatał wszędzie bez względu na sens. Filip Łysy trzymał się elegancko i bardzo lubił się stroić. Ogromnie martwił go brak włosów na głowie, więc przetrząsał wszystkie mińskie apteki i składy apteczne, poszukując niezawodnego środka na porost włosów. Chłopaki wiedzieli o tej jego słabostce i, nie patrząc na to, że był szanowanym złodziejem, często kpili z niego, doradzając różne fantastyczne środki i sposoby, mające przywrócić mu dawne kędziory.

Filip wyglądał dość komicznie. Wysoki, łysy, nos długi, na końcu czerwony. Wargi zawsze pogardliwie wydęte. Mina taka, jakby ot-ot rycynusu się napił. Oczy blade, niby w chlorku wyprane i si-dolem wyczyszczone, były lekko wysadzone naprzód. Spojrzenie trochę bezmyślne. Dziw, że go kobiety lubiły, lecz było to faktem, że bardzo łatwo je zdobywał i to nie za gratki i nie za szmatki, a z miłości za nim latały... Był jak i Baran skokierem (*) chociaż i inną robotą nie gardził. Taki mniejszy giganciarz (**).

Drugi — obecny w pokoju — mały, niemłody człowieczek którego wiek trudno mi określić: nie wiem czy miał 35 lat, czy 55, miał szarą, jakby gumową twarz. Zdawało się: weźmiesz za ucho i pociągniesz — do nosa dostanie... Gdy bezdźwięcznie się śmiał, wargi mu szeroko się rozciągały

*) Skokier=klawisznik — złodziej mieszkaniowy, dzienny

***) Złodziej pracujący w kilku specjalnościach naraz.

na strony, nos zjeżdżał w dół, a oczy jakby zniknęły w sieci zmarszczek. Był to zawodowy doli-niarz. Pracował dobrze, lecz nie miał „fartu” *). Rzadko trafiał większe „kusze”, natomiast dość często do „kicza” **). Nazywano go Profesorem za dziwne zamiłowanie do stosowania niezwykle zwrotów i wyrazów. W tym przypominał Stasia Doróżkarza i Baran, słuchając każdego z osobna, myślał: „Tych by razem sprowadzić i upić, to by człowiek dużo ciekawego posłyszał”. W Warsza-wie — Profesor stamtąd pochodził — nazywano go Kogut... Pewnie ze względu na mały wzrost, zawsze nieco w tył odrzuconą głowę i niezwykle uczesanie włosów: z obu skroni do góry. Taki ko-guci grzebień.

Trzeci, obecny w pokoju mężczyzna, to Glista, szniferz ***). Niewątpliwie był najlepszym złodziejem w tym zakresie na terenie miasta. Glista dziwnie mówił: cicho, tajemniczo, omal nie sze-ptem, lecz zawsze z wielką przesadą: „Łeb miał wiesz, jak beczka!”. „Żeby ja tak zdechł!” I dziwnie też wyglądał. Długi, patykowaty, kościsty. W marszu groteskowo przechylał się na boki, w tył i w przód. Wyglądał jak chodzący składany metr... Spojrzysz na niego: zdawało się nie przejdzie przez mieszkanie, aby nie przewrócić krzesła, sto-łu, a nawet szafy i pieca, nie mówiąc już o dro-bnych sprzętach i rzeczach! I jak taki może być nocnym mieszkaniowym złodziejem. Lecz było to złudzenie. Gdy nadchodziła noc Glista się przeista-

*) Fart — szczęście. Fartowiec — szczęściarz synonim: złodziej.

***) Więzienie.

***) Nocny złodziej mieszkaniowy.

czał. Chód jego nabierał pewności i elastyczności, ruchy robiły się pewne, celowe, z oczu znikał wyraz ospałości. A na robocie w nocy poruszał się w ciemności, w nieznanym sobie mieszkaniu, wśród śpiących ludzi, z takim spokojem, pewnością i sprytem, że nikt by mu w tym nie dorównał. Czy miał — jak mówili złodzieje — kocie oczy, czy jakieś dziwne zmysły — nie wiem. Lecz znany był z czystego wyrabiania najtrudniejszych interesów. Jeśli przesadą są opowiadania o tym, że Glista spod śpiących nawet prześcieradła zdoła wyciągnąć, to prawdą jest to, że umiał, zabierając klucze spod poduszek śpiących, najdokładniej zrewidować całe mieszkanie.

Baran poczęstował obecnych papierosami i sam zapalił. Dostrzegł leżącą na stole w okruszynach chleba książkę. Wziął ją do ręki i powoli przeczytał: a - ryt - me - ty - ka. Spojrzał na Profesora i mruknął:

— O czym tu rysują?

Profesor poruszył się, odkaszlnął w dłoń i uniósł w górę brwi!

— To jest taka nauka, jak na przykład geografia. Tylko geografia potrzebna więcej dla konduktorów pociągów i innych chemików, a to dla kupców.

— Żeby lżej było ludzi w butelkę nabijać i tak dalej — wtrącił Filip Łysy.

— No tak... Również i dla astronomów to potrzebne, żeby wiedzieć kiedy jaka pogoda będzie — kontynuował swój wykład Profesor.

— To chyba grubszy bajer — pociągnął Baran.

— Ma się rozumieć bajer — ożywił się Filip. — Ja znałem jednego takiego chama. To on tak samo miał książkę, co to o pogodzie pisze i tak dalej. Kalendarz się nazywa. Wyczytał tam jołop, że cały tydzień deszczu nie będzie i tak dalej. No, wziął robotników i dawaj siano kosić. Robota poszła na całego. Aż tu w czwartym dniu jak szmajdnie deszcz i tak dalej. Wszystko siano mu do rzeki zniosło.

— No, to inna parada — rzekł autorytatywnie Profesor. — Kalendarze różne tam wróżki i znachorzy układają, a astronomią tylko najwięksi kupcy i generałowie się zajmują.

— Ależ tamten cham to się naciął — rzekł Baran.

— A wiesz co on z kalendarzem zrobił?

— No?

— Przywiązał do niego kamień i chlust do stawu.

— Dureń! — rąbnął twardo dłonią w stół Profesor. — Człowiek z „alementarnym” pojęciem nigdy by tego nie robił. To tak samo, jakby u nas komu robota nie poszła, a on by statki do ustępu wrzucił.

— A ja tak sobie wyobrażam — wywnioskował po pewnym zastanowieniu się Filip. — Że tamten cham od kalendarza właśnie i zgłupiał. Boksiążki one bardzo są wredne i tak dalej. I w głowie z nich może różne zawracanie powstać. A są nawet tacy, co i całkiem wariują: czytają, czytają i sami dawaj pisać... Ot Abram — pisał i dopisał się.

— To inna marmolada — rzekł Profesor.

Zaczęli rozmawiać o wsypie Abrama Gebluma, który miał manię wypisywania swego nazwiska na każdym skrawku papieru, w książkach, nawet na parkanach, obok brzydkich wyrazów, co tworzyło niezwykle zestawienia, tak że śmiano się z niego... Niedawno wyrobili pajak. Odstawili wszystko do pasera i wzięli forszę. Abram wziął swoją „dole” i na melinę. Wypił i spać. Nawet mu się nie śni, że wsypa na nosie. A tu hinty przychodzą i „wiążą” go. On w zaparte: tam i tam był o tej porze, ten i ten widział. Mogę świadków postawić. A oni się śmieją tylko. Dopiero na Sierpuchowskiej (Urząd Śledczy) papier mu pokazali, którego użył do własnej potrzeby i za sklepem zostawił na ziemi. Tam jak wół było wypisane wielokrotnie: „Abram Geblum... Abram Geblum...” Omal się nie wściekł ze zmartwienia. A przecież też był firmowym złodziejem.

W tej chwili Filip Łysy rzekł:

— Ja też z jedną książką to taką miałem polkę. Rąbnałem ją w przejściu wieczorkiem pewnemu frajerowi na skwerze i tak dalej... Dla hecy: niech poszuka, bo co mi po książce. Przyniosłem do „chazy”. Myślę: dzieciakom dam, będą łódeczki robić i tak dalej. Ale otworzyłem i czytam jedną stronę, potem drugą. A potem poszło, poszło i poszło. Dwa tygodnie tak czytałem.

— Cóż tam było? — zainteresował się Profesor.

— Zaczekaj! Zdażysz! — odburknął Filip, który był bardzo zarozumiały.

— No, no... Cóż tam było? — zdradzał coraz większe zainteresowanie Profesor.

— Co było?... Co było?... To było, że Ziemia — Filip wybałuszył i tak wysadzone na wierzch oczy — krągła. — Filip zrobił w powietrzu krąg dłonią. — Jak arbuz. A my na tym arbuzie żyjemy... Po nim chodzimy.

— Buja... — westchnął tragicznie i po raz pierwszy przez cały czas rozmowy odezwał się Glista.

— No, a znakiem tego — ożywił się Baran. — Nie wszyscy chodzimy jak się należy... Niektórzy łbem na dół.

Glista parsknął bezdźwięcznym śmiechem.

Profesor chciał coś wtrącić, lecz Filip zatrzymał go ruchem dłoni i dalej cedził uroczyście:

— I, że się... — tu zrobił dłuższą przerwę, a potem jak bombę rzucił: — kręci!... Tak jak koło u samochodu, tylko prędzej...

Glista znów parsknął śmiechem.

— ...I że we środku jej ogień zawsze się pali, a my jak po skorupie u jajka chodzimy.

— Czemuż nóg nie poparzymy?... — znów wyszeptał Glista.

— A czemu nafta się nie zapala?... Też jest w ziemi? — zaskoczył Filipa pytaniem Baran.

— Właśnie — zgodził się Filip. Uniósł w górę brwi i palce. — To ja, wicie, chłopaki, z mieszkania z początku wyjść bałem się. A nuż, myślę, z tego arbuza się zerwę i cholera wie gdzie polecę. A potem skapowałem, że to wszystko bomba. Ze jakiś frajer chciał ponabijać w butlę innych frajerów. Ale ja nie dam z siebie balonu zrobić — w tym miejscu Filip szeroko ziewnęła i obwiodła obecnym spojrzeniem.

Profesor był wysadzony z siodła, lecz próbował

bronić nauki. Zrobił uroczystą minę, ściągnął brwi i rzekł:

— No wiecie: książki, one są niejednakie...

— Tak — zgodził się Filip. — Różne są: i grube i cienkie, i na czerwono malowane, i na zielono... z obrazkami też bywają. Ale nic dobrego z nich nie ma. Same psucie papieru. A jeśli kto jest mądry, to nie dlatego, że książki czyta, a dlatego, że nie daje się bujać.

— A skąd — zrobił zasadzkę Profesor — ludzie rozumu nabierają, jeśli nie z książek?

Filip pogardliwie sapnął i z góry spojrzął na Profesora:

— Od innych mądrych ludzi się uczą. Ot co... To jak szczeniak od starego psa, albo kociak od kota i tak dalej.

Może by długo jeszcze trwała ta „naukowa” dyskusja, lecz do pokoju weszła Cypa. Jeśli Ruda Chana była bardzo piękna, to Cypa — jej siostra — o parę lat tylko starsza, stanowiła jakby uosobienie brzydoty. Przede wszystkim niechlujna: zawsze zatłuszczona z przodu suknia, spod której wylażą nogawki pasiastych barchanowych majtek. Twarz miała kościstą, zieloną, zdeformowaną. Wargi sine. Twarz bez brwi. Powieki zaczerwienione. Latające oczki w przekrwionych gałkach. Włosy jakby popielate.

Cypa się zbliżyła do Barana i mrużąc tajemniczo jedno oko rzekła cicho:

— No i co pan Oluś powie?

— Żyje się — odrzekł Baran. — Ot daj nam dwie piramidki siwuchy, ale wiesz: mikołajewskiej. Patrz tylko, żeby bez pucu. Ja tego nie lubię. No i zagrychy.

— Jest szczupak po naszymu...

— Dawaj!

— I chały... Jak cukiereczki...

— Ciągnij!

Jeszcze Cypa nie wyszła z izby, gdy drzwi się otworzyły i do środka weszło dwóch mężczyzn. Jeden wysoki, szczupły, nadzwyczaj giętki i smukły. Miał szare oczy, gęste ciemne brwi i bardzo miły uśmiech. Był to słynny warszawski złodziej — Janek Złoty Ząb. Złoty Ząb — ze względów fachowych — został dawno zmieniony na biały. Przewisko poszło za nim w świat. Drugi mężczyzna był średniego wzrostu. Twarz jego była bardzo regularna, lecz pospolita. Miał tylko bardzo małe, jakby kobiece — ładnej formy uszy. Był to Kazik Morecki, wileński złodziej, dawny wspólnik i kolega Barana z robót i z odsiadek w więzieniu. Kazik miał przysłowie: ten istny. A marynarka jego była nieomylną wskazówką nastroju. Taki psychologiczny barometr, jak u Żardonia czapka, wskazujący niezawodnie na nastroje jej właściciela: jeśli rozpięta, a ręce w kieszeniach — Kazik zarobiony i dobrze się czuje; jeśli zapięta — źle — kłopotów do cholery, no i mortus ciśnie... Natomiast Janek Złoty Ząb żadnego „barometru” nie posiadał i zawsze był w pomarańczowym humorze. Ulubione jego przysłówko było: „Franek nie rób wiatru”.

Gdy nowoprzybyli weszli do pokoju Baran krzyknął do odchodzącej Cypy:

— Dodasz jeszcze jedno szkło!

Kazik Morecki opowiadał Baranowi o Wilnie:

— Paskudnie tam. Roboty żadnej (mowa o robocie złodziejskiej). Wszyscy chodzą pijani z gło-

du. Całe miasto we wstążkach (łachach) paraduje. Teraz trochę się poprawiło, ale byłem na wystawie (poszukiwany przez policję). Myślę: paskudnie! Jeśli znów mnie zwiążą, to nakituję w kiczu, więc wyrobiłem łokciówkę (sklep z materiałami), 77 rzeczy (wytrychy) za pas i jazda tu.

Gdy towarzystwo rozmawiało przy wódeczce, do pokoju wszedł średniego wzrostu mężczyzna o bardzo wesołym uśmiechu i spojrzeniu. Wchodząc lekko pogwizdywał jakąś poleczkę.

— Drzwi zamknij! — rzucił mu od stołu Janek Złoty Ząb.

— On w domu nie miał drzwi — wycodził z powagą Filip Łysy.

— A! gdzie się podziały? — uniósł w górę brwi Janek Złoty Ząb.

— Krowa zjadła... ze słomy były — wygłosił Filip.

Lecz nowoprzybyły, nie zwracając zupełnie uwagi na docinki, przywitał się, pogwizdując, z obecnymi i swobodnie usiadł w krzesło, jakoś mile i jakby trochę ironicznie się uśmiechając. Był to Peta. To znaczy poeta: ktoś mówiąc ten wyraz zgubił literę o, więc tak i pozostało. Nazwali go złodzieje „poetą” dla tej przyczyny, że lubił mówić do rymu. Ot i teraz usiadłszy do stołu i zapewne mając na myśli poprzednie docinki złodziejów powiedział:

— Za stołem siedzą i sto słów jedzą.

— Widziałeś chińskiego poetę? — spytał Janek Łysy Filip.

Tamten wzruszył ramionami.

— W Chinach poetę rysują zawsze wierzchem na świni — natrząsał się z Pety Filip Łysy.

Peta się nie zgniewał i w odpowiedzi rzekł:

— Racja! Na świni jedzie: ma ryżu misę, a świnia łysa.

Wszyscy się roześmiali. Zrozumieli aluzję do Filipa. A Glista głośno wyszeptał:

— Wszystko do rymu. Wciąż do rymu.

— Bo chcę jechać do Rzymu — kontynuował Peta.

Peto dość wstrzemięźliwie wódkę. Janek Złoty Ząb, robiąc teatralne gesty i miny, opowiadał Profesorowi o jakiejś swojej nadzwyczajnej robocie. Profesor udawał, że uważnie słucha, a sam myślał o czymś innym.

— ...No rozumiesz, przychodzę tam i szabrem drzwi pruję. Wchodzę: pa-a!ac!... Sam blit... (*). Srebra nie biorę: ciężko nieść! Tylko blit i szkiełko... **). Na sześćset kawałków ***) tego było. Ledwie wyniosłem... Tak, bracie, się żyło... Człowiek nie dbał o wierzch u palta: może być za 50 rubli, ale spód carski: pięć kawałków... Tak...

Baran rozmawiał z Kazikiem, a jednym uchem słuchał bajdurzeń Janka. Przesadzanie irytuje go, tym więcej, że to czyni nie szpaniuga, a solidny złodziej i trajluje nie frajerowi a również blatnemu. Gdy Janek mówi o pięciu kawałkach za spód palta, ma w myśli: „cukru”.

Niespodzianie uwagę wszystkich zwrócił na siebie Glista. Do nikogo z osobna się nie zwracał. Mówił jak zwykle cicho i tajemniczo:

*) Złoto.

**) Drogie kamienie.

***) Tysiący.

— Wiecie, chłopaki, sen miałem... Że kura jajo zniosła... Odeszła, patrzy na nie i oblizuje się... Co by to znaczyło?

— Głupstwo — wywnioskował Łysy Filip.

— Oczywiście głupstwo — potwierdził Profesor. — Głupstwo i niemożliwość zoologiczna.

Wszyscy milkną i z ukrytym podziwem patrzą na Profesora. A tamten przybiera skromniutką minę: „To jeszcze nic. Poczekajcie, ja wam lepiej zagnę”.

— Dobrą masz melinę? — spytał Kazika Baran.

— Nie bardzo. Wesoło tam, ale niespokojnie. Dziw, że nie cupną wszystkich... Przychodzę ja wczoraj: gramofon ryczy, butelki dzwonią, pieczona gęś na stole, a na łóżku Marysia pedały rozwaliła... Raj!... Ale tak żyć, to raz-dwa związą.

Baran przez chwilę się namyślał, potem rzekł:

— Chcesz, to dam ci inną melinę. Tam będzie i wygodnie i spokojnie.

Miał na myśli swoje niedawne locum u Katarzyny Sperdy.

— Daj grabę! — ucieszył się Kazik, wyciągając dłoń.

Uścisnęli sobie ręce.

— Masz jakie rzeczy? — spytał Baran.

— Jest trochę gratów.

— Poślę po nie Obywatela. Migiem skoczy. A potem pójdziemy razem na Komarówkę.

Baran wyszedł z pokoju i odnalazł Cypę. Kazał jej sprowadzić Obywatela. Był to zdeklasowany inteligent. Miał w Orle własne kamienice i jakąś fabryczkę. Drapnął stamtąd przed bolszewikami. W Mińsku zaczął się obracać między szumo-

winami. Pośredniczył na rynku w sprzedaży różnych rzeczy. Pisał złodziejom podania i listy. Wreszcie się przyzwyczaił do nich i polubił. Zawsze można go było znaleźć na Niżnim Rynku, albo w pobliskich spelunkach. Złodzieje mieli dla niego pogardę jako dla „szpagata” i szacunek ze względu na jego dobre maniery i wykształcenie. Pokpiwano z niego często, lecz nie krzywdzono nigdy.

Obywatela świat przestępczy, w którym niespodzianie się znalazł, z początku przeraził, a potem niezmiernie zainteresował. Spostrzegł, że rządzi nim nieco chaotyczne, lecz konsekwentne prawa. Że u przestępców istnieje własna etyka, której reguł nie wolno przekroczyć bezkarnie; są swoje prawa, tradycje i obyczaje. Znalazł wśród przestępców sporo ludzi oryginalnych, o wybitnej indywidualności, silnej woli, ogromnych zdolnościach. Zdumiewało go to, że nie mając zazwyczaj wykształcenia i będąc prawie na poziomie dzieci, pod względem wiedzy teoretycznej, w praktycznym jej stosowaniu są nieomal genialni. Złodzieje, na przykład, prawie nieomylnie szacowali każdą jednostkę z tłumu. Wyłuskiwali stamtąd szpicla, złodzieja, frajera... Wyglądało to tak, jakby każdy człowiek miał u nich nalepioną etykietę, określającą jego cechy wewnętrzne i... społeczne. Spryt złodziejów (mowa o złodziejach solidnych, firmowych, nie o nędznych chapunach i dyletantach) i szybkość w pracy i decyzjach oszałamiały go... Zabawną była ich fanfaronada i puszenie się, lecz to stanowiło raczej urok, niżli wadę. Ogromnie imponowała mu ich ważność słowa. Nie znał wypadku, kiedy złodziej (jeszcze raz zaznaczę — „ra-

sowy”) zawiódlby, nie dotrzymał zobowiązania, nawet wyrażonego bez specjalnych zaklęć — jak w społeczeństwie ludzi uczciwych: „słowo honoru daję!”, co często z wiatrem ulata i ginie niemal po przebrzmieniu. Słowo złodzieja dla niego miało wartość absolutną, bo nigdy na nim się nie zawiódl... Złodzieje często z niego pokpiwali, lecz to go nie obrażało. On zobaczył w nich niespodzianie tylko duże, zacne, dobre dzieci, które dlatego tylko — przeważnie — stały się przestępcami, że były zbyt dobre, szczere, śmiałe, aby dobrze się czuć w stadzie, aby się nie zbuntować, nie pójść własną, choć niebezpieczną ścieżką.

Zawołano Obywatela (znalazł go jeden z licznych synów Cypy; oni to trzymali czujne widety na ulicy, i oku ich nic nie uszło). Obywatel wszedł do pokoju, jedną ręką poprawiając straszliwie brudny i zmięty kołnierzyk, drugą zakręcając wąsa. Miał sporo ponad 50 lat. Twarz jego była rąsowa, lecz typowo pijacka. Przywitał wszystkich skinieniem głowy, a Baranowi podał rękę.

— Cóż pan ma dla mnie nowego?

— Zaraz powiem — rzekł Baran. — Gólnij pan sobie na rozgrzewkę.

Gdy Obywatel wypił, Baran dał mu pieniądze na dorożkę i kazał zabrać i przywieźć tu rzeczy Kazika Moreckiego.

Baran pił, rozmawiał, słuchał żartów kolegów, lecz myśli jego wciąż wracały do Paulinki. Narastała w nim, wykwitła z ciemnych pokładów życia, miłość do dziewczyny, miłość, której dotychczas nie doświadczył, chociaż miał wiele kochanek. By-

ły wśród nich wydry — łase na gotówkę — były i bezinteresowne. Brał je szorstko, prawie obojętnie, często pogardliwie, lecz nie kochał żadnej. Gdy słyszał opowiadania o gorącej miłości, że ktoś tam zwariował z tego powodu, albo się otruł, to szczerze temu się dziwił i pobłaźliwie się uśmiechał. Uważał to za głupotę, przesadę, albo za swego rodzaju „malacholnię” (*). Teraz i jego to dotknęło. Niespodzianie, całkowicie — jak gorączka.

Kazik Morecki, który znał Barana od wielu lat, spostrzegł, że kolega jest dziwnie smutny i roztrągniony.

— Cóżes taki cytrynowy?... Kinol zwiesił?... A?...

— Głowa boli — odparł Baran.

— I ja, cholera, choruję — rzekł Kazik. — Wygłodziłem się w Wilnie w kieczu. Myślałem, że nakituję... Teraz się rozbiore: same skrzypce.

— Tu odreperujesz się — rzucił z boku Filip.

— Jak diabeł w maju na chrabąszczach — dodał Janek Żłoty Ząb.

— To z jednej strony racja, z drugiej sytuacja — wtrącił Peta.

Profesor, deformując dziwacznie gumową twarz i rysując palcami w powietrzu, opowiadał Głiscie o swej wsypie:

— ...Powiada: jesteś recywilista i znakiem tego będziesz detalicznie oddany pod nadzór policji. A ja do niego: nie będziesz pan taki niedyskretny.

Glista trzasnął stawami rąk i rzekł cicho:

— Chcieli cię upiec.

*) Oblęd.

Łysy Filip, który od pewnego czasu przysłuchiwał się ich rozmowie, nic nie rozumiał i pogardliwie sapnął nosem:

— Rozmawiają jak kura z rakiem.

— Albo słoń z prosiakiem — dodał Peta.

Zrobiło się ciemno. Cypa zapaliła wiszącą na drucie pod sufitem lampę. Baran, Kazik Morecki, Janek Żłoty Ząb i Filip Łysy omawiali szczegóły zamierzonej w najbliższych dniach kradzieży. Robotę znalazł Filip Łysy. Była to nowootworzona Kooperatywa Policyjna przy ulicy Kołomińskiej. Filip dawno spostrzegł, że się remontuje stary, zaniedbany lokal. Od czasu do czasu — przechodząc w pobliżu — śledził postępy w pracy. Gdy lokal był odświeżony, zaczęto urządzać go wewnątrz. Takie nowopowstające sklepy są miłą gratką dla złodziejów, bo zwykle są słabo i nieumiejętnie zabezpieczone. W tym wypadku robota szczególnie zainteresowała Filipa, bo dowiedział się, że lokal jest przeznaczony na Policyjną Kooperatywę. Filip coraz częściej odwiedzał Kołomińską ulicę i, albo przelotnie obserwował stopniowe powstawanie kooperatywy, lub sprytnie wypytywał pracujących w lokalu ludzi, o różne interesujące go szczegóły. Robił to pod pretekstem, że sam chce wynająć lokal na sklep, albo proponując potrzebne do urządzenia sklepu materiały... Nad drzwiami sklepu ukazał się nowiutki szyld. Wewnątrz wszystko było wykończzone, a pewnego dnia zaczęto sprowadzać towary: sól, mąkę, kawę, kaszę, herbatę itd. Filip powiadomił współników o nowej robocie. Obejrzano ją dokładnie i postanowiono czekać na lepszy towar. Niedługo potem sprowadzono do kooperatywy, która rozpoczęła już swe

czynności, partię manufaktury, a nazajutrz przywieziono sporo trzewików i skóry na podeszwy. Złodzieje uznali robotę za dojrzałą i postanowili przystąpić do likwidacji „pajaka”. Właśnie teraz się naradzali nad sposobem dokonania kradzieży.

Baran słuchał, nie biorąc udziału w naradach, chociaż opinię jego ceniono najwięcej. Słuchał, bo nie znał roboty dokładnie, tylko słyszał o niej od kolegów. Janek proponował machnąć „pajak” wieczorem, zaraz po zamknięciu sklepu. Filip apróbował jego plan. Natomiast Kazik nie okazał zbytniego entuzjazmu dla tego planu i w pewnej chwili zwrócił się do Barana:

— A ty jak myślisz?

Baran położył dłoń na stole i rzekł powoli, stanowczo.

— Po raz pierwszy trzeba zrobić na czysto. Nie zostawić nic... Trzeba „glinom” nosa utrzyć porządnie... Najlepiej wyrobić „pajak” w dzień... W czasie przerwy obiadowej... Przyjechać z „potokiem” (*), władować wszystko i do pasera... Za dwie godziny można i robotę skończyć, i towar do pasera odstawić, i „potok” na miejsce zawieźć...

Wszyscy milczeli i zastanawiali się. Zaskoczyła ich prostota planu Barana. W lot zrozumieli, że ten sposób roboty będzie najzyskowniejszy, najbezpieczniejszy, a jednocześnie bardzo efektowny. Zaczęto z zapalem omawiać szczegóły roboty. Ostatnią trudność stanowiło wydostanie „potoku”. Baran wziął to na siebie (miał zamiar załatwić tę sprawę z pomocą Stasia Dorożkarza, który mógłby — jak przypuszczał Olek — dać swego ko-

*) Wóz.

nia, a wóz **pożyczyć** od Szłomy Goja, wynajdując odpowiedni pretekst). Złodzieje postanowili rąbnąć „mętów”, jak tylko Baran załatwi sprawę „potoku”. A Baran miał zamiar uczynić to jeszcze dzisiaj. Nazajutrz miało nastąpić ostateczne wyjaśnienie tej sprawy i wyznaczenie terminu dokonania kradzieży.

Znalazły się pieniądze na dalszą baterię wódki — zresztą Cypa chętnie na kredyt im dawała; wiedziała, że tak solidni złodzieje nie zarwą jej. Humory trochę się ożywiły. Podniecała ich perspektywa ciekawej i zyskowej roboty.

Tymczasem Obywatel, który pieniądze na drożkę zostawił dla siebie, przyniósł rzeczy Kazi-ka Moreckiego, złożone w niezbyt dużym, tekturowym pudełku. Z komiczną elegancją zbliżył się do Barana i jak na tacy, podał mu pudło.

— Proszę, panie Aleksandrze. Rozkaz wykonany.

Baran, któremu bardzo się podobały grzeczność i wrodzone dobre maniere Obywatela, posadził go obok siebie i częstował wódeczką. Obywatel prędko się upił. Miał słabą głowę i źle się odżywił, więc alkohol od razu go oszałamiał.

— No, Obywatelu, zaśpiewaj nam cokolwiek!
— zwrócił się do niego Filip Łysy, mrugając do kolegów.

Inni złodzieje podtrzymali jego prośbę.

Obywatel obwiódł mętym spojrzeniem otaczających go ludzi i blado się uśmiechnął. Wiedział, że głos ma nędzny: przepity i zakatarzony, lecz nie chciał sprawiać zawodu tym sympatycznym chłopakom, których kiedyś nazywał krótko: żuliki. Uniósł w górę brwi, zmarszczył czoło i zaśpie-

wał jedyną znaną mu, pseudo-złodziejską, lub raczej pseudo-więzienną, piosenkę:

Siedzę w ciemnicy,
Siedzę w ostrobie,
Do mnie się zbliża żołdat srogi.

Złodziej i prostytutka lubią szczególnie pieśni, opiewające niedolę ludzką. Będą słuchać najlichszej i łatwo się rozrzewniają. Więc i piosenka Obywatela — zresztą znana im — wbrew jego oczekiwaniu śmiechu nie wywołała. Słuchano jej chętnie, a kilka głosów dołączyło się do refrenu:

Zginałem ja chłopak,
Zginałem za krata.
A rok za rokiem
Mijają wciąż lata.

Twarze obecnych, a szczególnie oczy, zupełnie się odmieniły; zrobiły się miękkie, rozmarzone, dziecięce. A Obywatel zdumiony powodzeniem śpiewał coraz lepiej i wszyscy uważnie go słuchali, podchwytyjąc refren.

Gdy ta piosenka była skończona, zaczął śpiewać Kazik Morecki. Śpiewał znaną w dołach społecznych piosenkę, „Jabłuszko”, którą zrodziła rewolucja, a spopularyzowali złodzieje po więzieniach. Piosenkę tę władza sowiecka zaczęła prześladować, bo stawała się coraz więcej satyrą na ustrój bolszewicki i jego niedomagania. Coraz nowe zwrotki tej piosenki wykwiwały niespodzianie, płynęły z ust do ust i rozbrzmiewały po całej Rosji.

Hej, Jabłuszko, potoczyło się,
W Czerezwyczajce zagubiło się.

Śpiewał Kazik:

Hej, jabłuszko, ty ze złota...
Komisarze to hołota!

Hej, jabłuszko, jakie cudne
Żyganowi (*) życie trudne.

I leciały, leciały coraz nowe zwrotki piosenki, przeważnie opiewające niedolę złodzieja. Skarzyły się, tłukły o brudne ściany i konały w kątach.

— Wie pan co, panie Aleksandrze — rzekł do Barana Obywatel — to cudna rzecz! Toż to wasza międzynarodówka... Tak... To międzynarodówka ludzi pokrzywdzonych, nieszczęśliwych, biednych, tak jak wy... jak ja... wszystkich wydziedziczonych... wszystko jedno kiedy, gdzie i przez kogo... To hymn i protest tych, którym odebrano możliwość istnienia, a za to, że ośmielają się o życie walczyć, nazwano zbrodniarzami.

Chwycił dłoń Barana i mocno ją ścisnął, a z oczu mu zaczęły łzy padać... Baran, zdumiony, patrzył mu w twarz i chmurzył się... Starał się zrozumieć tego frajera, któremu bieda na starość dopiero zaczęła ukazywać życie takim, jakie jest i... prawdziwe oblicza ludzi.

Hej, jabłuszko, serce boli
Biedakowi wciąż niewola.

*) Złodziejowi.

V.

HISTORIA JEDNEJ KRADZIEŻY I DWÓCH PAR DAMSKICH PANTOFELKÓW

Subiekt zakładu fryzjerskiego „Karmen”, położonego przy ul. Kołomieńskiej, nie mając roboty stał w otwartych drzwiach fryzjerni i, wygrzewając się w słońcu, gapił się na przechodniów. Jednocześnie marzył. Marzył o własnym, pierwszej kategorii, lokalu damsko—męskim przy ul. Gubernatorskiej, albo co najmniej w centrum Zacharzewskiej. O licznej czystej i hojnej klienteli... Fryzjernia, naturalnie, ma być urządzona na wzór amerykański. Wspaniałe obite skórą krzesła — jak fotele dentystyczne. Lustra na całą ścianę. Wszędzie nikiel, szkło i marmury... Marzenia jego przerwało zainteresowanie się dwoma panami, którzy się zbliżyli do drzwi znajdującej się naprzeciw „Policyjnej Kooperatywy”. Obaj byli przyzwoicie ubrani i wyglądali bardzo solidnie. Jeden z nich odemknął kluczem (fryzjer nie mógł widzieć, że uczyniono to wytrychem) drzwi i gestem ręki zaprosił drugiego do wnętrza. Znikli w środku i przymknęli za sobą drzwi. Fryzjer nic więcej nie

zaobserwował, bo do zakładu weisnął się klient. Był kontrastem jego marzeń o „czystej klienteli”. Miał na głowie stertę brudnych włosów, a broda była najeżona zasiekami rudych, twardych jak druty stalowe, włosów.

— Ostrzyc i ogolić! — rzekł klient.

Fryzjer tylko westchnął i z rozpaczą zabrał się do roboty. Wiedział, że ręce będzie miał lepkie od tłustych, dawno niemytych włosów, że spod pędzla przy mydleniu będzie brud ściekał.

Tymczasem Janek Złoty Ząb i Filip Łysy równie intensywnie pracowali w położonej naprzeciw fryzjerni, kooperatywie. Robotę rozpoczęli prawie razem z fryzjerem, lecz pracowali nie z obrzydzeniem, a z przyjemnością i zapałem ogromnym.

W kwadrans czasu ułożono na ladzie i podłodze umiejętnie opakowane w papier, worki i skrzynie towaru. Półki już były puste. Koledzy zaczęli wynosić wszystko ze sklepu do tylnego pokoju, którego drzwi prowadziły na podwórze. W czasie pracy do drzwi tych ktoś zapukał. Raz długo — dwa krótko; raz długo — dwa krótko. Filip odemknął drzwi. Do środka wszedł Kazik Morecki.

— Odprowadziłem ich na Kreszczeńską ulicę — rzekł Kazik. — Wszystko idzie klawo.

Kazik miał na myśli kierownika Kooperatywy i dwóch jego pomocników-sprzedawców, którzy o godz. 12-ej zamknęli drzwi wywiesiwszy za szkłem tekturkę z napisem: „Od 12-ej do 2-ej przerwa obiadowa”, udali się do stołówki policyjnej przy ulicy Kreszczeńskiej Kazik poszedł za nimi, aby przypadkiem który nie wrócił — mogło to się stać, jeśli by zapomniał czegoś w sklepie. A tymczasem Filip i Janek skłuczyli drzwi i zajęli się

przygotowaniami do likwidacji kooperatywy. Tera-
raz i Kazik do nich się dołączył. Praca ich szybko
zbliżała się ku końcowi.

Tegoż dnia o godzinie jedenastej Baran wstą-
pił do herbaciarni Cypy i nie przechodząc za kon-
tuar do właściwego lokalu spelunki, usiadł przy
jednym ze stolików na ogólnej sali. Potem — ku
wielkiemu zdumieniu poprosił o herbatę i bułki.
Żydówka musiała specjalnie dla niego postawić
samowar. O w pół do dwunastej Baran pił herba-
tą i zjadał bułki. Nie śpieszył się z tym. Jadł
powoli, palił papierosy i od czasu do czasu patrzył
na zegarek. Punktualnie za kwadrans 12-a przed
oknami herbaciarni przejechała spora platforma,
zaprzężona w dużego siwego konia. Woźnica za-
kręcił na podwórze kamienicy, w której się mieści-
ła herbaciarnia Cypy. Zrobił po dziedzińcu koło i
ustawił konia do wyjazdu na ulicę. Potem również
wstąpił do herbaciarni, usiadł do osobnego stolika
i również poprosił o herbatę i bułki. Był to Staś
Dorożkarz. Nie przywitał się z Baranem — uda-
wali, że się nie znają.

Baran wkrótce zapłacił Cypie za jedzenie i
wyszedł na ulicę. Skręcił na podwórko i lokując
się wygodnie z przodu platformy wyjechał na uli-
cę. Dwadzieścia minut po 12-ej Baran zajechał na
dziedziniec, przy którym mieściła się Policyjna
Kooperatywa. Nikt na to nie zwrócił uwagi.
Zresztą dość często wjeżdżały tu furmanki i niko-
go to nie dziwiło, ani obchodziło.

Włódzieje zaczęli we czwórkę ładować towary
na platformę. Nie zapomniano niczego. Zabrano
nawet dwie wagi z odważnikami, szczotkę do za-
miatania podłogi i wycieraczkę do nóg sprzed

drzwi. Po ich wyjściu lokal pozostał zupełnie pusty. Tylko na tabliczce na drzwiach teraz było napisane: „Od 12-ej do 12-ej przerwa obiadowa”. To Kazik Morecki nie mógł wytrzymać, aby nie spłatać figla „mętom”. Więc dopisał ołówkiem przed godz. 2 cyfrę 1 i wyszło „Od 12-ej do 12-ej przerwa obiadowa” — w nieskończoność.

Było 40 minut po 12-ej, gdy z dziedzińca przy ul. Kołomieńskiej wyjechała na ulicę ciężko naładowana platforma, wywożąc wszystkie produkty, towary, a nawet urządzenie sklepowe Kooperatywy Policyjnej. Tymczasem fryzjer z „Karmen” wciąż się mozolił nad doprowadzeniem do porządku głowy i brody swego klienta... Złodzieje udowodnili, że są lepszymi mistrzami w swym fachu. Że potrafią bardzo skutecznie i prędko strzyc i golić — bez mydła, brzytwy i nożyczek.

O godz. 1-ej minut 15 platformę wyładowano na dziedzińcu przy ulicy Sierpuchowskiej. Towary wniesiono do piwnicy, położonej pod mieszkaniem pasera. Było do niej jedno wejście z podwórza, a drugie z mieszkania. Filip Łysy, Janek i Kazik zostali u pasera, aby uporządkować i obliczyć towar do rozrachunku, a Baran pojechał pustą platformą w kierunku Niżniego Rynku. Przejeżdżając obok herbaciarni Cypy dostrzegł w oknie Stasia Dorożkarza. Skinął mu głową i pojechał dalej. Staś zapłacił Cypie za jedzenie i wyszedł na ulicę. Dopędził Barana w pobliżu rynku. Baran oddał mu lejce.

— Dobrze poszło? — spytał Staś.

— Jak z nut — rzekł Baran.

Baran pożegnał Stasia i poszedł na Sierpuchowską do pasera, a Staś pojechał na Łogojski

Trakt do domu, gdzie wyprzągnął swego konia z platformy Szlomy Goja, a założył do dorożki, którą zaraz wyjechał na miasto. Pasażerów, którzy kilka razy go zatrzymywali nie brał: jechał również na Sierpuchowską do pasera. Według praw złodziejskich za udzielenie „potoku” należała mu się równa „dola” z uczestnikami kradzieży.

Staś Dorożkarz odstawił do domu platformę Szlomy Goja punkt o 2-jej godzinie. W tymże czasie fryzjer z zakładu „Karmen” znów stał w drzwiach fryzjerni i znów się nudził. Obserwował przechodniów i znów marzył: o bogatym ożenku ze śliczną cudzoziemką. Jak to zzielenieją ze złości koledzy, gdy mając pod dostatkiem pieniędzy otworzy w Mińsku kilka pierwszorzędných lokali.

Uwagę fryzjera zwrócili kierownik kooperatywy (przodownik policji ubrany po cywilnemu) i dwaj jego pomocnicy (posterunkowi), którzy zbliżyli się do drzwi kooperatywy i odemknęli je. Była godzina druga. „Pójsz zapytać ich, czy sprzedają papierosy prywatnym osobom” — pomyślał fryzjer. Wtem zobaczył, że kierownik kooperatywy wybiegł z lokalu na ulicę i oglądał ją w prawo i w lewo. Wnet dołączyli się do niego i sprzedawcy. Zachowywali się — według zdania fryzjera — komicznie: oglądali drzwi, chodnik, jezdnię; wbiegali z powrotem; nawet kleli. Fryzjer patrząc na ten rozgardiasz, zaczął się uśmiechać... Gdy przodownik dostrzegł na drzwiach kartkę, oznajmającą, że obiad trwa od 12-jej do 12-jej, to po prostu się wściekł: zaczął grozić pięściami i wykrzykiwać: „Poczekajcie, ja ich zamknę! na 12 lat! Ja im pokażę! Ja ich nauczę!”.

Przechodnie zaczęli się zatrzymywać. A fry-

zjer, ubawiony dziwnym zachowaniem się przodownika, już się nie uśmiechał, a głośno się śmiał. Przodownik dostrzegł to i skoczył ku niemu przez jezdnię z zaciśniętymi pięściami:

— Ty czego się śmiejesz?

— Ja nic...

— Jakto nic... W znowie byłeś z nimi, a teraz się cieszysz.

— Ja nic nie wiem, panie władzo... O co panu chodzi?

— Kooperatywę okradli, rozumiesz? Widziałeś kogo tam?

— Owszem. Widziałem przed godziną 1-szą dwóch panów, jak tam wchodzili. Ale to byli bardzo przyzwoici panowie.

— Złodzieje, cholera, nie panowie... A ty milczałeś!... Co?... Widziałeś i milczałeś?... A?...

— Może w znowie był z nimi? — zauważył jeden z posterunkowych.

— Na pewno... Widać, że też dobry numer... A potem jeszcze kpi...

I fryzjera, najniespodzianie dla niego, zabrano do Urzędu Śledczego na Sierpuchowskiej. Właśnie w pobliżu domu pasera, dokąd złodzieje przewieźli Policijną Kooperatywę. W Urzędzie Śledczym fryzjer siedział przeszło tydzień. Tymczasem zamknięte okiennice fryzjerni „Karmen” ponuro spozierały na zamknięte okiennice „Policyjnej Kooperatywy”.

W kilka dni po okradzeniu kooperatywy w miejscowym piśmie codziennym ukazał się „Mały felieton”, pióra znanego w Mińsku satyryka i humorysty, który ukrywał się pod pseudonimem

Wowa Krucikow. Felieton miał tytuł: „Policja i złodzieje”. Zakończenie jego było następujące:

Więc się zwracam do obywateli
z gorącym apelem:
Aby ustrzec naszych stróżów,
co pracują wiele,
Proponuję stworzyć warty
i dobrze czatować,
By policja zażarcie
Mogła nas pilnować.

Wiele czasu poświęcił Olek Baran na wyszukiwanie dobrej skóry na damskie pantofelki. Potrzebna mu była francuska giemza w czarnym i złotym kolorze. Wreszcie obszedłszy wszystkie miejskie sklepy legalne i wszystkich spekulantów, znalazł to czego szukał. Sam udał się do sztepera, który w jego obecności, według dokładnych wskazówek wykonał rzeczywiście pierwszorzędnie dwie pary „zagotówek” na damskie pantofelki. Twardy towar było lżej zdobyć. Jednak to wszystko zajęło mu dużo czasu i sprawiło wiele kłopotów.

Teraz Baran siedział przy swoim warsztacie i powoli robił obuwie dla Pawki. Raczej pieścił je niż robił, bo tyle wkładał pracy w wykonanie każdego szczegółu, jakby to miało iść gdzieś na wystawę. Postawił sobie za cel, że pantofelki muszą być: eleganckie, wygodne, trwałe i lekkie. Aby to osiągnąć trzeba mieć bardzo dobry towar, dobrze dopasowane według nogi kopyta i włożyć w pracę sporo czasu.

Olek Baran szewstwa, jak i kilku innych rzemieślników: stolarki, koszykarstwa i trochę introligatorstwa, wyuczył się w więzieniu. Gdy siedział po

raz pierwszy, to koledzy blatni, aby wyciągnąć go z pojedynki, powiedzieli dozorca-majstrowi, że w pierwszym pawilonie na lewym skrzydle w celi nr 72 siedzi dobry szewc na damskie. Właśnie taki szewc był potrzebny do warsztatu więziennego. Jednocześnie uprzedzono o tym przez kalifaktora *) Olka Barana. Majster nazajutrz odwiedził Barana w celi i zapytał: czy jest szewcem, na jaką robotę i gdzie pracował na wolności? Baran z zupełną pewnością siebie odpowiadał według danych mu przez życzliwych kolegów wskazówek. Nazajutrz zabrano Barana do pracowni. Majster zrobił mu miejsce przy warsztacie, wydał towar i kopyta na parę damskich pantofli... Majster rzadko bywał w pracowni... Rano przyprawdzał tu więźniów-szewców, zbierając ich z całego więzienia, a wieczorem odprowadzał na miejsca. Do pracowni wpadał od czasu do czasu, dając pracę, zlecenia, zabierając robotę, przynosząc nową, wyposażając pracownię w narzędzia, towary i dodatki. Po czym musiał, albo biec na miasto po różne zakupy, albo do kancelarii, dokąd wzywano go w sprawach dotyczących warsztatu. Nie więc dziwnego, że nie spostrzegł przez długi czas, że Baran fachowcem nie jest... Pod nieobecność majstra koledzy-szewcy brali jego robotę i wykonywali, a gdy majster czasem wpadał do warsztatu, to widział, że Baran, jak i każdy inny szewc, w fartuchu pracuje na swoim miejscu. Gdy majster zbliżał się do warsztatu, Baran przerywał „pracę” i kręcił papierosa, lub szedł do wygodki. A od czasu do czasu oddawał majstrowi dobrze wykonaną robotę.

*) Korytarzowy, posługacz.

Złodziejom ta mistyfikacja też się opłacała, bo Baran był śledczy, a za rządów carskich w więzieniach płacono za robotę szewcom według następującej kalkulacji: więźniom śledczym — od 1 rubla 60%, karnym 50%, „katorżanom” — 40%. Więc Baranowi na „wypiski” przypadało więcej pieniędzy niżli jego kolegom, którzy byli już po wyrokach. Więźniowie z ich warsztatu jedli wspólnie i kupowali artykuły spożywcze też wspólnie. Więc nie dziwnego, że dobry szewc, który był „katarżanem” zdawał tygodniowo majstrowi 2-3 wykonane pary pantofli. A Baran robił ich tygodniowo od 5 do 7.

Początkowo Baran tylko klepał skórę. Potem ćwiekował podeszwy. A z biegiem czasu nauczył się i całej pracy. Po roku pracował już zupełnie dobrze i pozostał na „lepszej damskiej” robocie, aż do końca dwuletniego wyroku. Poznał, mając do czynienia z różnymi szwecami z wielu miast Polski i Rosji, wiele rodzajów pracy i stał się dobrym szwecem.

Najpierw Baran zaczął robić pantofle z żółtej giemzy. Wybrał fason sportowy: niski obcas, szeroki nosek, solidna podeszew. Może więcej nadawałaby się dla tego rodzaju pantofli skóra chromowa, albo boks, lecz Baran wołał dobrą giemzę. Bardzo starannie wykończył tę parę w ciemno brązowym tonie. Następnie zabrał się do eleganckich, z czarnej giemzy, szytych pantofelków. Miały wysoki francuski obcas, wąski nosek i klamerki z lakierowanego paska. Robił je jak jubiler: „biżuteryjnie” i wyszły nie zwykłe pantofelki, a zabawki.

Po zrobieniu obu par ustawił je na stole i lubował się nimi. Żadnej roboty nie wykonał piękniej, jak te dwie pary... Bo to dla Pawy, Pawki, Paulinki...

Baran nigdy się nie śmiał w sposób naturalny, czasem tylko udawał że się śmieje. Nawet uśmiechał się rzadko. Teraz, patrząc na te cacka, uśmiechał się radośnie. Śmiała mu się do nich twarz i oczy, Śmiało się coś w piersi, w sercu... Czyż może być większa radość od tej, której człowiek doświadcza, mogąc uczynić coś dobrego temu, kogo naprawdę lubi.

U Balów często wspominało Barana, który od dawna się nie pokazywał. Robiono różne przypuszczenie — gdzie mógł się podziać. Oczekiwano go codziennie. Paulinka wiele razy przychodziła wieczorami, chcąc doręczyć mu starannie, lecz bez smaku wyhaftowaną koszulę. Siedziała po parę godzin, a jego wciąż nie było.

Wreszcie się zjawił. Przyszedł nie jak zawsze: w butach i frenczu, lecz w eleganckim garniturze, pantoflach i kapeluszu. Miał ze sobą starannie owinięty w papier pakunek — pantofle dla Pawki. Zastał w domu tylko Lidie, która życzliwie go przywitała.

— Gdzież się pan podział?... Czekaliśmy tyle czasu... I Paulinka co dzień czekała... Myśleliśmy: może jakie nieszczęście...

— Interesa — westchnął Baran.

— Widać dobre interesa pan robi — rzekła Lidia — taki garniturek piękny!

— Zwyczajny — rzekł Baran. — W naszym fachu różnie bywa.

Przyszedł Władek Zając. Radośnie i niezgrabnie przywitał się z Baranem.

— Jak tam Miły? — spytał go Baran.

— Miły... Miły... Miły... — powtarzał Władek.

Wnet wlaź pod piec i wyciągnął psa, który wciąż starał się go ugryźć i głucho warczał. Baran wziął psa na kolana i uważnie go oglądał. Miły wydobrzał. Rany mu się wygoiły, sierść nabrała połysku. Tylko chodził nieco niezgrabnie, jakby kulał. Złamana łapa niezbyt dobrze mu się zrosła i była zdeformowana. Pies na kolanach Barana też głucho warczał, lecz prędko się uspokoił i nawet nie próbował go ugryźć, tylko tulił uszy, gdy Baran powoli głaskał go po głowie.

— Ot pana nie rusza — rzekła Lidia — a nam się dotknąć nie pozwoli: szarpie i gryzie.

Baran był zmartwiony, że Paulinka nie przychodzi. Powiedział o tym Lidii.

— Można ją zawołać — rzekła kobieta. — Ot Władek mógłby skoczyć. Niby to ja wołam.

Władek nie czekając na prośbę, wziął czapkę, i wyszedł z izby. Baran zaczął „politycznie” wypytywać Lidię o stosunki w rodzinie Churdziczów. Lidia chętnie paplała i wyposażyła Barana w mnóstwo interesujących go informacji. Dowiedział się, że tatuś Pawki ma ciężką rękę i trzyma ją ostro. Że jest z fachu stolarzem, a z zamiłowania gołębiarzem.

— Lubi gołąbki, — stwierdził głośno Baran.

— Jeszcze jak! Za gołębiem i na dach i do piekła by polazł. Jak dzieciak.

— Dużo ich ma?...

— I nie zliczyć... Cały strych... Handluje nimi. Wymienia. A jak się zdarzy to i skradnie... Ile razy już się sądził.

Baran zanotował to sobie w pamięci. Sam kiedyś lubił gołębie i hodował je. Znał się na tym dobrze. Ale to było za czasów młodości. Potem się zrzekł tego „sportu”.

— A wódeczkę stary lubi? — indagował Baran Lidię.

— Ot tak sobie... Pije do obiadu... Ale jak czasem naprawdę się urznie: wszyscy z domu uciekają...

— Buszuje — wywnioskował Baran.

— Jeszcze jak! Rwie i łamie... W drogę wejść nie można.

Do mieszkania weszła Pawka. Baranowi się zdało, że razem z nią słońce weszło. Wstał. Trzymając na ręce Miłego przywitał się z dziewczyną. Pies skorzystał z nieuwagi dziewczyny i chwycił ją zębami koło łokcia. Pawka wrzasnęła i skoczyła w tył.

— Ot bestia!...

— On to więcej ze strachu! Zabić go chcieli smarkacze... Boi się teraz każdego — bronił Baran swego pupila.

Zaniósł psa pod piec i obejrzał łokieć Pawki. Suknia była cała, a na skórze tylko nieznaczne ślady zębów. Pawcia się uspokoiła. Po chwili wyjęła z szuflady stołu koszulę, którą wyhaftowała dla Barana. Olek był nią zachwycony. Podobał mu się i wzór haftu i kolory. A największą wartością było to, że pracowała nad tym dla niego Pawcia.

Baran odłożył na bok koszulę i rozwinął swą paczkę. Wyjął z niej parę sportowych pantofelków

i wręczył je Paulince, mówiąc żartobliwie:

— Szyte, kute... na czerwiec i na luty. Za to nie ręczę — stuknął palcem po podeszwie — za to też — musnął dłonią wierzch. — Ale to — wskazał sznurowadło — będzie się nosiło, póki nie zedrze. Jak na ścianę powiesicie, 10 lat pochodzić. A teraz mam dla pani coś innego... Na dodatek...

Wyjął drugą parę pantofelków na francuskich obcasach. Pawka z zarumienionymi policzkami oglądała pantofelki. Podobały jej się ogromnie, lecz nie wiedziała, jak za nie zapłacić. Poprzednio nie było mowy o płaceniu. A teraz była tym skosternowana. Baran wyczuł jej nastrój i rzekł swobodnie, wesoło:

— Te obie pary daję pani za wyhaftowanie mi koszuli.

— Ależ to niemożliwie... Toż to Bóg wie ile kosztuje!

— Nie, nie, głupstwo. Mnie towar tanio kosztował. Jeszcze przedwojenny. A robota własna. Chcę się pochwalić. Reklamę mi zrobicie.

Lidia głośno i przesadnie zachwycała się pantofelkami.

— Ależ to cud! Coś podobnego! Ale z pana to majster!

Ustępując naleganiom Barana Pawka zmierzyła obie pary. Robiła to po części udając żenadę, lecz i naprawdę się krępowała, bo miała podarte na piętach pończochy. Baran to spostrzegł i myślał: „Ot, biedactwo, nawet pończoch porządnych nie ma”.

Baran potrafił przekonać Paulinkę, żeby nie krępując się wzięła obie pary pantofelków. Po-

wiedział, że da jej wyhaftować sobie jeszcze kilka koszul. Że haft jej drożej kosztuje i dłużej trwa niż jego praca. Wreszcie odprowadził ją do domu, a przy furtce wręczył owinięte w papier pantofelki. Dziewczyna na pożegnanie mocno uścisnęła mu dłoń.

— Niech pani przyjdzie w niedzielę po obiedzie do Władka. Może pójdziemy do kina, albo na spacer — prosił Pawkę Baran cichym, wzruszonym głosem.

— Dobrze — rzekła dziewczyna i pobiegła do domu z paczką w rękach.

Baran po raz pierwszy w życiu czuł się naprawdę szczęśliwy. Szedł do domu Ślepiańską ulicą i wciąż się uśmiechał. W głowie mu szumiało, jak od alkoholu. A na ustach błąkał się uśmiech. Kilka razy westchnął głęboko, a potem, niespodzianie dla siebie, pierwszy raz w życiu zaśpiewał:

Hej, jabłuszko, pełne miodu!
Kocham dziewczę ja i swobodę.

Rzucił tę zwrotkę w głąb nocy, jak krzyk szczęścia, jak wyzwanie tym siłom, które o miłości i wolności decydują.

VI.

TOMASZ CHURDZICZ I JEGO PODWŁADNI

Nie ulega wątpliwości, że ze wszystkich znanych mi dyktatur, dyktatura Tomasza Churdzicza, stolarza z ulicy Ślepiańskiej, była najcięższa. Wiele o tym wiem i wiele mam na to dowodów. Zresztą nie tylko ja, lecz wszyscy mieszkańcy Komarówki i Złotej Górki myśleli to samo.

Tomasz Churdzicz miał około 60 lat, lecz wyglądał o wiele młodziej i trzymał się krzepko. Wzrostu był wysokiego, barczysty, kościsty, muskularny, ciężki, jakby spleciony ze sztab żelaza i lin okrętowych. Siłę miał ogromną. Dłonie jak zestali odlane. Twarz była ciemna, brwi duże, gęste, prawie białe — jak szczecina. Wąsy krótko ostrzyżone, rude i twarde. Oczy patrzyły, spod zawsze nachmurzonych brwi, ostro, przenikliwie, nieufnie. Głos był suchy, zawsze podniesiony, zirytowany — jak warczenie złego psa. Chodził ciężko — jak robot. Po prostu: maszyna nie człowiek. I zdawało się, że nawet uczuć ludzkich nie ma. Żaden z członków jego rodziny nie pamięta jednej nawet chwili,

aby był wzruszony, rozczulony, lub dobry. Był to urodzony tyran.

Domownicy żyli w nieustannym strachu przed głową rodziny. Większą część swych wysiłków wkładali w to, aby nie wejść mu w drogę, uniknąć jego spojrzenia. Wszelkie domowe czynności robiło się jakby po kryjomu: aby Tomasz nie zobaczył; bo zawsze wszystko zgani, potem zbeszta, albo i zbije.

Żona jego, Niura Bala — siostra Lidii — kobieta 45-letnia, wyglądała o 10 lat starzej. Męża się bała ogromnie. W jego obecności bladła, drżała i nie wiedziała co zrobić, jak postąpić, co powiedzieć, aby nie narazić się mężowi. Oczy miała zawsze zapłakane... Dzieci też bardzo się bały ojca. Starzały się go unikać. Cały dzień miały zajęty zabawą w chowanego: starały się zawsze zejść ojcu z oczu. Nawet Paulinka, 25-letnia, już dziewczyna, z natury pewna siebie i bardzo śmiała, truchlała przed ojcem. Stasia, która miała 14 lat, najsprytniej umiała lawirować: to też najrzadziej dostawała klapsy, lub połajanki. Ale Julek, chłopiec 10-cio letni, był bity bardzo często i wciąż chodził z opuchniętymi uszami.

Gdy Paulinka, po pożegnaniu się z Baranem, wróciła wieczorem do domu, Tomasz, który siedział przy stole, posłyszał skrzypienie drzwi w sieni i zawołał:

— Kto tam?

Paulinka nie odpowiedziała. Chciała się przemknąć do kuchni. Wtedy Churdzicz szerokimi krokami przemierzył stołowy pokój i szeroko otworzył drzwi do sionek. Gdy Paulinka mocowała się z drzwiami, prowadzącymi do kuchni, paczka, któ-

rą miała w rękach, rozwinęła się i pantofle wypadły na podłogę. Zaczęła je zbierać — z początku w ciemności, a gdy ojciec odemknął drzwi — przy świetle palącej się w głębi pokoju lampy.

— A to co? — spytał Churdzicz, biorąc z rąk córki jeden pantofel.

— Pantofel...

— Widzę, że nie wiadro... Chodź tu!

Churdzicz szarpnął córkę za ramię i prawie wrzucił do pokoju.

— Co tatuś chce?

Tomasz oglądał pantofle, biorąc je z rąk zapłonej dziewczyny, a potem przeszył ją ostrym spojrzeniem.

— Skąd to masz?

— Zarobiłam.

— Zarobiłaś?!

— Tak.

— Jakim ze to sposobem? Od kogo?

— Od szewca.

— Od szewca?

— No tak... za koszulę mi to dał...

— Koszulę mu podniosłaś. Co? — kpił i coraz więcej zapalał się Churdzicz. Gadaj, suko!

— Co tatuś krzyczy... Koszulę mu wyhaftowałam... Za to dał mi pantofle...

— Aha! Dwie pary pantofli za haft?... Ach, ty lafiryndo!

Churdzicz chwycił córkę za ramię; wykręcił je tak, że musiała się pochylić. Przytrzymał. Zdjął pas od spodni i podniósłszy córecę z tyłu sukienkę, zaczął bić. Rzemień świstał w powietrzu, razy były silne, lecz Pawka nie krzyczała. Z oczu jej leciały łzy, zaciskała zęby, lecz nie krzyczała.

— Co grzeszy, w to będę bił! — powtarzał Churdzicz śmigając rzemieniem.

W pewnej chwili Churdzicz poczuł, że w udo mu wgryzły się zęby Paulinki. Puścił córkę i stał zdumiony pośrodku pokoju.

— A, to ty taka! Teraz idź precz! Ale pamiętaj: ja ci muchy z nosa wypędzę!

Tomasz Churdzicz postanowił śledzić córkę. Ponieważ samemu trudno było to zrobić, chciał polecić to Stasi. Lecz po namyśle odrzucił ten projekt. „Też tyłkiem już kręci. Mogą się zwąchać... Chyba Julek będzie lepszy”.

Nazajutrz, gdy Churdzicz ganiał gołębie, wymachując w powietrzu długą tyką z umocowaną na jej końcu szmatą, Julek wyslizgnał się na dwór. Tomasz go dostrzegł. Syn chciał się cofnąć, lecz ojciec skinął na niego ręką. Julek ze strachem się zbliżył do ojca. Churdzicz po raz pierwszy w życiu położył twardą dłoń synowi na głowie i rzekł:

— Ty mi pilnuj Pawki... Rozumiesz... Z kim się spotyka? gdzie chodzi? co robi?... Kupię ci nową czapkę!... Rozumiesz?... A jak nie dopilnujesz: skórę zedrę!... Co zobaczysz, to mnie musisz mówić...

Julek zrozumiał ojca i od tego czasu wszędzie ścigało Pawkę uważne spojrzenie chłopca. Był życiowo wyrobiony i sprytny, jak dzieci przedmieść, więc umiał niepostrzeżenie śledzić Pawkę.

Nazajutrz, po otrzymanym od ojca przepierunku, Pawka po obiedzie wyruszyła z domu. Poszła do Balów dowiedzieć się o adres mieszkania Barana. Zamierzała odnieść mu pantofle. Ani Lidia, ani Władek, ani Kurta nie wiedzieli, gdzie mieszka Baran. Paulinka zaznaczyła, że sprawa bardzo

ważna i chce go widzieć jak najprędzej. Wówczas Wladek przypomniał sobie, że widział Barana idącego razem ze Stasiem Dorożkarzem. „Może on zna adres szewca?”. Paulinka uprosiła Władka, aby poszedł do Stasia. Ten chętnie to zrobił i w godzinę później Pawka poszła w kierunku Złotej Górki, uważnie oglądając po prawej stronie ulicy Zacharzewskiej wszystkie domy... Za nią, po przeciwnej stronie ulicy, szedł Julek. Chytry chłopak cały czas sprytnie śledził siostrę i notował sobie w pamięci wszystko co robiła.

Pod 157 numerem Pawka dostrzegła szyld na zewnętrznych drzwiach mieszkania Barana. Przeczytała: „Zakład szewski Warszawianka”. Zbliżyła się do drzwi i zapukała. Nikt nie odpowiedział. Poruszyła klamkę. Drzwi były zamknięte. Wówczas Pawka poszła do domu. Była zadowolona. Przeczynała, że ma w swoim nowym wielbicielu dobrego obrońcę.

Wieczorem Julek zbliżył się do ojca, gdy tamten wyszedł na podwórze i zaczął szeptać:

— Tatusiu! Pawcia w dzień poszła do Balów. Siedziała tam przeszło godzinę. A Wladek chodził do Stasia Dorożkarza. Potem Wladek wrócił. Zaraz Pawka wyszła i poszła na Zacharzewską. Tam pod 157 numerem wstąpiła do szewca... Pukała do drzwi, ale nie było go w domu... Potem poszła z powrotem... Kupiła pestek i jadła... W domu poszła do kuchni, zagotowała wody i się wymyła... Potem cały czas leżała, czytała „Tajemnice Paryża” i jadła pestki...

— Hm... — zastanowił się Churdzicz. Potem łaskawie klepnął syna dłonią po plecach. — No dobrze. Pilnuj dalej! Będziesz miał nową zapkę.

Baran po prostu zdębiał, gdy na pukanie we drzwi i w odpowiedzi na „proszę”, do jego pracowni-mieszkania weszła Pawka. Policzki miała zarumienione. Była widocznie zdenerwowana i krępowała się trochę. W ręce miała owiniętą w papier paczkę.

— Dzień dobry — rzekła Pawka.

— Dzień dobry...

Baran porwał się z miejsca. Przysunął Pawce krzesło i z malującą się na twarzy radością prosił ją by usiadła. Pawcia ciekawie oglądała lokal Barana. Było tu schludnie, jasno i cicho. Baran dostrzegł to i rzekł:

— Na razie ja tak sobie... Po kawalersku... Potem dokupię czego brakuje.

— Ależ tu bardzo ładnie.

Rozmowa wciąż się urywała. Baran z nadmiaru radości, jaki sprawiła mu ta wizyta nie wiedział co mówi. Pawka zastanawiała się jak zabrać się do rzeczy. Zamierzała początkowo oddać Baranowi pantofelki. Potem pożałowała obuwia i postanowiła poprosić go o zatrzymanie pantofli u siebie, do czasu kiedy będzie mogła je zabrać. Wreszcie powiedziała mu to. Baran zdumiał się i widocznie był zasmucony:

— Nie podobają się pani?

— Och, nie! Jeszcze jak się podobają! — żywo zaprzeczyła Pawka.

— Więc dlaczego?...

— Bo... bo... Wie pan: tatuś... — nie dokończyła.

Baran uważnie spojrział jej w oczy... Poprzednio dostrzegł wyraźne sińce na jej lewym ramieniu w pobliżu łokcia... Zrozumiał wszystko... Nachmu-

rzył czoło i przez pewien czas milczał. Potem ujął jej dłoń i zaczął mówić:

— Niech pani będzie spokojna. Wszystko się załatwi. Ja sam pomówię z ojcem.

Pawka była zaskoczona tak szybką decyzją.

— Tatus mój jest srogi... Ludzie go się boją — rzekła jakby z obawą.

Zobaczyła, że na wargach Barana zjawił się uśmiech, a oczy się zmrużyły.

— Srogi?... mówi pani... To nic... Ja sobie poradzę z każdym...

A po chwili milczenia dodał:

...Bić pani na pewno nie będzie!

Błysnął dziwnie oczami. Pawka pomyślała: „Śmiały”.

Baran dowiedział się od Pawki, że w niedzielę (nazajutrz była niedziela) ojciec jej zwykle bywa w domu od 12-ej.

Wkrótce się pożegnali. Pantofelki Pawcia została u Barana.

Wieczorem Julek zdawał tatusiowi szczegółowy raport z zachowania się Pawki w ciągu dnia:

— ...Potem poszła do tego samego szewca, co i wczoraj... Była tam z pół godziny... Ja patrzyłem przez dziurkę od klucza... Siedzieli i gadali...

— Co gadali?

— Nie wiem. Złe słychać było i bałem się... Potem Pawka poszła do domu... Paczki już nie miała... Zostawiła ją u szewca...

Churdzicz łaskawie klepnął syna i kazał nie spuszczać Pawki z oka. Obiecał zachęcająco: „Albo nową czapkę będziesz miał, albo... skórę spuszczyć!”.

W niedzielę około godziny drugiej po południu do mieszkania Tomasza Churdzicza wstąpił Olek Baran. Był elegancko ubrany, dobrze ogolony, a na palcach lśniło mu kilka pierścieni. Churdzicz niepomiernie się zdziwił, gdy Baran, kładąc paczkę, którą miał w ręce, zwrócił się do niego grzecznie, spokojnie i jakby protekcjonalnie:

— Jeśli się nie mylę, to pan jest Tomasz Churdzicz.

— No tak... Więc cóż z tego?

— Z początku przedstawię się: Jestem Aleksander Baran... I jeśli pan pozwoli: usiądę.

Nie czekając na pozwolenie usiadł. Wyjął z kieszeni papierośnicę i zaproponował Churdziczowi papierosa. Wziął sam. Zapalił i rzekł dalej:

— Mam do pana, aż trzy sprawy: pierwsza...

Wypuścił smugę dymu i zrobił przerwę.

Churdzicz z zaciekawieniem patrzył na tego dziwnego gościa. Na dłoni czuł dotychczas przesadnie mocny uścisk ręki włamywacza. Ręka była mała jakby wypieszczona, lecz wyrobiona od młotka szewskiego, od młota w kuźni więziennej i z natury silna niezwykle. Może nie ustąpiłaby i żelaznej dłoni Tomasza Churdzicza. Wyczuł to.

— Więc jedna sprawa, to gołębie...

— Gołębie?

— Tak gołębie... Ale to później. A trzecia sprawa na ostatek. — Zacznę od psa.

— ...Wariat — pomyślał Churdzicz.

— Otóż mam ja rasowego pieska. W ogóle drogi, a dla mnie tysiące wart. Rasa dobra. Tak, na przykład, jak u gołębi turmany, albo bociany, albo winery... Rozumie pan?

— Uhum... — mruknął zainteresowany już Tomasz Churdzicz.

— Więc trzeba mi dla tego pieska zmajstrować budkę. Ale taką na fest! Wygodną i ładną. Można pomalować na zielono. I daszek nad włazem, żeby deszcz nie zalewał. Zapłacę ile pan chce. Mogę dać i gołąbków kilka: jakie panu się podobają: mam werfle, nefki, stramery, perłowe, garłacze, kapucyny, krymki, pawie, wyszwańce... Znajdą się i turczyny, i kasztany, i winery...

Churdzicz był oszołomiony. Pierwszy raz w życiu widział takiego pana. Ubrany jak hrabia; lśni złotem i srebrem; a o gołębiach gada tak jakby sam gołębiarzem był. I tak od razu go w ręce wziął.

— Budeczkę można by... — wycisnął z siebie Tomasz.

— Właśnie — rzekł Baran. — Lubię porządnych majstrów. Nie tych młodych partolów, a robiących po staremu. Na mur, na beton! Teraz zrobi paskuda taki stół, to on po izbie chodzi: każda noga inaczej postawiona, a za miesiąc się rozeschnie... Wiadomo: drzewo niewytrzymałe; więcej stara się na gwoździe wziąć... Co nie?

— Musowo tak... — rzekł już całkiem wypogodzony stolarz.

— Ja tego nie lubię. U mnie tak: — ciągnął dalej Baran. — Czy dla psa, czy dla gołębia, czy dla siebie robota musi być prima sort i ekstra kategoria! Mikołajewska! Ot co... Sam rzetelnie robię... Ot zobacz pan:

Baran wziął przyniesioną ze sobą paczkę i rozwinął ją. Wyjął z niej dwie pary pantofelków i ustawił je na stole. Churdzicz poznał pantofelki

Pawki i oczy wybałuszył. A Baran reklamował towar i robotę:

— Tu, panie, tandety nie ma. Towar zagraniczny; a robota: sam pan widzi... Dla pańskiej córeczki to zrobiłem... Odniosła mi... Pawnie czegoś niezadowolona... Dla mnie to przykro. Robiłem jak dla siebie. Ona mi koszulę wyhaftowała... Zobacz pan:

Baran zaprezentował Churdziczowi pracę Pawki.

— Ja się na tym znam — mówił Baran. — Ten haft zrobić, to trzeba tydzień siedzieć. A ja te pantofle w trzy dni wykułem... Nie powiem nic złego. Córkę ma pan złoto: i piękna, i ręce diamentowe, tylko nie wiem czym nie dogodziłem? Może uważa, że to za mało, to mógłbym jeszcze parę zrobić. Zapytaj pan córki...

— Pawka! — warknął Churdzicz.

Paulinka od początku z za przepierzenia przyśluchiwała się ze zdumieniem rozmowie Barana z ojcem. Gdy zawołano ją, wyszła wnet zarumieniona ze swego pokoju.

— Co tatuś chce?

— Przywitaj się z gościem!

Dziewczyna jeszcze więcej splonęła i niezgrabnie podała Olkowi rękę.

— Niech pani usiądzie — rzekł Baran z lekka się uśmiechając i robiąc do Pawki porozumiewawczo „oko”.

— Co ci się nie podobało — spytał Churdzicz córki — że odniosłaś pantofle? Gadaj...

— Podobało się wszystko... Ale myślę, że to za wiele za mój haft... No i tatuś też...

— Głupia... Co tam tatuś... Dano tobie za rze-

telną pracę, to bierz... Te! fochy robi!... Bierz i wynoś się stąd... Pilnuj obiadu...

Baran i Churdzicz zatopili się w rozmowie. Staremu coraz więcej język się rozwiązywał i coraz życzliwiej spoglądał na dziwnego gościa. Co chwila sypały się nazwy ras gołębi: a kasztany panie! a spencery! a wienki! a duple! a wejfry, a perłowe! a mikołajewskie! a jasne wyszwańce! Omawiano ze znanstwem wady i zalety gołębi. Opowiadano różne ciekawe historie z życia gołębi i ich hodowców. Wreszcie Churdzicz tak się rozkrochmalił, że zaprosił Barana na obiad. Baran się zgodził pod warunkiem, że funduje wódkę. Dał Julkowi pieniądze i chłopak wnet przyniósł dwie butelki.

Churdzicz rzadko pijał, więc po pierwszej flaszcze w głowie mu zakołowało. Coraz życzliwiej spoglądał na swego kompana, a gdy w pewnej chwili Baran podnosząc kieliszek rzekł:

— Wasze zdrowie, teściu!

Churdzicz nie dziwiąc się wcale odpowiedział:

— Na zdrowie, zięciu!

I tak poszło dalej, aż wypróżniono i drugą flaszkę. Pod wieczór Baran powiedział Churdziczowi, że chce pójść z Pawką do kina. Churdzicz nie oponował temu. Przeciwnie; zaraz zawołał Pawkę i rzekł:

— Pójdiesz z tym panem do kina! Jasne? I podziękuj mu, że chce ciebie za żonę wziąć. Rozumiesz?

Pawka uszom swoim nie wierzyła. Ani się ucieszyła, ani się zasmuciła. Sama nie wiedziała czy to dobrze, czy źle... Baran imponował jej swoją powagą, sprytem, który zdołała dostrzec i... bogac-

twem. Lecz żadnych gorętszych uczuć dotychczas dla niego nie miała. Owszem kilkakrotnie myślała o pójściu za mąż, jako o wyzwoleniu się spod tyranii ojca, lecz dotychczas nie nadarzały się ku temu sposobności. A teraz słowa ojca o zamążpójściu przebrzmiały dla niej dziwnie obco, jakby nie jej się tyczyły.

Baran, prowadząc Paulinkę pod ramię, szedł z nią w śródmieście. Wieczór już zapadł. Baran dostrzegł, że dziewczyna jest zamyślona i roztrągniona. W pewnej chwili rzekł do niej:

— Może pani się martwi tym, co ojciec powiedział. Proszę być spokojną... To ja dla dobra pani... Jeśli pani nie zechce wyjść za mnie za mąż, to nie będę tego żądał... Pani mi sama to powie... Ja chciałem tylko panią ochronić... Teraz proszę o tym wcale nie myśleć...

Pawka z wdzięcznością spojrzała na Olka i się uśmiechnęła:

— To my jesteśmy teraz niby narzeczeństwo?

— Jak pani uważa... Najlepiej: niech pani się namyśli i powie mi kiedyś... Ja to zrobiłem dla pani; ja to potrafię i odrobić...

Pawka ze zdumieniem i szacunkiem przyjęła te słowa Olka. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła człowieka, który by tak swobodnie i śmiało obcował z jej ojcem, i w jakiś dziwny sposób zmuszał go do robienia tego co sam chciał.

W pobliżu kina Pawka spostrzegła idącego za nimi Julka.

— A ty czego tu? — zwróciła się do brata.

Julek się początkowo skonsternował, ale wnet oprzytomniał i rzekł:

— Ja też chcę do kina.

— Idź mi zaraz do domu!

Wówczas Baran rzekł łagodnie:

— A niech się zabawi chłopaczyna.

Dał mu pieniądze na bilet.

Pawka bardzo lubiła filmy awanturnicze, z życia kowbojów, detektywów, aferzystów. Więc, gdy Baran zapytał ją do jakiego kina chce iść, powiedziała, że do „Lux’u”. Tam zwykle szły filmy o podobnych motywach. Rzeczywiście i dzisiaj wyświetlano tam film z życia włamywacza, który dokonywał efektownych kradzieży, w którym kochała się jakaś bogata hrabianka, który dostał się wreszcie za kraty, lecz hrabianka, używając swych wpływów i ofiarując masę pieniędzy, wydostała go na wolność. Włamywacz z wdzięczności ochronił kasę ojca hrabianki od zamachu innych włamywaczy, za co otrzymał od rodziców rękę córki a na dodatek i samą kasę. Ślub. Uczta. Gorący pocałunek. Koniec.

Pawka aż mdlała z emocji, podziwiając śmiałe wyczyny złodzieja. W najdramatyczniejszych chwilach tuliła się do Olka, przejęta strachem i wzruszeniem.

Boi się pan złodziei? — w pewnej chwili szepnęła mu na ucho.

Baran odchrząknął.

— Nie... bardzo... A pani?

— Ogromnie się boję.

Wracali do domu dość późno. Julek włókł się z tyłu, więc rozmawiali o rzeczach obojętnych. Baran pożegnał Pawkę na ganku ich mieszkania i poszedł do domu.

Nazajutrz Julek wybrał moment, gdy ojciec był sam i zaczął składać mu raport o zachowaniu się

Pawki w ciągu dnia wczorajszego. Churdzicz niezbyt uważnie słuchał syna.

— ...A w kinie to sobie siedzieli i patrzyli. Pawka siedziała z lewa, a szewc...

— Pan, nie szewc! — ostro przerwał synowi Tomasz.

— ...a pan z prawa... A potem, jak było ciemno, to pan położył Pawce rękę na kolano. Pewnie chciał... — Julek urwał i znacząco chichiknął tatusiowi.

Lecz skutek tej informacji był niespodziany. Julek poczuł, że ucho skrzyły mu żelazne palce ojca, a druga dłoń zaczęła obrabiać go poniżej pasa. Julek krzyczał, płakał, przysięgał, że „więcej nie będzie”, chociaż nie wiedział, o co ojcu poszło. Nic nie pomogło. Otrzymał pełną porcję.

Tak się skończyła misja wywiadowcza Julka. Nowa czapka odleciała gdzieś w krainę marzeń.

VII.

TRZECH MISTRZÓW I JEDNA MISTRZYNI JASIA NACEWICZA

Filip Żardoń był starym kawalerem. Kiedy go pytano: dlaczego się nie ożenił? odpowiadał poważnie: nie zdążyłem. To pierwsze. A drugie: nie znalazłem odpowiedniej kobiety. Kochałem się nieraz. I to jak jeszcze! Ale póki co do czego doszło, to i miłość diabli brali. Spojrzysz na kobietę od razu: obrazek! Życie bym oddał. Przyjrzyj się lepiej: nos nie bardzo tego. No i nogi lepsze mogłyby być. I tu feler i tam feler. Tymczasem inna się nawinie. To i myślę sobie: czym głupi, żeby całe życie w jeden pysk patrzeć. Wiadomo: ciastko smaczne. Ale zacząć ciebie samymi ciastkami karmić — za tydzień wyć będziesz: chleba dajcie! Najlepiej to u mahometanów, albo u innych Turków. Podoba się kobieta — dawaj ją tu! Inna się spodobała: proszę bardzo. A tu wsadzisz sobie babę na kark i ciągnij całe życie. Dookoła pełno kwiatów, a ty wciąż pokrzywę wachaj. Tak i zostałem w wolnym stanie... Obejdzie się... Nie ma durniów...

Żardoń na złotej Górcie był popularną postacią. Przezywano go Bocian Kopylski. Bocian — ze względu na wysoki wzrost i komiczną powagę, z jaką kroczył ulicami; Kopylski — od nazwy miasteczka Kopyl, gdzie wuj Jasia się urodził. Właśnie wuj Filip był pierwszym mistrzem Jasia, który zaczął uczyć go życia i wyklądać mu swą filozofię. Żardoń lubił gadać z Jasiem. Podobała mu się uwaga, z jaką chłopiec słuchał jego bajdurzeń. Ulubionymi tematami wuja obok fantastycznych sposobów łatwego z bogacenia się, np. z pomocą diabła, którego potem można oszukać—były kobiety. Wuj uważał za swój obowiązek pouczać chłopca w tej kwestii. Poza tym sprawiało mu to pewną przyjemność, bo wiedział, że chłopiec jest nieuświadomiony. Czasem się zapalał i zachodził za daleko. Wówczas przerywał i mówił znacząco: ot niedługo sam zobaczysz... Nie bądź wtedy durniem... Pamiętaj, co ci wujaszek Filip mówił.

Pewnego razu Jaś poszedł z wujem na Trojecką Górę na rynek. Wuj miał na sprzedaż pięć par butów z cholewami. Żardoń się znał — jako kamasznik — na tej branży i znajomości miał sporo wśród szewców i kamaszników, więc łatwo mu było o towar — tandetę naturalnie i o tanią robociznę. Najczęściej jednak Żardoń skupował stare buty, pantofle i trzewiki; odpowiednio je restaurował, a następnie sprzedawał, zarabiając często trzykrotnie.

Na targu Jaś — który wyuczył się targować i zachwalać nędzny towar — nosił obuwie w rękę. Gdy się znalazł amator, przeważnie chłop ze wsi, rozpoczynał się targ. Wówczas wuj zbliżał się do Jasia i mając resztę towaru w worku, też oglądał

obuwie, zależnie od sytuacji podnosząc cenę. W ten sposób sprzedali już sporo obuwia.

Teraz postąpili tak samo. Mieli szczególne szczęście i w godzinę czasu sprzedali cały towar, zarabiając sporą sumę pieniędzy. Wuj był w dobrym humorze i dał Jasiowi dziesiątą część zarobku. Było to w sobotę. Wuj zaproponował Jasiowi pójść wieczorem do łaźni. Lubił parówkę i chciał, aby Jaś pochłostał go brzoźową miotłką. Około godziny szóstej poszli do łaźni przy ul. Kreszczeńskiej. Żardoń miał tam znajomych i nie płacił za wstęp. Jasia też wprowadził darmo.

Jaś lubił kąpiel, lecz się brzydził otaczających go ludzi. Widząc masę gołych męskich ciał, przerażał się ich brzydota, a czasem i potwornością. Wstętni mu byli i bał się, aby nie chluśnięto na niego wody, która dotykała innego ciała. Nawet powietrze zdawało mu się zatrute od wyziewów. Sam był smukły, zgrabny, giętki, silny. Poruszał się z wdziękiem. Budowę miał harmonijną.

Parówka i dźwiękowo, i wzrokowo, mogłaby stanowić ilustrację do piekła... W kłębach gorącej pary, na oślizgłych brudnych deskach, biegnących jak schody pod sufit, jęczało kilkanaście czerwonych, ociekających potem i brudem torsów. Jaś zacięcie chłostał gorącą miotłką szare gnaty wuja który z mazochistyczną przyjemnością porykiwał:

— A-ta-ta-ta!... Jeszcze!... jeszcze... jeszcze...

Potem się zlewali lodowatą wodą. Były to doskonałe próby wytrzymałości serca i płuc. I dziwić się trzeba, że tak rzadkie są wypadki śmierci w podobnych świątyniach higieny.

Wreszcie Żardoń i Jaś, po dwugodzinnym pobycie w piekle, wyleźli do czyścica i tam długo wypo-

czywali. Wuj wyjął z kieszeni palta ćwiartkę wódki i dwie kanapki. Wypił trzy czwarte zawartości i zaproponował Jasiowi wypicie reszty. Chłopiec odmówił. Natomiast chętnie zjadł chleb ze słoniną.

Wyszli z łaźni dość późno. Gdy mijali bramę wjazdową, wuj nagle się zatrzymał, potem rzekł: — Chodź... Pokażę ci coś...

Poszedł w głąb ciemnego podwórka, które było z boków oświetlone mętnymi prostokątami okien. Niektóre były dość jasne, inne zapotniałe od wewnątrz i mgliste. Przeszli labiryntem z ogromnych sągów drzewa i znaleźli się w dalekim kącie podwórza, przy jednym z okien. Było dość wysoko. Wuj zdjął z sągów kilka bierwion i poukładał je na krzyż, tworząc małe rusztowanie. Gdy stanęli na nim, mogli wyraźnie widzieć dużą, oświetloną wewnątrz „letnią” salę kobiecego oddziału.

— Bądź cicho — rzekł wuj szeptem. — Patrz i nie gadaj.

Sala, którą Jaś oglądał była pierwszej klasy. Znajdowało się tam sporo ławek o marmurowych blatach. Lśniły mosiężne krany i miednice. Światło było dość jasne.

Jaś zobaczył kilkanaście myjących się kobiet. Pierwszy raz w życiu widział zupełnie nagie kobiety. Poczul, że serce mu to się zatrzymuje, to zaczyna walić, jak oszalałe. Tchu zabrakło. Wstydział się że podpatruje kobiety, a jednocześnie chciał oglądać je. Niektóre były bardzo brzydkie, lecz większość stanowiły młode i ładne. Zdawało mu się, że ogląda istoty z innego świata, niesłychanie piękne, niemożliwe do odtworzenia w najśmielszej nawet wyobraźni. Spostrzegł, że kobiety mają ruchy piękniejsze niż mężczyźni. Szczególnie uwagę

jego przykuła do siebie wysoka, dość tęga, pewnie już niemłoda, lecz wspaniale zbudowana blondynka. Lśniła mokrą skórą, wyprężały się sute piersi i okrągłe członki, ciało się wyginało, tworząc zawsze piękne, bez względu na ich drastyczność, pozy.

Jaś cały się zatopił w muzyce jej ruchów i drżał. Nagle poczuł wzrok kobiety na swej twarzy. Rzucił się w tył i zeskoczył z rusztowania. Wuj też zeskoczył w dół.

— Czego ty? — spytał cicho.

— Nic...

— Nie chcesz więcej patrzeć?

— Nie...

— Wuj ułożył na miejsce bierwiona i wyszli na ulicę.

— Tego w żadnym kabarecie nie zobaczysz — pouczał Jasia wuj. — Jakie pieniądze ludzie płacą, aby gołą babską nogę zobaczyć! A tu masz wszystko jak na talerzu? Tu żadna niczego nie podszachruje. Jaka jest, taką masz.

Wuj pod wrażeniem niedawno widzianej sceny długo opowiadał Jasiowi o kobietach i pouczał go:

— Ty kobiecie nigdy nie wierz. Ona ci zawsze zełże. Kobieta jest i mięciutka i słodziutka, a najgorszy dla nas zwierz. Tak umie spętać i zdusić, że koniec. Nigdy z jej rąk się nie wydostaniesz!

Od pierwszego swego mistrza Jaś posłyszał wiele bujdy i bajań, i wiele fantastycznych opowieści, a nauczył się tylko handlować. Przydawało mu się to bardzo. Często wychodził na Niżni Rynek i tam cierpliwie wyczekiwał, póki się nie nadarzy naprawdę tanio jakaś dobra rzecz, którą potem, po oczyszczeniu lub wyremontowaniu sprzedawał o wiele drożej. Zdarzało mu się nawet na tym samym rynku w tymże dniu kupować i sprzedawać

z dużym zyskiem różne rzeczy. Jaś miał już w zapasie trochę pieniędzy, których nie wydawał, zostawiając na handel. Z większych zarobków oddawał prawie wszystko matce i od czasu do czasu cokolwiek siostrze. Sam palił najgorszy tytoń i wciąż marzył o większych zyskach. W projekty wuja nie wierzył. Przekonał się wielokrotnie, że są tylko fantazją starego dziwaka, którego jednak lubił za dobre serce, oryginalny charakter i życzliwość dla ich rodziny.

Drugim mistrzem Jasia był jego sąsiad z dziedzińca, odnajmujący w tym samym domku, gdzie było mieszkanie sióstr Pożarskich, drugie mniejsze mieszkanko, składające się z jednego pokoju i kuchni. Był to monter ze stacji telefonicznej, Wiktor Umieński. Monter był ciężki, średniego wzrostu. Wyglądał dość oryginalnie: włosy zawsze ostrzyżone przy skórze; twarz szara, pełna wągrów i śladów po ospie; spojrzenie mętne, ciężkie; ruchy bardzo powolne.

Umieński miał dwa zamiłowania: muzykę i ślusarkę. Mieszkanko jego było pełne różnych odpadków metalu i drutów. Poza tym był tam cały warsztat mechaniczny, łącznie z tokarnią. A na ścianie, w pobliżu łóżka, wisiała gitara i dwie mandoliny. Umieński w wolnym czasie, albo coś majstrował, albo grał na mandolinie czy gitarze. Grał słabo, chociaż słuch miał dobry. Przeszkadzały mu krótkie, zawsze pokaleczone palce.

Gdy Umieński wprowadził się pod nr 157, jako sąsiad sióstr Pożarskich, to panny z początku protestowały, gdy rozpoczął swe koncerty. Po pro-

stu waliły pięściami w ścianę. Monter poszedł do nich i zapytał, o co im idzie?

— Prosimy nie grać... My jesteśmy chore na nerwy i tego nie lubimy.

— Z nerwami trzeba do szpitala — rzekł dobitnie Umieński. — A w ścianę proszę mi nie pukać!...

Wrócił do siebie i znów się zabrał do gitary. Wówczas zabębniły w ścianę już nie jedna, a trzy pary pięści... Muzyka Pożarskim nie przeszkadzała. Zresztą dźwięki gitary ledwo docierały do ich uszu, lecz panny miały rdzawy charakter i lubiły robić wszystko co tylko mogły, aby utrudnić i obrzydzić sąsiadom życie, mimo, że same źle na tym wychodziły... Monter, gdy się rozpoczęło bombardowanie, wziął wiadro wody i udał się z ponowną wizytą do Pożarskich. Kobiety zajęte młócką w ścianę, nie dostrzegły jego wejścia. Umieński szeroko chlusnął wodę z wiadra na histerycznie walące pięściami w ścianę kobiety. Pożarskie wrzasnęły i obróciły się ku drzwiom. Umieński zimno, spokojnie na nie patrzył.

— Jeżeli mało... jeszcze przyniosę — rzekł, jakby w zadumie, stojąc wciąż u progu.

Panny nie pisnęły ani słówka. Monter wyszedł i odtąd grał bez przeszkód.

Gdy Jaś miał wolny czas, chętnie odwiedzał sąsiada, a tamten życzliwie go przyjmował. Jaś zaczął się uczyć grać na mandolinie i w pół roku — mając dużo wolnego czasu — grał już lepiej od swego mistrza. Teraz często grywali we dwóch. Jaś na mandolinie, a monter akompaniował mu na gitarze. Jaś miał dobrą pamięć do melodii, więc

wzbogacał ich repertuar rzeczami, które gdzieś posłyszał.

Gdy Jaś zaczął targować na rynku, monter zaproponował mu sprzedawanie zapalniczek. Zrobił mu kilka na próbę. Zapalniczki poszły. Od tego czasu drugi mistrz Jasia dzielił wolny od pracy czas na wyrób zapalniczek i na muzykę. Obaj byli z siebie zadowoleni. Jasia dziwiło trochę, że monter jest tak dziwnie samotny i że nigdy nie opowie o swych znajomych, lub krewnych, lecz nie wypytywał go o to.

Od czasu do czasu monter wracał do domu pijany. Zdarzało się to raz na dwa lub trzy tygodnie. Wówczas nie czekał przyjścia Jasia, a sam szedł go szukać. Wołał do siebie i urządzał przyjęcie. Jaś pił wódkę niechętnie, bez smaku. Umieński wnet to spostrzegł i rzekł:

— Ty się nie zmuszaj pić. Ja czasem chleję. Takie już życie paskudne. Wódka dla jednego może być lekarstwem, a dla drugiego trucizną. To jak kiedy. Ty, ot, wypij trochę, dla wesołości.

Więc Jaś mniej pił, a więcej jadł. Monterowi, gdy dobrze podpił, rozwiązywał się język i wtedy mówił dużo o nieznanym Jasiowi zagadnieniach. Nazywał go wtedy dość często towarzyszem, co Jasiowi wydawało się dziwne, a nawet komiczne. ze względu na różnicę wieku, która stanowiła przeszło 20 lat.

— Musi być Trybunał Sprawiedliwych — wygłaszał monter Jasiowi — żeby ludzi za mordę trzymać, żeby burzuj nie mógł autami jeździć i za granicą się rozbijać, wtedy, gdy ten co na niego pracuje z głodu zdycha. Ot ty, na przykład, mógłbyś się uczyć, zrobiłbyś się inżynierem, albo in-

nym uczonym. A nie możesz. Dlaczego? — rąbał Umieński kantem dłoni po stole. — Bo nie ma za co. A dlaczego nie ma za co? Bo to, co tobie na naukę potrzebne, jakiś tam drań przepił, przehułał, piąty dom sobie zbudował, albo w banku zamurował. Ni sam, ni tam, nikomu nie dam! Ot jaka w tym fizyka!

I powoli w mózg Jasia — bez większego zresztą skutku — sączyły się mętne, demagogiczne frazesy. Monter mówił raczej dla siebie, niż dla niego. Lecz Jaś zaczął się przyzwyczajać do nowych terminów i pojęć. Dowiedział się, że istnieje walka klasowa, wyzysk, burżuazja, proletariat. Nie go to jednak nie obchodziło, ani nie interesowało. Umieński nadal był dla niego starszym kolegą, a nie nedorzecznym demagogiem, który wykładał mu chatoyczne wiadomości o stosunkach społecznych i ekonomicznych.

Trzecim mistrzem jego stał się Olek Baran. Ten najwięcej imponował Jasiowi. Nie puszczał dymów, jak wuj i nie pouczał go o sprawach erotycznych; nie gadał też niezrozumiałych rzeczy o socjaliźmie i o komunizmie. Baran, mówiąc z Jasiem, zawsze wyraźnie określał sprawę. Był mało mówny, stanowczy; patrzył inteligentnie, przenikliwie. Łatwo go było pojąć i sam w mig rozumiał o co Jasiowi chodzi.

Pewnego razu Baran zawołał do siebie Jasia i spytał, czy ma wolny czas. Gdy Jaś powiedział, że na razie nie ma nic do roboty, Baran posadził go przy oknie, obok warsztatu szewskiego i poprosił, by mu przeczytał gazetę. Jaś spytał szewca czy nie umie czytać sam?

— Czytam słabo — rzekł Baran.

Jaś prędko przeczytał całą gazetę. Felieton Wowy Krucikowa, „Policja i złodzieje”, na prośbę Barana Jaś przeczytał dwa razy.

— Ależ on ich podkuł! — powiedział Baran.

— Kto ... Złodzieje?... nie zrozumiał szewca Jaś.

— Nie... Tamten Wowa... Ostro rysuje...

— Tak.

W trakcie czytania gazety Baran robił jakąś parę obuwia. Od tego czasu Jaś dość często, gdy słyszał, że lokator jest za przepierzeniem, pukał do drzwi i proponował przeczytanie mu gazety. Pewnego razu wszedł do niego z książką i przeczytał mu kilka nowelek Czechowa. Olkowi bardzo się to podobało i sam od czasu do czasu prosił, aby chłopiec mu czytał. Jaś robił to chętnie. Z biegiem czasu Baran zaproponował zreperowanie obuwia dla Jasia i dla jego rodziny. Chłopiec bardzo się krępował, lecz Baran go ośmielił.

— Ty się nie bycz! Ja ci z serca chcę pomóc. Mnie to mało kosztuje.

Baran wyreperował Nacewiczom 5 par obuwia, i w trakcie pracy dał Jasiowi przyszyć łątkę. Pouczył, jak to się robi. Jaś wykonał pierwszą robotę szewską dość dobrze. Wtedy Baran kazał mu robić fleki na obcasy. Z początku robota mu nie szła. Złamał szydło. Ćwieki wyskakiwały mu ze skóry przy uderzeniu młotkiem, lecz potem było lepiej. A po kilku dniach Jaś już dość łatwo operował szydłem i młotkiem, wykonując lżejsze reperacje. Wtedy Baran zaczął uczyć go robienia dratwą i wplatania w nią szczeciny, co jest dość trudne... Niepostrzeżenie, dla siebie, Jaś przeszedł do reperacji obuwia na zamówienie. Baran dotych-

czas reperacji nie przyjmował. Wykonał tylko kilka par obuwia i to nie dla zarobku, lecz dla „oczu ludzkich”, aby było widać, że jest szewcem naprawdę. Teraz od czasu do czasu przyjmował łatwiejsze reperacje i dawał robotę Jasiowi, spokojnie i cierpliwie ucząc go, a gdzie było trzeba sam pracę wykańczał. Parę razy dał mu pieniądze, które otrzymał za pracę wykonaną całkowicie lub częściowo przez Jasia. Chłopiec protestował. Wtedy Baran rzekł stanowczo:

— Bierz i koniec! Będzie czas, to wyuczę cię na szewca! Jeśli chcesz tego. A teraz bierz! Ja wiem, co to bieda! Sam dużo wycierpiałem. Ze mną tych ceremonii nie trzeba.

I Jaś brał pieniądze za swą dyletancką pracę. Najczęściej działo się tak, że Jaś czytał Baranowi jakąś książkę lub gazetę, a Baran w tym czasie robił reperacje obuwia na korzyść Jasia.

Teraz rodzinie Nacewiczów powodziło się lepiej. Głód rzadziej zaglądał im w okna. Zarobki Jasia na rynku, łącznie z tym co zarabiał u Barana, wystarczały na pokrycie najpotrzebniejszych wydatków; przede wszystkim na jedzenie. Matka Jasia Bogu dziękowała, że dał im tak dobrego lokatora. „Cichy, spokojny, a jeszcze Jasia poducza pracy”. Obecnie chłopiec, który poprzednio nudził się i męczył świadomością, że nie może dopomóc rodzinie, był prawie szczęśliwy. Dzień miał wypełniony. Rynek, praca, nauka u Barana, muzyka u montera zajmowały mu sporo czasu i nie było kiedy się nudzić.

Baran też dużo zyskał na towarzystwie chłopca. Przede wszystkim była mu przyjemna świadomość że pomaga biednym „szpagatom”, którzy sami byli tak bezradni. Następnie lubił słuchać lektury Ja-

sia. Przejmowała go bardzo, chociaż zewnętrznie tego nie ujawniał. Poza tym obcowanie z Jasiem: uczenie go szewstwa, pogadanki z nim, łagodziły jego tęsknotę za Pawką, która wciąż wzrastała i bardzo go dręczyła. Baran uważnie słuchał tego, co mu chłopiec czytał lub opowiadał. Sam mówił mało i tylko w sprawach „aktualnych”, chociaż miał tyle ciekawych rzeczy w głowie, że mogłyby wiele tomów książek wypełnić niezwykłą treścią.

Pewnego razu Baran zapytał Jasia, czy może mu napisać list. Jaś chętnie się zgodził. Wówczas wspólnie ułożyli list do Pawki następującej treści:

Szanowna Pani Paulinko!

Bardzo się niepokoję, nie mając od Pani wiadomości. Serce mnie boli, gdy pomyślę, że może Pani stało się coś złego. Wówczas ja bym tego na pewno nie przeżył. We dnie i nocy myśl o Pani jest nieustannie ze mną i może Pani być pewna, że tylko śmierć może zmusić mnie bym przestał o Pani myśleć i Panią uwielbiać.

Chciałbym bardzo Panią widzieć, bo zżera mnie tęsknota za Jej obecnością. Jeśli to możliwe, to proszę w następną niedzielę o godz. 5-ej przyjść na ul. Zacharzewską — naprzeciw mego mieszkania. Będę niecierpliwie, z tęsknotą w sercu na Panią czekał.

Całuję śliczne rączki Pani i załączam wyrazy bezgranicznego uwielbienia. Zawsze wierny pani rycerz i niewolnik

Aleksander Baran.

Redaktorem tego listu był Jaś, który wysnuwał z pamięci pewne zdania, przeczytane kiedyś w po-

wieściach, a Baran posłusznie wszystko aprobował lubując się niezwykłym dla niego szykiem słów i górnolotnością wyrazów. Pomijając patos zdań, list ten nie był przesadą, lecz zupełnie ściśle określał obecny stan Olka i jego gorącą miłość dla dziewczyny. Nie było tam ani słowa kłamstwa, lub przesady.

Tak powstał pierwszy i ostatni w życiu list miłosny złodzieja Aleksandra Barana.

Olek poprosił Jasia by odniósł list na ulicę Slepiańską i postarał się niepostrzeżenie dla innych domowników wręczyć go Paulince. Objął mu, gdzie się znajduje dom Churdzicza i jak wygląda dziewczyna. Za pretekst odwiedzin chłopca miało być odebranie wykończonej już zapewne przez stolarza budki dla psa. Jaś chętnie się podjął tej misji i tak sprytnie się z niej wywiązał, że gdy po godzinie wrócił, niosąc sporą, na zielono pomalowaną budę dla psa, miał i kartkę z odpowiedzią Pawki. Wręczył ją mistrzowi. Olek wzruszony rozwinął ją i patrzył na nieznane mu ręczne pismo.

— Przeczytaj — wypowiedział, podając kartkę Jasiowi.

Jaś wyraźnie czytał:

Jestem zdrowa. Postaram się przyjść w niedzielę o 5-ej. Pozdrawiam Pana

Paulina Churdziczówna.

Baran był uszczęśliwiony. Mocno ścisnął dłoń Jasia. Od tego dnia trzeci mistrz Jasia, zaczął jeszcze zyczliwiej traktować swego ucznia.

Jedyną mistrzynią Jasia na razie była Maria Andrejewna Łobowa, którą mieszkańcy domków

pod numerem 157, nazywali krótko „Marusia”. Łobowa wynajmowała drugi koniec domu, od ulicy, w którym mieszkała rodzina Nacewiczów. Była najbliższą, bezpośrednią ich sąsiadką. Marusia miała przeszło 30 lat. Była wysoka, smukła i bardzo energiczna. Cechowała ją ogromna pewność siebie i śmiałość niezwykła. Przy zatargach z mieszkańcami innych domów, które parę razy się zdarzyły, zachowywała się tak dziwnie — stosując najdrastyczniejsze przekleństwa, a nawet zabierając się do bicia, że wszyscy na zawsze stracili chętkę do zaczepiania jej. Tylko między sobą plotkowali na jej temat. Plotki te Marusia, jeśli dochodziły jej uszu, zbywała pogardliwym uśmiechem, albo jakimś bardzo plastycznym rosyjskim zwrotem.

Łobowa ubierała się elegancko. Miała kilka ładnie uszytych sukienek, sporo luksusowych pantofelków, a wiosną paradowała przeważnie w czerwonym szalu na głowie, wyróżniając się tym wszędzie. Opowiadano, że mąż Łobowej był jakimś wybitnym komunistą w Orle. Że nie mógł wytrzymać z wściekłą żoneczką i że się rozeszli.

Marusia pracowała w bibliotece, jako kasjerka. Poza tym dawała kilka lekcji francuskiego. Mówiono o niej, że pochodziła z bardzo zamożnej kupieckiej rodziny w Moskwie, że stała się zapaloną komunistką i wydała rodziców, których rozstrzelano, a majątek skonfiskowano. W ogóle na jej temat plotkowano dużo. Do uszu Jasia również te plotki docierały, lecz nie sprawiały ujemnego wrażenia. Przeciwnie, nieznacznie obserwował sąsiadkę ze sporym zainteresowaniem.

Łobowa początkowo wcale nie zwracała uwagi na Jasia. Lecz od pewnego czasu, coraz uważniej

mu się przyglądała, często do niego przelotnie się uśmiechała. Nawet zaczynała rozmowy i przynosiła z biblioteki książki. Początkowo książki te były różnej treści, lecz później dominowały pornograficzne, których sporo było w prywatnej bibliotece, lecz mało komu były dostępne. Łobowa zrozumiała z krótkich rozmów, że chłopiec jest jeszcze nieuświadomiony i po trochu pracowała w tym kierunku, starając się podniecić jego wyobraźnię.

Aby wyjaśnić przyczynę zainteresowania się Marusi Jasiem cofnę się o parę tygodni. Jaś przypadkiem kupił na rynku książkę J. P. Mullera „Mój system — 15 minut dziennie dla zdrowia”. Z całym zapalem młodości zabrał się wykonywania ćwiczeń. Wykonywał dokładnie 8 numerów zasadniczych, potem mył się i oblewał cały wodą z miednicy, wycierał się i wykonywując resztę „programu” masował ciało. Gdy Jasiowi zabrano naróżny pokój, który zajął Baran, chłopiec musiał się postarać o inne miejsce do ćwiczeń. W mieszkaniu było niewygodnie i ciasno. Zresztą zalewał bardzo podłogę. Wobec tego znalazł zakątek między ścianą ich domu, a wysokim parkanem domu nr 159. Wyłaził tam przez okno swego malutkiego pokoiku i czuł się tu zupełnie swobodnie. Mógł odrabiać wszystkie ćwiczenia i kapać jak mu się podobało. Pewnego razu Marusia poniosła do swej szpiżarki, we wspólnych sieniach, mięso. Było tam małe okienko, wychodzące właśnie na obrane przez Jasia miejsce ćwiczeń. Marusia zobaczyła gimnastykującego się chłopca. Był zgrabny i ładnie zbudowany. Nie wyglądał na to wcale w ubraniu. Marusia przyglądała mu się do końca programu. Od tego czasu, obdarzona gorącym temperamentem kobieta, zaczęła powoli, lecz cierpliwie robić kroki ku

temu, aby się stać mistrzynią Jasia w sztuce miłosnej. Miała na to spore kwalifikacje i duże doświadczenie. Trzydzieści dwa lata życia nie minęły jej jałowo.

Wuj Jasia, prędzej niż chłopiec, spostrzegł i zrozumiał manewry Marusi. Gdy pewnego razu siedzieli na ławeczce, Marusia szła do miasta. Jaś wstał i ukłonił się jej. Marusia uśmiechnęła się i łaskawie skinęła mu głową. Wuj znacząco chrząknął i rzekł:

— Zobacz jak idzie, jak zadem kręci! Po prostu w gości zaprasza... Na byki jej się zebrało:

Jaś się zawstydził.

— Niech wuj da spokój! Jeszcze posłysz.

— A ja na nią gwizdę. Niech sobie słyszy. Wielka mi hrabina! I wuj zaczął przedrzeźniać Marusie, dość dobrze naśladowując jej głos: — Ach, ach, ja taka inteligentna, wykształcona, Muszę żyć w tej dziurze, z byle chamstwem...

Marusia w lot się zorientowała w ustosunkowaniu się do niej wuja Jasia i jego wpływach na chłopca, więc pewnego razu zawołała Filipa Żardonia do siebie i zaproponowała mu sprzedanie na rynku starych, zbędnych jej rzeczy. Było tego dużo. Żardon z początku niezbyt chętnie do tego się zabrał, lecz Marusia z każdej sprzedaży dawała mu sporo pieniędzy za pośrednictwo, a parę razy poczęstowała niezwykle smaczną nalewką. I tak wuj znalazł się w obozie Marusi. A pewnego razu zaczęli dość szczerze mówić o chłopcu. Marusia powiedziała, że chłopiec jej się podoba i że zamierza uczyć go bezpłatnie francuskiego: nie wiadomo co w życiu może się przydać. Wuj na to się uśmiechnął:

— Tak, tak... Musi go ktokolwiek pouczyć...

Czas już... Lepiej pani, niż jakaś tam głupia geś...

I wuj zaczął częściej mówić z Jasiem o Marusi. Teraz już nie kpiąc, ani nie przedrzeźniając kobiety.

— Zobacz jak idzie: nogami jak nożyczkami strzyże! Kobieta mówi ci: marcepan; wszyscy się oblizują. Ech, żeby mnie trochę latek z barku zrzucić, dobrałbym się do niej... Baba, rozumiesz, najlepsza po trzydziestce, bo — uniósł w górę, wskazujący palec — umie, to raz; a drugie: wuj zniżył głos do szeptu — sama się oblizuje. Rusz po skarboneę.

Lecz Jaś nie bardzo go rozumiał, albo udawał, że nie rozumie. Nadal brał książki od Marusi. Był dla niej grzeczny, miły, lecz wyglądało na to, że jej się boi, albo wstydzi. Tymczasem Marusia zaproponowała mu, że będzie bezpłatnie dawać mu lekcje francuskiego języka. Powiedziała że ma sporo wolnego czasu i że sprawi jej to tylko przyjemność. Jaś miał już początki francuskiego w gimnazjum, dokąd przestał chodzić ze względu na brak środków. Propozycję Marusi przyjął z wdzięcznością i pewnym skrępowaniem, lecz przypuszczał że może będzie mógł jej się wywdziękzyć.

W ten sposób Marusia Łobowa stała się mistrzynią Jasia. Oboje na razie byli z siebie zadowoleni. A wuj Żardoń tylko się uśmiechał, słuchając jak Jaś kuje francuskie słówka.

VIII.

NAJWIĘKSZA TAJEMNICA PAULINKI

Baran stał na rogu ul. Zacharzewskiej i Gubernatorskiej. Przyglądał się, jak jezdnią lała się szeroka, brudno - szara fala zbrojnych ludzi. Szli ciężko obładowani, zgrzytając o bruk podkutymi żelazem butami. Niektórzy w marszu opierali się o laski. Byli widocznie zmęczeni, lecz ciekawie oglądali miasto i zalegających chodniki ludzi.

Niemcy wstąpili do miasta. Wiosna 1918 roku była w pełni. Mieszkańcy ciekawie oglądali przybyszów i nie wiedzieli: czy się radować, czy smucić? Może zaprowadzą porządek i dadzą możliwość spokojnie żyć i pracować? A może zorganizują głód, wycięną podatkami, zaczną wywozić przymusowo do pracy na obczyźnie?

Baran na Niżnim Rynku kupił kłódkę do zewnętrznych drzwi pracowni. Znał się na tym dobrze i kłódkę wybrał cухaltową, mocną, niemożliwą do odemknięcia „szpilardem”, lub ścięcia nożycami do żelaza i bardzo trudną do złamania, lub skręcenia „szabrem”. Była to pierwsza kłódka, którą Baran kupił. Dotychczas tylko je otwierał lub łamał.

Od paru tygodni Baran pracował intensywnie nad wygodnym urządzeniem i upiększeniem mieszkania. Budował w marzeniach i na jawie gniazdko dla swej słodkiej, złotej Pawci, chociaż nie wiedział jeszcze, czy się ziszcą jego pragnienia, aby zamieszkała razem z nim.

Na ozdabianie mieszkania Baran zużył prawie wszystkie pieniądze, które otrzymał jako „dołę” z okradzenia „Policyjnej Kooperatywy”. Teraz wieczorami znów szedł na miasto w poszukiwaniu „roboty”. Wytrychy wsadzał za cholewę buta. Szaber miał za pasem, a latarka i szpilard do otwierania kłódek, były w kieszeni frencza. Lecz dobre „roboty” mu się nie trafiały, a byle czym nie chciał „rąk pechać”. Czasem odwiedzał truszczobę Cypy i tam umiarkowanie pił wódkę i naradzał się ze „swoimi chłopcami” w aktualnych złodziejskich sprawach... Przyjście Niemców, złodzieje, z fachowego punktu widzenia, przywitani radośnie. Każda zmiana dawała im wiele możliwości i przy tym najwięcej zarabiali. Tylko Kazik Morecki, który niedawno zbiegł z Wilna, gdzie okupacja niemiecka trwała od dawna, był niezadowolony i smutny.

W latach wojny, w czasie rewolucji i po rewolucji, Mińsk stał się złodziejską „ziemią obiecaną”... Kopalnią złota... Tu się koncentrowało życie przyfrontowe armii i administracji rosyjskiej, tu się przewalały z rąk do rąk różnych legalnych rekinów wojny ogromne sumy pieniędzy. Tu puszczano z wiatrem wielkie kapitały. Tu grali w karty, bawili się i pili, jadący na front i wracający z frontu oficerowie. Najwięcej zarabiali tu

„styrocznicy”*), lecz i złodzieje wszelkich specjalności również mieli szerokie pole do popisu. Więc Mińsk, wśród bractwa spod znaku szabra i wytrycha, zyskał sławę nie mniejszą niż Klondyke w północnej Ameryce... Do Mińska zjeżdżali się złodzieje z całej dawnej Rosji. Byli tu „fachowcy” z Odessy, Warszawy, Moskwy, Kijowa, Wilna, Petrogradu, Rostowa... Zjechało się tu również wiele szykownych prostytutek, aby umilać życie frontowym rycerzom i obdzierać ich, solidarnie z innymi niebieskimi ptaszkami, z gotówki.

Hazard karciany dominował nad wszystkim. Nie mieścił się w klubach, hotelach, prywatnych szulerniach. Wylewał się do kawiarni i restauracji. Okupywał poczekalnie dworca, place targowe. Nawet w Ogrodzie Gubernatorskim grano na ławkach i między drzewami. Nocami w wielu miejscach paliły się tu świece i przy ich nikłych płomieniach tajemnicze grupki ludzi „szukały szczęścia”, którego nie mogły znaleźć w życiu normalnym, ani w sobie. Te poszukiwania przeważnie kończyły się klęską, czasem strzałem rewolwerym lub ciosem noża. Hazard, pijaństwo i rozpusta szerzyły się coraz więcej. W miarę tego jak się darły i chwiały sztandary na froncie, powstawały coraz liczniej sztandary Bachusa, Hermesa i Venus.

W tym całym wirze złodzieje zawodowi orientowali się najlepiej. Byli panami siebie i umieli krytycznie i bezstronnie, jako bezpartyjni obywatele globu, oceniać ludzi i sytuacje. Robili to dowcip-

*) Szulerzy karciani.

nie, błaznując i kpiąc ze wszystkiego, a sprzyjające okoliczności wykorzystywali, aby żyć. Z ich to ust zabrzmiało nad Rosją „Jabluszek”: bat i satyra polityczna na rządzących się szpagatów, którzy ani swego, ani cudzego życia nie umieli uregulować. Którzy rzucali hasła i łamali je; wynosili idee i fałszowali idee; karali za zbrodnie i je szerzyli; nazywali własność kradzieżą a sami kradli. A jeśli niszczyli złodziejów, to z nienawiści do konkurentów i dla pysznienia się własną uczciwością. „Szpagaty” mogli oszukiwać wszystkich — nawet siebie, lecz nie tych konkwistadorów życia, którzy wszystko umieli oceniać i analizować przez pryzmat wieloletnich doświadczeń i obserwacji, przez cudownie pracującą intuicję.

Więc grzmiało nad Rosją i Polską „Jabluszek” i otwierało ludziom oczy na to, co się działo dookoła.

Na Ukrainie żyć wesoło:
Co dzień wojna tam — chodzą goło!
Ukraina chleborodna
Niemcom wszystko oddała — sama głodna!
Lenin Trockiemu powiedział:
My już po obiedzie.
Kupmy szkapę karą
Na obiad proletarom...

Baran w domu umocował na drzwiach solidną kłódkę i wypróbował zamknięcia. Miał sporo wartościowych rzeczy w swym gniazdku i wiedział — jako fachowiec — że okraść go było łatwo. Miejsce dogodne. Nie obawiał się firmowych złodziejów, bo ci na byle co się nie rzucają, lecz wiedział, że

„szamtrapa” *) i frajerstwo chętnie gwizdną byle co, jeśli to można uczynić łatwo i bezkarnie. Dla fachowego złodzieja kłódka nie stanowi utrudnienia w „robocie”, przeciwnie: orientuje go. Frajerowi kłódka imponuje i przypomina o istnieniu praw karnych ludzkich i... co jest mniej dla nich straszne... przykazań boskich.

Obok drzwi — tuż przy ganeczku — stała budka Miłego. Pies uważnie obserwował pracę Barana, podnosząc na zmianę to lewe, to prawe ucho.

Churdzicz się postarał i budkę dla psa zrobił wspaniałą. Była mocna, ciepła, wygodna, obszerna. Miała nawet podłogę i daszek nad wjazdem, aby deszcz zaciągając z przodu nie dostawał się do środka. Z zewnątrz budka była pomalowana zieloną, olejną farbą. Po przyniesieniu budki przez Jasia, Baran zabrał Miłego od Władka i umieścił go uroczyście w nowym locum. Kupił dla niego spory garnek do gotowania jedzenia i dwie miski; na wodę i do jadła.

— Będiesz żył u mnie, jak w pałacu — mówił Baran do Miłego, wyściełając mu obficie wnętrze budki sianem, którego sporą ilość przyniósł mu Władek Zając.

Baran umówił się z matką Jasia, że będzie gotowała dla psa jedzenie. Określili, w przybliżeniu, ile czego potrzebuje i Baran dał jej pieniądze. Od tego czasu Naciewiczowa miała jeszcze jednego „stolownika”, a Jaś i Helka chętnie doglądali psa, nosząc mu jedzenie i zmieniając wodę. Nie zaskarbili sobie tym jego względów. Pies był zawsze zły i nieufny. Szczyrzył zęby i warczał, gdy ktokolwiek się

*) Szumowiny z przedmieść.

zbliżał ku niemu. Wszystkich uważał za wrogów. Tolerował jedynie Barana, który śmiało go brał na ręce i pieścił, nie zwracając uwagi na to, że Miły głucho warczał, tulił uszy i cofał się w kąt. Baran teraz często wyciągał Miłego z budy, przynosił do mieszkania i sadowił na podłodze. Zwykle dawał mu tam kawałek kielbasy lub chleba i gadał z nim... jak z człowiekiem... Tematem jego „rozmów” była przeważnie Churdziczówna...

— Ty, zaczekaj — mówił Baran do psa — ot zamieszka u nas Pawcia, to będzie ci dobrze... Będziesz miał swoją panią... I to jaką! Tylko ty świnia jesteś: ugryzłeś ją... Nie rób tego więcej, bo dostaniesz w skórę... Pawcia jest dobra... Ma złote serce... Ja ją lubię za to i ty musisz lubić...

Miły słuchał uważnie swego pana, lecz radości z powodu mającego nastąpić przybycia Paulinki nie okazywał. Naturalnie jeśli rozumiał treść słów Barana — co jest zupełnie możliwe, o ile wziąć pod uwagę, że ludzie, mądrzy nawet, nieraz zupełnie nie rozumieją innych ludzi. Natomiast Barana, sama myśl, że Pawka może zamieszkać u niego, napełniała zachwytem i radością. Więc cieszył się za siebie i za Miłego.

Na rogu ulicy Zacharzewskiej i zaułka Slepiańskiego, od kilku lat mieścił się zakład fryzjerski. Nad jego drzwiami, u góry, wisiał szyld: „Anatol — Fryzjer męski. — Onże strzyże i goli owłosienie”. Zakład prosperował dobrze. Fryzjer miał liczną klientelę i powodziło mu się niezłe.

Anatol był marzycielem i lubił czytać. Każdą wolną chwilę poświęcał lekturze. Książki brał od

czasu do czasu w Bibliotece Miejskiej przy ul. Kreszczeńskiej. Zapytany przez bibliotekarkę co chce, odpowiadał niezmiennie: „Cokolwiek o hrabiach, albo o hrabinach”. Z biegiem czasu naładował się masą wiadomości z życia arystokracji i nawet styl mowy wyrobił sobie górnolotny, książkowy. A klientów nazywał po galicyjsku: panie hrabio! panie dziedzicu! - czym nieraz wprowadzał w zdumienie pospolitych mińskich mieszczuchów i drobnych rzemieślników, stanowiących gros jego klienteli. Nie uważano mu tego za złe. Przeciwnie, klienci lubili grzecznego fryzjera, który w czasie pracy wiele mówił o różnych zajściach, które się zdarzały przy dworach polskiej i zagranicznej magnaterii. Z tego względu uważano fryzjera za postać tajemniczą, za człowieka o wysokim wykształceniu i dobrym pochodzeniu, który przypadkowo chwycił się brzytwy, aby w życiu nie utonąć.

Toluś miał około 35 lat. Był szczupły, wysoki i źle rozwinięty fizycznie. Rączki miał wypieszczone, miękkie, jak dłonie dziecka. Czaszkę jego zdobiła spora łysina, którą trudno było ukryć zaczesując ze skroni w górę rzadkie jasne włosy. Cały wolny czas Toluś spędzał zimą przy żelaznym piecyku, a latem na ganeczku z książką w ręku. Ubrał się Toluś na wzór hrabiów, więc opis jego ubrania uważam za zbędny. Nadmienię tylko, że stroje jego były starannie przemyślaną syntezą strojów hrabiowskich z różnych książek.

Ten właśnie Toluś był ideałem i pierwszą miłością Pawki. Poznali się w taki sposób. Pawka co kilka dni chodziła z dzbankiem po mleko na ulicę Dołgobrodzką. Pewnego razu — wiosną 1917 roku — Pawcia wracała do domu, niosąc pełen dzba-

nek mleka. W pobliżu fryzjerni „Anatola” ucho dzbana (jak to się mówi w przysłowiu) „w porę się urwało”, łącznie ze sporą częścią dzbana. Pawcia stała bezradnie, patrząc to na rozlane mleko, to na mokrą sukienkę. Na pomoc jej pośpieszył, rezydujący na ganeczku fryzjerni, z książką w ręku, Anatol. Wprowadził dziewczynę do zakładu, oczyścił jej szczotką sukienkę i pożyczył inny dzban z własnego kawalerskiego inwentarza. Dał jej nawet pieniądze na mleko. W ten sposób Pawcia uniknęła awantury w domu, która niewątpliwie wynikłaby, gdyby ojciec się dowiedział, że stłukła dzbanek. Dziewczyna po porozumieniu się z matką zwróciła fryzjerowi pożyczone na mleko pieniądze i dzbanek, i odtąd poczuła dla niego wielką sympatię. Toluś uważał, że wypada mu na wzór hrabiego, o którym czytał w ostatnim romansie, zdobyć miłość Pawki. Zresztą sam miał w tym kierunku wiele doświadczeń. Poszło mu to dość łatwo. Z początku grzecznie witał się z nią, gdy przechodziła (coraz częściej) obok zakładu. Czasem rozmawiał z nią na temat pogody i księżyca. Wreszcie zaczął wyznaczać jej randki. Pierwsza randka odbyła się wieczorem na ulicy. Druga w zakładzie. A trzecia w pokoiku, przylegającym do fryzjerni. Po trzeciej randce Pawka stała się kobietą i kochanką Toluś.

Pawka pokochała fryzjera. Był taki inny od tych ludzi z którymi się spotykała. Tak ślicznie pachniał różnymi mydlami, pudrem i wodą kolońską. Tak pięknie się ubierał. A jakie miał manier!... Natomiast Toluś żadnych gorętszych uczuć dla niej nie miał. Co innego — żeby to była hrabina, albo hrabianka. A tak cóż w niej nadzwyczaj-

nego: zwykła sobie zdrowa, młoda, przystojna dziewczyna i tylko. Uważał nawet sobie za dyshonor, że się zadaje z kobietą z pospólstwa. Jednak romans ich trwał w dalszym ciągu. Tolusiowi Pawcia była wygodną kochanką. A dla Pawki Toluś był pierwszą miłością. Im silniej dotykała ją brutalność ojca i otoczenia, tym więcej przywiązywała się do Tolusia.

Paulinka zazdrośnie strzegła swej tajemnicy. Nikomu z niej się nie zwierzyła i była bardzo ostrożna. Więc romans jej z fryzjerem, trwający drugi rok, pozostał dla wszystkich tajemnicą. Pawcia od dawna marzyła o tym, żeby się stać żoną Tolusia i zamieszkać z nim razem. Pewnego razu powiedziała o tym fryzjerowi. Wówczas Toluś po raz pierwszy się zirytował, a nawet zbeształ ją, używając wcale nie hrabiowskich wyrazów. Pawcia odeszła zapłakana i fryzjer musiał sporo czasu i energii zużyć na to, żeby przekonać dziewczynę: że on jej „nie para”, że on może się ożenić jedynie z osobą z wyższego świata, bogatą, mówiącą po francusku, mającą rodowe dobra itd. Nawet oświadczył jej, że i to, że jest jego kochanką, musi uważać za wielkie szczęście. Pawcia zrozumiała misterne dowodzenia Tolusia, tak jak fryzjer tego chciał i całkiem spokorniała. Płakała czasem, rozpaczała, lecz nie było na to rady. W dalszym ciągu wykradała, się na randki do Tolusia, który ją traktował coraz zimniej, a nawet z pewną pogardą. Jednak korzystał nadal z jej miłości, bo to nie kosztowało i było wygodne.

Po zapoznaniu się z Baranem, Pawcia nadal odwiedzała Tolusia. Baran ją zaciekawił ze względu na domniemane bogactwo. Potem zaimponował

jej pewnością siebie, z jaką traktował jej ojca. Lecz, gdy dowiedziała się, że jest szewcem, zupełnie upadł w jej oczach. A gdy ojciec zaczął traktować Barana, jako przyszłego jej męża, Pawcia ogromnie się zmartwiła. Wykradła się z domu do fryzjera i opowiedziała mu o zamiarach ojca i o Baranie. Fryzjer wyśmiał jej przyszłego małżonka. Powiedział, że to dla niej najodpowiedniejsza partia. Jednak nie zerwał stosunków z dziewczyną i wyznaczał jej spotkania. A Pawka nadal była mu posłuszna.

Pewnego dnia po odesłaniu budki dla psa Baranowi, Churdzicz otrzymał od niego, przez Jasia, dwie pary gołębi. Były to czystej rasy winery i tureczyny. Baran kupił je od Ignasia Kulikowskiego blatnego, który znany był ze swego zamiłowania do gołębi. Baran wiedział czego brakuje Churdziczowi i sporo trudu i pieniędzy kosztowało go nabycie tych gołębi. Była to hojna zapłata Churdziczowi za pracę i niezawodny sposób na pozyskanie sobie ostatecznie jego sympatii. Udobruchany Churdzicz poszedł nazajutrz na rynek i kupił dla Pawki materiału na letnią sukienkę. Po powrocie poklepał łaskawie córkę po ramieniu i wręczył jej hojny dar.

— No masz!... Nie warta jesteś, ale uszyj sobie.

Materiał był w różowym kolorze i Pawci bardzo się podobał. Poszła zaraz do Lidii i obie długo kombinowały jakiego fasonu ma być sukienka. Naradzały się, sprzeczały, denerwowały. Wreszcie sukienka została wykończona. Udała się Lidia dobrze i Pawcia długo kręciła się przed lustrem, oglądając siebie ze wszystkich stron.

— „Ot, żeby Toluś zobaczył!” — myślała wielokrotnie.

I myśl ta doprowadziła Pawcię do katastrofy.

Pewnego wieczora, dość późno, Julek dostrzegł, że siostra, która wcześniej się położyła do łóżka i udawała śpiącą, wstała. Po cichu się ubrała i włożyła nową sukienkę, którą przygotowała z wieczora. Potem po cichu zbliżyła się do okna, odemknęła je i bez szmeru wylazła do ogrodu. Przymknęła okno i znikła.

Julek, rozmiłowany w przypadkowo narzuconej mu przez ojca roli szpicla, porwał się z posłania i także drogą podążył za siostrą. Nie zraziło go jednak doznane fiasko poprzedniej misji. Teraz działał już samodzielnie. Niespostrzeżenie odprowadził siostrę do fryzjerni i zobaczył, jak weszła tam nie przez frontowe wejście, a przez dziedziniec. Julek zbliżył się do okna, wychodzącego z pokoiku Tolusia na podwórze i posłyszał wewnątrz głosy siostry i fryzjera. Udało mu się nawet zobaczyć wnętrze pokoju. Fryzjer i siostra byli pewni, że nikt nie może ich zaobserwować, więc nie krępowali się wcale i nie zachowywali żadnych środków ostrożności. Skutkiem tego Julek stał się świadkiem wszystkiego, co się odbywało wewnątrz. Widowisko było dla niego tak niezwykle, że nie czekając na jego zakończenie co prędzej pobiegł do domu.

Churdziez siedział przy stole i czyścił munsztuk do papierosów. Gdy Julek wszedł po cichu do jego pokoju, ojciec obrzucił go piorunującym spojrzeniem.

— Czemu nie śpisz? — warknął Churdziez.

— Tatusiu! — piszczał, dygocąc ze strachu Ju-

lek — Pawcia uciekła... Ja widziałem... Teraz z fryzjerem na łóżku...

— Co?! — pociągnął Churdzicz, wstając z miejsca i idąc ku synowi.

Ten już chlpał i bełkotał:

— Ja nie, tatusiu... To Pawka, tatusiu...

Churdzicz z pogmatwanego bełkotu syna zrozumiał wreszcie wszystko. Wiedział, że syn nie kłamie. Zresztą przekonał się sam, że Pawki nie ma w łóżku. Wówczas rzekł do Julka:

— Będziesz miał nową czapkę. A teraz spać i ani słówka!

Julek co prędzej się wyniósł z pokoju ojca. Trochę jeszcze pochlipywał z przestachu, lecz i uśmiechał się przez łzy, myśląc o nowej czapce. Tymczasem Churdzicz wyszedł do sieni i zdjął z gwoźdźcia długi powróż. Wrócił do pokoju i położył go na stole. Potem zapalił papierosa i siedząc u stołu, oparty pięściami o kolana, czekał.

W kwadrans czasu po powrocie Julka okno w sąsiednim pokoju lekko skrzypnęło. Potem rozległy się tam szmery.

— Pawka! — rzucił Churdzicz twardo.

Dziewczyna struchlała i nie ruszyła się z miejsca.

— Pawka! — ryknął Tomasz.

Lekka, perkalowa zasłona w drzwiach pokoju córki odchyliła się i ukazała się Paulina. Miała na twarzy wypieki. Była w różowej sukience. Trwożnie patrzyła w twarz ojca. Widziała nadchodzącą burzę.

— Gdzie byłaś? — wycharczał Churdzicz.

— Na... na ulicy... — wytechnęła Paulinka.

— Mów prawdę — ponuro warknął ojciec.

— Co tatuś chce — powiedziała Paulinka.

— Co chcę? — huknął Tomasz. — Ot co chcę!

Chwycił Pawkę za ramię, wykręcił je tak, że musiała ukłęknać, a potem zaczął bić złożonym podwójnie powrozem. Ciosy spadały silne. Churdzicz w zapamiętaniu na nic nie zwracał uwagi. Podniecał się coraz więcej i bił wściekle. Pawka zaczęła wyć i zachleptywać się łkaniem. Do pokoju wbiegła żona Churdzicza. Była tylko w nocnej koszuli. Na twarzy jej malowało się przerażenie.

— Tomaszu, co robisz! — wrzasnęła kobieta.

— Milcz, bo i ty, dostaniesz!

— Bój się Boga! Tomaszu! — rzuciła się ku niemu żona.

— Będę bił!... Zabiję!... Puszczala się ścierwo!... A ty taka sama jak córka!... — charczał Tomasz.

— Co ty mówisz?... Opamiętaj się! kiedy?

— A ze mną nie puszczałaś się przed ślubem? Co? — grzmiał Churdzicz.

W tej chwili Pawka spróbowała jak kiedyś ugryźć ojca. Churdzicz zdzielił ją powrozem przez twarz, na której zaraz ukazała się czarna pręga.

— Skórę spuszcze, a kości wyłuszcze! — zapalał się ojciec.

Zdarzyło się, że koniec powroza dotknął lampy. Zmiotł ją stołu. Rozległ się brzęk szkła i pokój zaległa ciemność. Churdzicz znieruchomiał. Skorzystała z tego Pawka i skupiając wszystkie siły wyslizgnęła się ojcowi z rąk. Churdzicz rzucił się za nią, rycząc: — zabiję! Wyrznął lewą stroną twarzy w kant niewidzialnych w ciemności drzwi i stęknawszy runął w tył na podłogę. W pokoju Pawki trzasnęła szarpnięta gwałtownie rama. Do ogrodu

posypało się szkło z szyb. Pawka wyskoczyła oknem i pobiegła w głąb nocy.

Baran wrócił do domu późno. Był pijany. Trafiła mu się dobra robota. Wyrobił ją prędko, czyżto, a szmokty od razu opylił paserowi. Razem wypili za fart. Golnęli potężnie, tak, że paser długo bez sensu coś mamrotał, wreszcie zjechał z krzesła pod stół. Baran, który miał mocną głowę i mógł pić bardzo dużo, wywindował pasera spod stołu i rzucał w ubraniu i trzewikach na łóżko. Sam poszedł do domu. Nawet się nie zataczał, tylko szedł zbyt szybkim i energicznym krokiem. Idąc wciąż się uśmiechał — do Pawki — coś szeptał. A na moście przez Świsłocz stanął i długo patrzył w dół. Zdało mu się, że most z nim pędzi rzeką gdzieś w dal — w krainę szczęścia. Wreszcie zaczął deklamować czterowiersz, poszarpane słowa, które ułożyły się w końcu w zwartą całość:

Pawka, Pawka, Paulinka!

Ukochana dziewczynka!

Pawo, Pawciu, czy wiesz o tym:

Jak ja ciebie kocham!

Ułożył ten wierszyk, chociaż ani jednego wiersza w swym życiu nie przeczytał. Sam dla siebie stał się wynalazcą rymów i rytmu. Niedoleźnie. Ale czegoż można wymagać od człowieka, który szabrem sobie drogę przez życie torował, a wiersza swego nawet zapisać, aby go utrwalić, nie umiał... Lecz miłość, wbrew wszystkiemu, szukała form w jakie mogłaby się przelać.

Poszedł dalej. Kołysało go szczęście. Wciąż szeptał swój wiersz i wciąż się uśmiechał.

W pracowni, nie zdejmując frencza Baran usiadł na krześle pośrodku pokoju i zsunawszy czapkę w tył głowy, długo siedział w milczeniu, i łapał buszujące w głowie niesforne myśli i marzenia. Wtem klamka u drzwi cicho się poruszyła. Potem naciśnięto ją mocniej. Drzwi się otwarły i w progu stała Paulinka. Baran w pierwszej chwili nie poznał jej. Dziewczyna była w podartej w kilku miejscach różowej sukience. Włosy miała w nieładzie. Twarz jej przecinała szeroka czarna pręga od uderzenia powrozem. Stała w drzwiach ciężko dysząc, a po twarzy jej ściekały łzy.

Baran powoli podniósł się z miejsca:

— Paulinka! — rzekł cicho.

Dziewczyna nie odezwała się. Zakryła twarz dłońmi i zaczęła cicho szlochać.

— Paulinko!

Baran zbliżył się do dziewczyny i ostrożnie dotknął jej ramienia.

— Co ci jest? Powiedz!

— Ojciec... bił... uciekłam... Wykrztusiła z siebie dziewczyna.

Baran poczuł ból w sercu. Zrobiło mu się gorąco. Dłonie zacisnęły się w pięści. Lecz po chwili opanował się i zakrzętał po pokoju.

Po kilkunastu minutach Pawcia leżała w łóżku Barana. Na twarzy miała zimny okład. Baran siedział obok łóżka i trzymał jej dłoń w obu rękach. O nic nie wypytywał, tylko z żalem i bólem patrzył na kochaną kobietę. Niedługo potem Paulinka usnęła. Czują się bezpieczna pod opieką tego szewca, który — wyczuła to dawno — „na amen” w niej się zadurzył”.

Ranek zastał Paulinkę śpiącą mocno i spokojnie. Baran też spał na małym dywaniku z zaję-

czych skórek, leżącym na podłodze tuż przy łóżku. Przez sen coś mówił. Zawsze spał niespokojnie i bał się tego, że może się wygadać z rzeczy, o których nie wolno mówić. Dlatego starał się nie nocować u frajerów, lub śpiąc u nich być odosobnionym.

Trudno było zrozumieć, co Baran mówi. Wyrazy były zniekształcone. Zdania urywane, pogmatwane. Czasem coś szeptał. Może przez sen mówił naiwny wierszyk o królowej swego serca, do nóg której życie go rzuciło.

IX.

JAS SIĘ NIE POZNAŁ NA SMAKU CZARNEJ KAWY

Trzy razy w tygodniu Jaś brał lekcje francuskiego języka u Marusi Łobowej. Nauczycielka miała oryginalną metodę. Czytała Jasiowi z książki jakąś krótką anegdotę, lub opowiadanko. Potem Jaś je odczytywał, przy czym Marusia poprawiała jego wymowę. Następnie tłumaczyła mu całą treść. Później przystępowali do rozbioru poszczególnych zdań, przy czym Jaś wpisywał do zeszytu nieznane mu wyrazy. Gdy znał już wszystkie słówka i mógł bez błędu przeczytać treść, Marusia po francusku dawała mu pytania, zbliżone do treści poszczególnych zdań i fragmentów. Potem Jaś musiał samodzielnie opowiadać całość. W ten sposób dokładnie przyswajał sobie wyrazy i zwroty francuskie. Nauka szła łatwo i Jaś robił postępy. Z gramatyką Marusia nie zapoznawała swego ucznia. Uczyła go jak dziecko: wyposażając w coraz nowe serie słów i pomagając stosować je praktycznie.

Z początku Marusia była dla swego ucznia

dość surowa i poprawna. Lecz z biegiem czasu zaczęła się stawać mniej ostra i wymagająca. Kilka razy się zdarzyło, że gdy Jaś wykazywał postępy, pogłaskała go po policzku, lub włosach. Jasiowi wówczas rumieńce rzucały się na policzki i nie wiedział gdzie patrzeć. A Marusia tylko się uśmiechała, widząc jego żenadę i nieśmiałość.

Jasiowi Marusia bardzo imponowała i podobała się, jako kobieta. Było w tym mało elementów erotycznych — więcej podziw dla jej wiedzy i sposobu bycia. Marusia była zgrabna, elegancka, miała dużo wytwornych gracików. Umiała pięknie się ubrać. Stosowała jakieś miłe perfumy, od których mu dziwnie słabo się robiło. Chłopcu zdawało się, że to woń jej ciała, włosów. Kobieta coraz więcej pociągała go ku sobie, lecz jednocześnie i coraz więcej jej się bał. Był to strach przed tym co — przeczuwał — może między nimi nastąpić czego zresztą w marzeniach pragnął. W stosunku do niej wydawał się sobie tak niezdarnym, brzydkim, że to go jeszcze więcej onieśmiało. Jaś dużo czytał i słyszał o stosunkach między mężczyzną i kobietą. Sam o tym często myślał. Skrycie pragnął już wielu kobiet i zrobił wiele obserwacji. Lecz gdy nadarzały się nawet dobre sposobności, na nic nie mógł się zdecydować. Nawet myśl o pocałunku była dla niego straszna — chociaż i nęcąca.

A Marusia powoli, delektując się tym, uwodziła chłopca. Jego żenada była dla niej winem, którym się upajała, jak dobry smakosz... Razu pewnego przyjęła go w porannym szlafrocжку. Kazała usiąść do stołu i czytać jedno z poprzednich opowiadań. Poprawiała go, a jednocześnie myślała za jego plecami. Chłopiec czuł z tyłu pluskanie wody, skrzywienie skóry pod dłońmi rąk, mięk-

kie muśnięcia i w oczach mu stała tamta kobieta, którą widział nago w łaźni. Pomyślał: co by powiedziała, żebym teraz się odwrócił? Tak się chciało to zrobić, a jednocześnie czuł, że nie ma takiej siły na świecie, która by go mogła do tego zmusić. Więc czytał dalej płacząc zgłoski i słysząc „udanie” gniewne poprawki Marusi, która po wytarciu się, zaczęła szeleścić jedwabiem bielizny. Potem usiadła do stolika, zastawionego masą flakoników i banieczek różnych kształtów i wielkości. Tam przed lustrem robiła ranną toaletę. Jaś czytał dalej, chłonąc rozchodzący się po pokoju aromat wody kolońskiej i pudru, słysząc ruchy Marusi.

— Proszę teraz opowiedzieć to — rzuciła mu kobieta.

Jaś zaczął mamleć niezdarnie francuskie wyrazy. Przekręcał dobrze mu znane słowa. Nie mógł porządnie ułożyć żadnego zdania.

— Co to jest?... Proszę przeczytać jeszcze raz od początku — doleciał jego uszu głos Marusi.

Przerwał pogmatwane opowiadanie i zaczął czytać od początku. Też nie bardzo mu to szło. W pewnej chwili posłyszał: „No, czytać to już był czas się nauczyć!”. Wtem przez ramię mu przesunęła się ręka Marusi i oparła się o książkę. Druga ręka spoczęła mu na prawym barku. Jaś poczuł ciepło jej ciała. Nozdrza mu drażnił zapach pudru. Marusia dźwięcznie, swobodnie i wyraźnie czytała poszczególne zdania. Niektóre komentowała. Jaś bał się poruszyć. Dostał wypieków. Bliskość kobiety, jej zapach, nagie ramię oparte o książkę, oszołomiły go. Czoło mu zwilgotniało, a policzki i uszy płonęły. Pragnął już jak najprędszego zakończenia lekcji. Wydał się sobie głupim

i nędznym. A jednocześnie, wyrastał w nim zwierzęcy popęd do tej kobiety: chęć zmiążdżenia jej, upokorzenia, sprawienia bólu za to, że z nim igra, że zmusza go do cierpienia. A jednak było to takie słodkie, denerwujące i myśli jego zaczęły coraz częściej krążyć dookoła kobiety.

Marusia udawała, że nie widzi co się dzieje z Jasiem. Przyjmowała go coraz swobodniej i mniej ubrana. Żartowała z nim. Wypytywała: czy się kochał w dziewczętach? jakie kobiety najwięcej lubi? Pewnego razu zaczęła uczyć go tańczyć. Nu-ciła jakiegoś walczyka i okręcała po pokoju niezdarne poruszającego się chłopca.

Aż kiedyś — w niedzielę — po lekcji, Marusia dość długo rozmawiała z Jasiem, opowiadając mu o Francji i o Paryżu, gdzie mieszkała kiedyś z ojcem przez dwa lata. Była skromnie ubrana, delikatna, grzeczna i szczególnie podobała się Jasiowi, który z wielkim zainteresowaniem słuchał jej opowiadań. Tym razem nie zrobiła nic, co by wprawiło chłopca w zakłopotanie. Traktowała go, jak równego sobie wiekiem i wiedzą. Jaś miał wrażenie, że obcuje z jakimś życzliwym sobie, dobrym kolegą. Potem, gdy Łobowa zebrała się by iść do miasta. Jaś wstał i pożegnał ją.

— Jedną chwileczkę — rzekła Marusia. — Proszę przyjść do mnie dzisiaj o 5-ej. Dobrze?

— Kiedy ja nie wiem... — powiedział Jaś nieśmiało.

— Czego pan nie wie?

— No... nie wypada... Nie chcę pani dokuczać...

— Co za głupstwa!... Wcale mi pan nie dokucza... Dzisiaj przypada dzień moich urodzin... Nie mam tu nikogo... Więc zapraszam pana na czarną kawę... Mam pyszną... Przyjdzie pan?

— Dobrze...

— Więc proszę pamiętać: o 5-ej.

Marusia poszła na miasto, a Jasiowi po pewnym czasie przyszło do głowy, że trzeba przynieść jej kwiatów... Myśl tę nasunął mu samotny bujny krzak bżów, który potężnie rozrósł się obok wejścia do mieszkania Barana. Kwiaty rosły bezpiecznie, bo w pobliżu była budka Miłego, więc pies odstraszał mieszkańców domków i amatorów kwiatów z ulicy.

Jasiowi dzień się dłużył. Po obiedzie włożył lepszy garnitur, ocalały z przedwojennych czasów. A około godziny 3-ej dostrzegł, że Marusia wróciła z miasta. Wtedy niepostrzeżenie wyciął z krzaku bżów spory bukiet i schował go w sieniach. Kilka razy wchodził do mieszkania i patrzył na budzik. Wreszcie — punkt o 5-ej z bukietem kwiatów w rękę zapukał do drzwi mieszkania Marusi.

— Ach, co za śliczne kwiaty! — rzekła Marusia, biorąc z rąk Jasia bukiet.

Chłopiec życzył jej „szczęścia, zdrowia i powodzenia we wszystkim”, jak to słyszał w podobnych okazjach. Marusia uściśnięła mu dłoń i podziękowała. Kwiaty umieściła w dużym słoju z wodą, bo we flakonach się nie mieściły. Posadziła chłopca do stolika, który był ładnie zastawiony na dwie osoby.

— Z początku wypijemy — rzekła Marusia wesoło.

Nalała do kieliszków zaprawionej wiśniowym sokiem wódki i uroczyście wygłosiła toast:

— Za naszą wielką przyjaźń!

Potem poszły inne toasty.

Jaś czuł się coraz weselej i swobodniej, tym więcej, że Marusia siedziała po drugiej stronie stolika i unikała wszelkich tematów, które mogłyby go krę-

pować lub zawstydząć. Zaczęła opowiadać mu o Moskwie. Opowiadała barwnie i inteligentnie, tak że chłopiec naprawdę się zainteresował jej opowieścią. Coraz częściej się śmiał, słysząc jej dowcipy; a od czasu do czasu, przerywał jej opowiadanie, rozpytując o szczegóły.

Marusia była ubrana bardzo skromnie: ciemna, wąska spódniczka i biała bluzka z mankietami i wykładanym kołnierzykiem. Włosy miała gładko ułożone, z przedziałem pośrodku głowy. Strój ten i uczesanie robiły ją bardzo młodą. Zdawała się Jasiowi teraz młodszą od niego i to — wraz z alkoholem, który porządnie uderzył mu do głowy — zniosło dystans, który stale, pomimo starań Marusi, między nimi się wytwarzał. Teraz Jaś mówił swobodnie, wesoło. Język mu się trochę plątał, myśli w głowie fruwały, ale czuł się tak dobrze jak nigdy.

Łobowa od czasu do czasu krytycznie przyglądała się Jasiowi, ale tak, że nie mógł tego dostrzec. „Nie umie pić” — wywnioskowała kobieta i znów napęłniła kieliszki.

— Wypijmy za wiosnę! — wygłosiła wesoło się śmiejąc. — Za naszą wiosnę!

— To znaczy za panią... Bo pani sama jak wiosna... taka... taka... — plątał się Jaś.

— No jaka? jaka?

— Taka... no lśniąca i pachnąca, i w ogóle... cudowna...

— Ach, jaki ty miły! — roześmiała się Marusia.

— A wiesz co!... Znów mówię per ty... Wypijmy bruderszaft... Bo te „wy” strasznie nudne... Sam na sam będziemy również zawsze mówić sobie ty... Jak koledzy... Zgoda!

— Doskonale — zaaprobował Jaś, nie rozumiejąc nawet o co chodzi.

Łobowa naląła znów dwa kieliszki.

— To się robi o tak!...

Dała Jasiowi do ręki kieliszek wódki, przełożyła przedramię przez jego rękę i w ten sposób wypili.

— A teraz musimy się pocałować.

Postawiła kieliszek na stole, ujęła głowę Jasia w dłoń i szybko pocałowała go w usta.

— Co, smaczne?...

— Smaczne... — rzekł Jaś, nie wiedząc o co go pyta: o smak pocałunku, czy wódki.

— Teraz zrobię kawę — rzekła Marusia. — Ty lubisz czarną kawę?

— Ja?... Nie wiem... Nigdy nie piłem...

— Co?! Nigdy nie piłeś?... Toż najcudniejsza rzecz na świecie!... To i jeszcze jedno... Za czarną kawę duszę bym oddała!

Marusia zagotowała na naftowej maszynie wodę i zaparzyła mokkę. Wyjęła z małej szafki flaszkę likieru.

— To prawdziwy curaçao. Najulubieńszy mój likier. Czarna kawa, likier i kruche ciastka, to dla mnie uczta bogów...

Łobowa mówiła, śmiała się i szykowała wszystko do kawy. Wreszcie wypełniła spore, bynajmniej nie kawowe filiżanki, gorącym mocnym płynem i kazała chłopcu dobrze osłodzić.

— Wiesz, mój kochany, kawa musi być czarna jak noc, gorąca jak piekło i słodka jak miłość.

Jaś pił kawę, jadł ciastka i z zachwytem patrzył na Marusię, która delectowała się ciastkami i uczyła chłopca, jak się pije likier z kawą. Jednak, wbrew sobie, mistrzyni Jasia wypila sama i dała uczniowi prawie tyle likieru, ile kawy. Jaś był już

dobrze podchmielony. Śmiał się wesoło z żartów Marusi i sam opowiadał jej niezbyt składowe różne anegdoty i dowcipy, których sporo zasłyszał i od wuja Żardonia i od wielu innych znajomych z dolnych i średnich sfer mieszczaństwa. Niespodzianie dla Marusi stał się dowcipny. Znikła jego stała wobec niej czujność i obawa. Był zupełnie swobodny i wesoły.

— Ależ tu gorąco! rzekła w pewnej chwili Marusia. — Uf!... Ty nie masz nic przeciw temu, że ja trochę się rozmunduruje.

I nie czekając odpowiedzi Jasia zdjęła bluzkę i spódniczkę, zostając w lekkiej, krótkiej, błękitnej koszulce. Jasiowi nie wydało się to dziwne. Z przyjemnością, patrzył na nią. Robiła na nim wrażenie ślicznego sylfa. Była tak giętka, smukła, lśniąca.

Marusia lekko podbiegła do Jasia i usiadła mu na kolanach, obejmując za szyję.

— Wiesz co głuptasku — rzekła Marusia. — Spostrzegłam, że wcale nie umiesz całować.

— No tak... nie umiem...

Marusia wesoło zaczęła uczyć chłopca techniki pocałunków. Spostrzegła, że Jaś denerwuje się i to jej się udzieliło. Wykład stawał się coraz gorętszy aż wreszcie i uczniowi, i mistrzyni temu zabrakło. Jaś poczuł, że zęby mu dzwonią, jak od zimna. Wówczas Marusia zmusiła go, by się podniósł z miejsca.

— Tobie zimno... mnie też. Musimy trochę poleżeć, zagrzać się i uspokoić... odpocząć...

Prędko odrzuciła kołdrę z łóżka i pomagała Jasiowi rozebrać się. Chłopiec dygotał. Gdy wreszcie został w koszuli tylko, chwycił jej brzegi dłońmi i rzekł bezradnie:

— Ja nie chcę... Ja się boję...

— Czego?... Głuptasku... — dlaczegoś szeptem mówiła Marusia.

Jaś stojąc nago zakrył dłońmi twarz. Policzki miał wilgotne od potu. Poczul, że Marusia całuje go w piersi i mówi cicho, uspokajająco:

— Nie bój się mały... Śliczny jesteś jak grecki bożek... Nie złęgo ci się nie stanie... To najmilsza rzecz na świecie...

Po godzinie psychicznej męki, wstydu i jakiejś bolesnej rozkoszy, Jaś leżał cicho w łóżku obok Marusi. Czul zapach jej potu i cichy śmiech, a potem jakby znudzone słowa:

— I nic ci się ni stało... A tak się bałeś... Teraz przynajmniej mężczyzną jesteś, a nie smarkaczem.

Jaś niespodzianie dla siebie odpowiedział niechętnie.

— I przedtem byłem mężczyzną.

Marusia wesoło się roześmiała.

Gdy Jaś o ósmej wychodził z mieszkania Marusi, kobieta odprowadziła go do drzwi, aby je znów zamknąć na hak. Objęła go za szyję gołymi, zimnymi teraz, ramionami i spytała:

— Jakże ci się podobała czarna kawa?... Co?...

— Niesmaczna! — rzekł zdecydowanie Jaś.

— Może jeszcze zasmakujesz w niej. Dobranoc.

Jaś w mieszkaniu starannie się umył. Czul do siebie obrzydzenie. Był zły na Marusię. To co z nim się stało dzisiaj i o czym od dawna śnił i marzył, teraz wydało mu się wstrętne, jakby hańbiące. Zdawało mu się, że stracił na wartości, że jest zależnym od tamtej kobiety, z którą dokonał tak obrzydliwej, nieestetycznej brudzącej ich oboje rzeczy. Czul z tego względu do niej żal i urazę. Gdy leżąc w łóżku zobaczył siostrę, która w koszuli

tylko — nie tak ślicznej jak Marusi — weszła po
coś do jego pokoju warknął na nią ze złością:

— Łazi goła, jak małpa! Nie wstyd ci?

— Cóżżeś zgłupiał? — rzekła zdumiona Hela.

— Ja ci zaraz zgłupieję!

Jaś porwał się z łóżka. Hela nie czekając na
dalszy ciąg czmychnęła za drzwi.

X.

PIWONIA I PELARGONIA

Z prawa od wejścia do pracowni szewskiej Barana bujnie kwitł potężny krzak bzów. Soczyste, jędrne świeżością, ciężkie kiście kwiatów, rankiem się skrzyły w diamentach rosy, dniem płonęły w zieleni a wieczorem ciężko zwisały w dół. Była to magia wiosny, jej siła i uroda, jej czary... Tak samo bujnie rozkwitła w sercu Barana miłość. Utonął w niej cały. Mógł wyrwać ją z siebie wraz z sercem tylko. Obecność Pawki ozłociła mu życie. W świetle miłości nawet jej wady lśniły mu jak drogie kamienie. Jej kaprysy i zachcianki nabierały dla Barana wagi praw.

Nazajutrz po przyjściu Paulinki Baran, nie mówiąc jej o tym, poszedł do Churdzicza. Zastał stolarza w domu. Był na dziedzińcu i coś robił przy stosie desk.

— Dzień dobry — przywitał go Baran.

Churdzicz niechętnie coś mu odburknał.

— Co pan w tak złym humorze? — rzekł Baran spokojnie.

— A cóż mam tańczyć, czy śpiewać? A? — niechętnie odrzekł Churdzicz.

Baran przymrużył oczy i rzekł cicho, spokojnie stanowczo.

— Nie skacz no stary durniu! Jak z tobą grzecznie mówię, to bądź człowiekiem, a nie psem, bo ja ciebie grzeczności wyuczę.

Churdzicz wyprostował się, wybałuszył oczy i zdumiony patrzył Baranowi w twarz.

— Co — o?! pociągnął nisko, dziko.

— To co słyszałeś!... Ja ci nie Paulinka... Ze mną tak nie pogadasz... Żebyś nie był jej ojciec, to bym ciebie wyuczył rozumu, ty frajerska pało!

Churdzicz oddech stracił. Kurczowo zaciskał palce w pięści i ciężko oddychał. A Baran mówił dalej:

— Takiego ojca, to ze skóry obedrzeć... Za coś, draniu, tak ją skatowałeś?

Churdzicz omal nie wypowiedział: za co? Lecz w ostatniej chwili się pohamował i rzucił ostro, świszcząco:

— Czego ty chcesz?

— Chcę zabrać jej rzeczy.

— Żadnych jej rzeczy tu nie ma! Tu wszystko moje! A ty jakie prawa masz mnie rozkazywać? Co? Ja policję zawołam!

— Spokojnie! spokojnie! — rzekł Baran. — I z policją nie bardzo mi wyjeżdżaj. Bo jak ja pójdę z Pawką do doktora, a potem podam cię do sądu, to będzie gorzej!

— A ciebie to co obchodzi?!

— To obchodzi, że jestem jej narzeczony, a jak otrzymam z Wilna metrykę, to weźmiemy ślub. Teraz poproszę o jej rzeczy.

— Nie ma tu żadnych jej rzeczy!

— Dobrze... Tak sobie i zapamiętamy, że Pawka nic nie ma... Dowidzenia...

Baran zawrócił i wyszedł na ulicę. Churdzicz porzucił pracę na dziedzińcu i poszedł do mieszkania. Zbił za coś Julka i klnąc chodził po pokoju. Po obiedzie zawołał żonę i kazał jej zebrać rzeczy Pawki.

— Jakie rzeczy?! — zdumiała się kobieta.

— Wszystkie!... Żeby tu ani nitki jej nie zostało.

— Pościel też?

— Wszystko ci mówię! — tupnął nogą Churdzicz.

Tymczasem Baran wrócił do domu i kazał Paulince iść z nim do miasta. Obeszli wiele sklepów. Baran kupił dla Pawki kilka par bielizny, pończoch sukienkę i palto.

— To na razie... Potem kupimy więcej i lepsze.

Wrócili do domu późno, obładowani mnóstwem paczek. Pawcia ogromnie się cieszyła z zakupów i wciąż dziękowała Olkowi. Baran przy tym coraz więcej się chmurzył, starając się ukryć swe zadowolenie.

Nad wieczór przed pracownię Barana zajechała furmanka. Niura — matka Paulinki — zszła z wozu i weszła do pracowni. Badawczo obrzuciła spojrzeniem wnętrze i zwróciła się do Paulinki:

— Przywiozłam ci rzeczy... Tatuś przysłał...

Baran przywitał się z przyszłą teściową i wyszedł na ganek, pozostawiając kobiety w mieszkaniu. Na podwórku zobaczył nieduży wóz, na którym było żelazne łóżko, duży wiklinowy kosz zamknięty na kłódkę, materac i jakieś drobne tłomoki.

— Gdzie wyładować? — spytał Barana woźnica.

— Zaczekaj — odparł Baran i wrócił do pracowni.

Przy wejściu Barana matka Paulinki zaczęła zegnać się z córką.

— Furmanowi zapłacone — rzekła do Barana.

Olek coś jej mruknął w odpowiedzi i kobieta wyszła z mieszkania. Wówczas Baran poszedł za nią i powiedział:

— Proszę tu trochę poczekać! Jest jeszcze jedna sprawa.

Kobieta stanęła przy wozie, a Baran wrócił do pracowni i widocznie zdenerwowany zwrócił się do Paulinki.

— Rozbierz się... prędko...

— Po co? — zdumiała się dziewczyna.

— Odeślę wszystko co ich... No żywo!...

Głos Barana był tak stanowczy, że Paulinka nie ośmieliła się sprzeciwić. Zaczęła pośpiesznie zdejmować sukienkę i bieliznę. Podała je zą parawanu Olkowi. Baran wyszedł na dziedziniec i wręczając rzeczy matce Paulinki powiedział:

— Ojciec Pawki mówił mi dzisiaj, że ona żadnych rzeczy nie ma... To chyba omyłka... — skinął głową na wóz. — Postaramy się bez jego łaski się obejść... Jedź z powrotem — rzekł do furmana. I wóz zawrócił na ulicę.

W pracowni Baran usiadł na stołku przy warsztacie i długo patrzył w okno, snując jakieś myśli. W pewnej chwili Pawka wyszła z mieszkania i po kwadransie wróciła z doniczką, w której rósł bujnie krzak pelargonii. Ustawiła kwiat na parapecie jedyne go okna.

— Podoba ci się? — spytała Olka.

— Tak... Skąd to masz?

— Wzięłam od koleżanki... Weselej tu będzie...

— Jak się to nazywa?

— Pelargonia...

— Pelargonia — powtórzył Baran, a po chwili dodał: — Piwonia i pelargonia...

— Jaka piwonia? — nie zrozumiała go Pawcia.

— Piwonia, to ty...

Paulinka obrzuciła go zdumionym wzrokiem. Obca jej była ta subtelność uczucia, którą Baranowi nasuwała miłość. Dla niej przesadny szacunek i delikatność Olka były komiczne, a on sam głupi.

Po kilku dniach Baran żył z Paulinką, jak z żoną. W sprawach miłosnych był niedoświadczony prawie naiwny i nieco surwoy. Kobiety brał zimno, obojętnie, jakby ze złością, że od czasu do czasu musi to robić. Z Pawcią zgłupiał. To, że jest kobietą — jak każda inna — było dla niego odkryciem. Każda noc z nią układała się inaczej, każda dawała mu wiele wzruszeń. Pawcia sprytnie udała, że była dziewicą i starała się przekonać o tym Olka. Baran nie uwierzył jej, lecz ta kwestia nie interesowała go wcale. Był zawsze dla niej dobry, łagodny, uprzejmy, lecz Pawcia dla czegoś bała się go. Wychowana w małomieszczańskim środowisku, była przyzwyczajona do głupiej, pustej, bezcelowej paplaniny. Tymczasem Baran mówił w ogóle mało — z natury — poza tym życie, pełne cierpień i ryzyka, naczyło go szanować słowa i wypowiadać je wówczas, gdy są potrzebne i celowe. Powódź słów — jaką ludzie zwykle szafują — marnuje czas i charaktery, robi z wielu paplające automaty... Mętna woda... Baran, jeśli sprawy nie znał — głosu w niej nie zabierał. Jeśli ją zgłębił — działał. Ta cecha charakteru Olka irytowała i niepokoiła Paulinkę; więc dla własnego

spokoju szeroko roztrząsała każdą drobną kwestię i ciągnęła kochanka za język.

— Wiesz Olciu: ja chcę kupić firankę na okno. To by ładnie było. Co, nie?

— Kup.

Baran nie licząc dawał Paulince pieniądze na prowadzenie gospodarki i kwestie wydatków wcale go nie interesowały. Pawcia kupiła dwie firanki i zawiesiła jedną na jedynym oknie. Splatając dłonie wpadła w zachwyty:

— Ach, jak teraz pięknie! Co, nie? Szkoda, że nie ma drugiego okna; to by był cud. Ot zmartwienie!

— Powieś na drzwiach. Też szklane...

— A, może i masz rację.

Druga firanka ozdobiła drzwi. Pawcia była zachwycona. Baran milczał. Firanka na oknie, przy którym stał warsztat szewski, była komiczna, zabierała wiele światła i przeszkadzała w robocie. Lecz Baran milczał.

— Wiesz ile zapłaciłam? Co? Prawie darmo!

Pawcia wymieniła jakąś kwotę, która zmusiła Barana do spojrzenia na Paulinkę ni to ironicznie, ni to ze zdumieniem. Orientował się dobrze w cenach i uważał, że Pawcia zapłaciła za firanki trzykrotnie drożej.

...Oszukali głupią — pomyślał.

Nie wiedział, że Pawcia zapłaciła właśnie tyle, ile były warte, a dwukrotnie większą sumę ukryła przed kochankiem — dla siebie.

— Ty nie myśl, że to drogo — paplała Pawcia.

— To przecież jak koronka. Co nie?

Baran milczał. „Dziesięć jeszcze”. Myślał rzewnie. A Pawcia wciąż wynajdywała nowe potrzeby i jak sroka ściągała do domu różne brzydkie i bez-

użyteczne rzeczy. Przy tym każdorazowo — zależnie od apetytu i wyczucia możliwości — aby nie wzbudzić podejrzenia, na każdym kupnie coś „zrabiała”.

Tymczasem Olkowi wiodło się coraz gorzej. Zatracił węż złodziejski. Z trudnością znajdował marne roboty i marnie je wyrabiał. A wydatki rosły, więc się denerwował i rzucał się na byle co, tym więcej, że spostrzegł w sobie nową cechę — bojaźń. Bał się wsypać, aby Pawcia nie została bez opieki. Poprzednio pracował zimno: ostrożnie, lecz stanowczo. Umiał wyczekać dogodnego momentu i bez wahania, w najodpowiedniejszy sposób dokonywał najtrudniejszej kradzieży. Teraz się zastanawiał tam, gdzie należało działać. A grubo ryzykował, gdy należało porządnie robotę „wystawić”... Orientował się w tym po pracy i zdawał sobie sprawę w czym tkwi wina, lecz tylko ścigał brwi i coraz uparciej milczał.

Pewnego razu Olek wrócił do domu późnym wieczorem. Przyjechał dorożką. Ledwie doszedł, kulejąc, z ulicy do mieszkania. Pawcia się zaniepokoiła:

- Olesiu, co ci jest?
- Stłukłem kolano...
- Jak? Gdzie? Czy bardzo boli?
- Poślizgnąłem się.

Baran posłał Pawkę do Stasia Dorożkarza. Dał jej pierścienek i kazał, żeby Staś go sprzedał. Poza tym prosił, aby Staś przysłał mu pół litra wódki.

Gdy Pawka wyszła Baran znalazł jakąś starą koszulę i zrobił opatrunek. Miał rozbite kolano i głęboką, szarpaną ranę na łydce lewej nogi. Poza tym miał kilka mniejszych stłuczeń i zadraśnień. Stało się to tak. Baran wieczorem znalazł zamknię-

te mieszkanie na 2-im piętrze. Natychmiast — wbrew swoim zasadom — przystąpił do roboty „na ślepo”. Skluczył drzwi. Zamknął je za sobą i zostawiając po drodze wszystkie drzwi otwarte, obejrzał mieszkanie. Zrobił obchód na czarne wejście i zabrał się do roboty. Zaledwie upłynęło parę minut posłyszał, że przy wejściu od frontu ktoś jest. Chciał prędko się wycofać tylnym wejściem, lecz posłysza, że z dołu idą do góry jacyś ludzie i cicho rozmawiają podnieconymi głosami. Posłyszał wyraz: „złodzieje”. Wówczas Baran cichutko poszedł klatką schodową w górę.

Była to duża czteropiętrowa kamienica, obok hotelu „Europa”. Baran wszedł schodami, aż na strych i może udałoby mu się przeczekać pościg, a później wyjść z kamienicy, lecz z góry schodziła jakaś kobieta i Baran w ciemności ją wyminął. Gdy kobieta schodząc dalej w dół dowiedziała się, że łapią złodziejów, wskazała ścigającym, wśród których było dwóch policjantów, dokąd uszedł Baran. Pościg udał się za nim.

Na strychu Baran pośpiesznie wyłamał szabrem dwie deski w jednym z przedziałów do suszenia bielizny i znalazł się na długim ciemnym poddaszu, zawieszonym sznurami z bielizną. Mógł dostać się tu łatwiej. Po prostu złamać kłódkę na drzwi-czkach, które prowadziły do poszczególnych przedziałów, lecz chciał wprowadzić w błąd pościg i opóźnić go.

Przez wąskie okienko Baran wylazł na dach kamienicy i zaczął powoli posuwać się krawędzią wzdłuż rynny. Było ciemno. Szarpał wiatr. Ręce złodziejowi zdrętwiały z zimna. Każdy krok groził upadkiem, bo rynna była pocięta. Jednak Baran powoli dopełził do skraju dachu od strony podwó-

rza. Tu zobaczył, że wyjścia nie ma, bo dom ten nie łączył się z innymi. Znalazł się na skraju przepaści. Oparłszy nogi o rynnę Baran położył się na dachu i wypoczywał, oczekując co będzie dalej. Przypuszczał, że pościg nie dostrzeże wyłamanych i zsuniętych na miejsce desek, przez które on się wślizgnął na strych i widząc, że wszystkie drzwi są zamknięte, pomyślał, że on się wymknał. W takim wypadku Baran mógłby przeczekać na dużym strychu noc, a nawet cały następny dzień i dopiero później wydostać się stąd.

Nadzieje Barana były złudne. Ścigający go ludzie posłyszeli chrzęst blachy i zorientowali się, że złodziej ukrył się na dachu.

— Żeby nie uciekł na inną kamienicę — rzekł jeden z policjantów.

— Nie, nie ujdzie — odparł dozorca domu. — Nasz dom osobno stoi.

— Może skoczy w dół — wyraził przypuszczenie drugi policjant.

— Gdzie tam! Worek kości by z niego został.

Za kilkanaście minut po dachu popęzło światło elektrycznej latarki. Jeden z policjantów, wychylając się przez okienko, badał dach. Po pewnym czasie dostrzegł przy końcu rynny skuloną szarą postać ludzką.

— Ej, ty tam, chodź tu!

Baran się nie odezwał.

— Chodź, bo zestrzelę!...

Baran wyciągnął się wzdłuż rynny i, przechylając się ponad krawędzią dachu, poświecił latarką w dół. Dostrzegł ciemny kontur dachu piętrowej przybudówki. Były to składziki na drzewo. Na dachu uwydatniała się ciemna warstwa gałęzi, którą

złożono tam do suszenia, aby nie zajmowała podwórza.

— Złazisz, czy nie!? — rozległ się okrzyk, a niedługo potem padł strzał.

Baran nie odpowiedział. Chwycił się rękami rynny i zawisł na skraju kamienicy. Po chwili porzucił rynnę i spadł w dół... Zmiotł ciężarem ciała część leżących na dachu przybudówki gałęzi i wpadł na sągiew drzewa, a potem na ziemię. Zasypany go polana. Wygrzebał się spod nich i powoli poszedł ciemnym dziedzińcem ku bramie. Nikt go nie zatrzymywał. Wyszedł na ulicę. Lecz tu ból w nodze zaczął mu silnie dokuczać, więc wziął dorożkarza i przyjechał do domu.

Przez kilka dni po tym zajściu Baran nie wychodził z domu. Pawcię dziwiło to, że Olek nie przyjmował obstalunków od przychodzących do warsztatu klientów. Urządzał się zwykle tak, że jeśli przynoszono mu obuwie do reperacji mówił, że „starzyzny się nie poprawia”, jeśli dawano obstalunki na nowe obuwie, to albo się wymawiał nadmiarem roboty, albo brakiem materiałów. Klientom, którzy wyjątkowo niemile się zachowywali, mówił takie ceny, że co prędzej wynosili się z zakładu. Od czasu do czasu jednak coś robił. Zdarzało się, że wzięte „dla oka” obstalunki oddawał innym szewcom. To wszystko zastanawiało bardzo Pawcię która z natury było bardzo chciwa. „Przecież mógłby tyle zarobić”. Nie brała pod uwagę tej okoliczności, że na ten tryb życia, jaki oni prowadzili, nie wystarczyłyby zarobki i pięciu szewców. Sama Pawcia wydawała dużo pieniędzy, wynajdując coraz nowe potrzeby. Jednak i jej przychodziła do głowy myśl „skąd Olek bierze pieniądze?”. Lecz na razie nie umiała rozwiązać tej zagadki.

Od czasu zamieszkania razem z Paulinką, Baran nigdy nie usnął zanim się nie przekonał, że Paulinka śpi. Przyczyną tego była obawa, że przez sen mówi. Raz nawet mówiąc przez sen, obudził kochankę. Zapytała przestraszona:

— Co ci jest?

— Nic, nic, śpij!

Lecz zdarzyło się później, że Pawka obudziła się o północy i nie mogła usnąć. Olek spał. Ciężko oddychał; od czasu do czasu coś mówił, lecz Pawka nie mogła złapać sensu słów. Później niespodzianie, Olek zaczął mówić głośno i wyraźnie:

— Zdejm że mi te kajdany... Tak boli... noga... Zdejm kajdany... Daj mesel... Trzeba nity rozciąć. Tylko żeby dozorca nie widział...

Bredził kilka minut, wspominając więzienie, kajdany, dozorców, strzały, kraty. Czasem wplatał niezrozumiałe dla Pawki słowa w więziennym i przestępczym żargonie.

Pawcia struchlała. Nie ze strachu, ze zdumienia raczej. Nigdy by nie pomyślała, że jej kochanek, tak solidny, poważny, spokojny jest — jak się zorientowała — przestępcą. Nazajutrz Pawka dopilnowała matkę na ulicy — do domu była się iść — i opowiedziała jej szczegółowo: co słyszała w nocy.

— Łańcużnik — w lot zorientowała się kobieta. Ja to od razu wiedziałam: nigdzie nie pracuje, dobrze zre i ubiera się. Takiemu tylko i żyć. Rączek nie urobi, a złoto na rękach ma.

Jednak cnotliwa matka nie kazała córce porzucić występnego kochanka. Przeciwnie:

— Ciągnij z niego co możesz... Takiemu łatwo przychodzi... Pamiętaj! nie bądź głupia!

Córka też głupia nie była. Powiedziała matce, że i poprzednio potrafiła sporo uzbierać na swoim kochanku.

— Uważaj córuś: bądź mądra, bo potem pożałujesz, jak rzuci ciebie dla jakiej innej lafiryndy, albo do więzienia trafi. Zabić też go mogą.

Na tym się skończyła narada matki z córką.

Tymczasem Baran coraz więcej kochał swą dziewczynę. Pawcia była osią jego myśli i czynów. Każde jej życzenie było dla niego prawem, każdy kaprys spełniał natychmiast. Żył marzeniami, a tymczasem rzeczywistość żelazną dłonią dusiła go za gardło. Olek widział, że Paulinka jest z nim nieszczerą, że mało okazuje mu dobroci, że nie troszczy się o niego, lecz postanowił cierpliwie walczyć o jej miłość.

Gdyby Olek mógł mówić, gdyby mógł wyrazić swe uczucia i myśli, to by pewnie tak powiedział: „Kochana! Jesteś dla mnie słońcem, jesteś kwiatem. Jesteś tym wszystkim, czym cię moje marzenia i tęsknoty uczyniły. Bądźże tym. A jeśli nie jesteś i nie możesz tym być, to chociaż udawaj. Udawaj, szanując moją miłość, bo większej na świecie nie znajdziesz, bo nikt cię tak nie pokocha. Jedni będą widzieć w tobie tylko to, czym naprawdę się brzydzą, co obelżywymi imionami nazywają... Ja cię glorią otoczę, z której cię nikt nie odrze... Będiesz moim bóstwem, moją duszą, moją tęsknotą!... Ukochana! Cóż ci dać mogę?... Dam ci wygodę, dosyt, może luksus i oddam na zawsze swoje biedne, sponiewierane, zmęczone serce. Serce, które jeśli się wypowie, to szczerze, które umie być wierne. Będiesz w nim panować i żyć dopóki ono żyć będzie... Może nędzny to dar. Ale wiedz,

że więcej i królowie ci nie dadzą... Dla innych jesteś tylko kobietą... może ładną, może ponętą... Dla mnie jesteś cudowną istotą; jesteś droższa nad wszystkie skarby świata!... Dla ciebie jednej wszystkich i wszystko bym zniszczył...

Tak czuł i myślał Olek Baran. I to by Pawci powiedział, gdyby mógł mówić. W rzeczywistości milczał, chmurzył się i wciąż myślał, myślał, myślał... Myślał nad szczęściem Pawci... Pawcia też mozolnie myślała — jakby najlepiej wykorzystać swego kochanka.

Takie jest życie. Baran walczył o skarb, którego w duszy marnej mieszczki nie było. Pawcia mając te skarby otwarte i pełne, walczyła o nędzne łachmany i błyskotki.

A przed drzwiami pracowni kwitł potężnie kwiat bzu — magia wiosny. I kołatało w sobaczej piersi drugie sponiewierane przez życie i ludzi serce... psie serce Miłego.

XI.

JAS STAJE SIĘ ASYSTENTEM PROFESORA NIEBIESKIEJ MAGII

Nie przesadzę, jeśli powiem, że Barana nikt nigdy nie kochał. Chyba matka, której nie pamiętał. Miłości fizycznej kobiet Olek miał dość, chociaż nigdy za kobietami się nie uganiał. Miał bujny temperament, lecz nie ubiegał się o względy kobiet, które go pociągały zmysłowo. Przeszkadzała temu jakaś dziwna duma. Uważał, że jemu, solidnemu złodziejowi, ni wypada się mizdrzyć i ciąćkać z babami. Miał wiele kochanek; frajerek, złodziejek i prostytutek, lecz żadna nie chwyciła go za serce, nie weszła w mózg, nie opanowała duszy. Były wśród nich naprawdę ciekawe typy — czy o wspaniałej urodzie, czy o niezwykłych charakterach — szczególnie wśród złodziejek — lecz Baran był na wszystko ślepy. Brał swoje — jako mężczyzna — dawał wzamian ile mógł i na tym koniec.

Przyjaciół Olek też nie miał. Byli współnicy, byli koledzy z fachu i z więzień — przyjaciela nie było. A przecież wśród złodziejów — ludzi żyją-

cych w ciągłej atmosferze ryzyka na granicy utraty wolności i życia, szczególnie silna jest tęsknota za miłością i przyjaźnią. Lecz Baran był zawsze tak zimny, tak niewymowny, że mroził w załączku każdy pęd cudzego lub własnego uczucia... Wyrwał się kiedyś, dzieckiem jeszcze będąc, z zimnych pazurów śmierci. Przeszedł piekło życia, jakie ludzie dla niego stworzyli i — jako spadek naszej kultury — dali jemu — nieszczęśliwemu szczęściu ludzkiemu. Wziął ten spadek — ten los i wyniośle — jak król koronę — dźwigał go przez życie. Kradł śmiało, łatwo, pewnie... Każdą sytuację oceniał błyskawicznie i trafnie, wspaniałym chwyttem inteligencji złodzieja. Był nieomylny i spokojny, a jednocześnie tak ostrożny, że wydałoby się to komuś tchórzostwem. Łączył w sobie śmiałość lamparta i jego ostrożność. Jak zwierzę, zagnane w dżunglę miasta, żył zwierzęcym sprytem i odwagą... Poznał ludzi doskonale, jako „zwierzynę”, na którą polował od dzieciństwa, i gardził nimi. Wiedział, że są chciwi, podli, tchórzliwi. Że sami żyjąc zbrodniczo, karzą zbrodnie nielitościwie. Jeśli sam, kradnąc, płacił za to wolnością, zdrowiem, męką i życiem, to mechanicznie ucziwi ludzie, zawsze gotowi byli dokonać zbrodni na słabych i bezbronnych. Skrupuły mieli tylko wtedy, gdy było ryzyko wsypy. Baran kąpał się w sadyźmie, obłudzie, podłości otoczenia i nauczył się gardzić nim.

Jedynym przyjacielem Barana — jak on niewymownym — jak on gardzącym ludźmi, nienawidzącym ich, stał się pies-Miły. Nie umiał wyrazić człowiekowi swej miłości, lecz miał jej pełną duszę. To wszystko co mu Natura dała dla ludzi — zawiódłszy się na dzieciach w swym psim dzieciń-

stwie — oddał złodziejowi — jak złodziej teraz kobiecie.

Natomiast Paulinka znienawidziła psa. W ogóle nie lubiła zwierząt — jak każda egoistyczna natura — Miłego zaś nienawidziła szczególnie mocno.

Z początku pies, widząc Pawkę stale w towarzystwie swego opiekuna, był dla niej obojętny. Lecz Pawcia kiedyś, gdy Olka nie było w domu, kopnęła silnie Miłego, który leżał przy wejściu do pracowni. Pies rzucił się na nią. Ledwo uskokczyła w bok. Wzięła miotłę z mieszkania i wyszła, aby sprawić Miłemu lanie. Pies cofnął się na długość łańcucha i oczekiwał głucho wacząc. Pawcię strach przejął. Splunęła i wróciła do mieszkania. Od tego czasu zaczęła znęcać się nad zwierzęciem. Oblewała go wodą. Nie dawała jeść. A gdy pies był bardzo głodny — robiła z chleba gałkę, wciskała do niej pieprzu i rzucała Miłemu. Innym razem dała mu chleba z musztardą; potem ze szkłem. A pewnego razu wzięła trutkę na myszy, włożyła dużą ilość trucizny do zimnej zacierki, okrasila ją — aby pachniała i podsunęła głodnemu zwierzęciu. Pies nie ruszył zacierki. Wychudł strasznie i leżał wciąż w budzie. Trwało to około trzech tygodni. Żył może dlatego, że Jaś miał zwyczaj od czasu do czasu dawać mu kości i odpadki jedzenia. Mało tego było i nie często, jednak wystarczało, aby pies nie zdechl.

Baran na razie niczego nie dostrzegał. Było to akurat wtedy, gdy mu się szczególnie nie wiodło. Aż pewnego razu, wracając z miasta, spostrzegł, że pies ma skaleczony bok. To Pawcia chlusnęła na niego wrzątkiem. Baran dopiero teraz zwrócił uwagę na Miłego. Zbliżył się do psa. Zaczął go głaskać po głowie. Pies jak zwykle tulił uszy od

pieszczoty i lekko warcząc, chwycił zębami dłoń Olka i trzymał ją. Nie umiał się przymilać i zabiegać o względy, jak inne psy... Żeby mógł się skarżyć, żeby potrafił mówić...

Baran dostrzegł, że pies ogromnie wychudł. Sierść mu zszarzała. Wszędzie sterczały kości. Ledwo się poruszał. Przypomniawszy sobie, jak Pawcia namawiała go wciąż, aby psa wyrzucił, bo jest psotny i niebezpieczny, i zrozumiał, dlaczego Miły jest w tak okropnym stanie.

Wszedł do mieszkania.

— Jest obiad?

Pawcia leżała na łóżku i czytała jakąś książkę — o hrabinach naturalnie — pożyczoną jej przez Tulusia, z którym nie zerwała stosunków, tylko zachowywała więcej środków ostrożności. Nie przerywając lektury Pawcia się odezwała:

— Jest... Weź w piecu...

Baran poszedł do pieca i wyjął imbryk wody. Spojrzał na dziewczynę, która nie zwracała na niego uwagi, pochłonięta miłosnymi przygodami hrabiego Alfreda i hrabianki Elżbiety.

— Słuchaj, gdzie obiad?... Nie mam czasu...

Pawcia zitytowana usiadła na łóżku.

— Herbata w piecu... Naparz... No i jajka ugotowałam... Weź w szafce...

Baran ściągnął brwi.

— Słuchaj Pawcio: ty mi się nie wilcz... Ja do ciebie po dobremu... Nie chcesz robić obiadów — nie rób...

— A z czego ci obiad zrobię? co!

— Przedwczoraj ci dałem pieniądze... I już nie ma...

— Ot dałeś!... A rondel kupiłam, a praczce zapłaciłam, no i jeszcze tam coś... Grosza nie mam...

— To czemu nie powiesz?

— Sam musisz wiedzieć...

Baran wieczorem wrócił z miasta pijany. Dał Paulince sporą sumę pieniędzy, które pożyczył od pasera.

— Masz — rzekł — to na jedzenie... Musi na długo wystarczyć. Na zakupy dam ci za parę dni osobno...

Pawcia była nadąsana...

— Powiedz mi — rzekł Olek po chwili — czemu Miły skaleczony?

— Nie wiem — odburknęła dziewczyna.

— A czemu tak wychudł? Pewnie źie go karmisz.

— Wcale nie będę karmić... Tobie kundel ten droższy ode mnie... Idź i całuj się z nim... Życ nie można przez tego potwora...

Pawcia zaczęła płakać.

Baran nazajutrz poszedł do Nacewiczowej i prosił ją, by znów wzięła na siebie opiekę nad psem. Dał jej pieniądze. Budkę Miłego przesunął ku narożnikowi domu, pod okna Nacewiczów i tamże umocował łańcuch.

Po tygodniu pies wrócił do sił. Sierść miał połyskującą, nabrał ciała. Baran wracając z miasta przynosił też mu coś do jedzenia i częściej przychodził do Miłego i pieścił go. Może zrozumiał, że to jedyny jego przyjaciel.

— Ja nie chcę żyć w ustępie! Rozumiesz? — wrzeszczała Pawka. Tu różna cholera przychodzi! Tu i śpij, i myj, i gotuj! Wszyscy ludzie jak ludzie, a my jak cyganie. Ja chcę mieć swój pokój, a nie

mieszkać w warsztacie. Tu nie ma gdzie się porużyć.

W trzy dni, po porozumieniu się z Nacewiczową, Olek wynajął od niej, połowę dużego stołowego pokoju. Kazał zrobić dwa przepierzenia, postawić płytkę i zrobił remont. Wkrótce Baran i Paulinka mieli mieszkancko złożone z dwóch pokojów i kuchenki. Było schludne i przytulne. Pawcia miała osobny pokój, a Baran nadal spał w warsztacie. W dzień rzadko kiedy bywał w domu i Pawcia mogła swobodnie przyjmować matkę i koleżanki, a parę razy zajrzał tu i Toluś.

Baran zrozumiał, że Pawcia chce jak najwięcej od niego się uniezależnić. Spostrzegł, że go oszukuje w wydatkach, że jest chciwa, że nie dba o niego wcale, że stara się jak najwięcej go wyeksplloatować, że jest zła i bezczelna. Lecz kochał ją nadal. Kochał szalenie — ponad wszystko. Nie pomagały na to żadne rozumowania. Miłość mocno zagnieździła się w jego sercu, więc płynął na jej falach i z dnia na dzień ssal słodką truciznę. Tylko robił się coraz więcej ponury i małowówny. A Pawcia sprytnie lawirowała i dozowała pieśzczoły. Widziała swą władzę nad nim, swą siłę i, jak każda podła istota, nadużywała jej.

Od czasu gdy Pawcia miała swój pokój, rzadko kiedy wchodziła do warsztatu. Teraz coraz częściej zaczął odwiedzać Olka Jaś. Chłopiec znów czytał Baranowi gazety lub książki, a nawet — na prośbę Barana — zaczął go uczyć czytać.

Pewnego dnia Baran zadał Jasiowi pytanie:

— Chcesz zarobić?

— Owszem.

— To idź do apteki i kup „winno-kamiennego”

kwasu. W sklepie kup papieru i kleju i zrób 20 trzykilowych torebek. Żeby były mocne... Ja tymczasem załatwię co innego... Prócz tego kup rozpylacz.

Jaś, znając zamknięty charakter Barana, nie wypytywał go o co chodzi.

— Tylko pamiętaj — rzekł Baran do chłopaka — to sprawa blatna. — Nikomu ani słowa... Jesteś chłopak charakterny i chcę ci dać zarobić...

Jaś o nic nie wypytywał. Szanował Olka i lubił go... A upomnienie, że to sprawa blatna, bardzo mu schlebilo, bo Baran potraktował go jak kolegę. Chłopiec wiedział, że blatni to są złodzieje i wszyscy, którzy z nimi współpracują. Domyślał się, że Olek nie jest zwykłym szewcem, lecz był dyskretny z natury, więc o nic go nie wypytywał i z nikim swymi domysłami się nie dzielił.

Chłopiec żwawo zrobił zakupy i zabrał się do lepienia torebek. Z początku mu to nie szło. Potem rozpruł — na wzór — sklepową torebkę i zaczął sam robić je według szablonu.

Za parę godzin przed pracownię zajechała doróżka i Baran wyładował spory worek. Jaś powiedział, że torebki gotowe, tylko muszą jeszcze wyschnąć. Pokazał jedną Olkowi. Baran obejrzał i wyraził zadowolenie:

— Klawo jest! Masz ręce nie tylko do dłubania w nosie.

Baran pozamykał drzwi pracowni i wysypał na podłogę z worka zawartość. Były to duże i drobne bryły ałunu. Jaś ze zdumieniem patrzył na Olka. Dopiero teraz Baran objaśnił go:

— Kombinacja, rozumiesz, taka. Ałun kosztuje 3 ruble kilo, a cytrynowa sól 600 rubli. Jest tu tego

75 kilo... Odpadnie z 10 kilo... Więc będziemy mieli z tego około 60 kilo. Kapujesz?

Jaś nie bardzo go zrozumiał, lecz nie wypytywał, wiedząc, że sprawa sama się wyjaśni.

Jaś i Baran zabrali się do roboty. Tłukli młotkami większe bryły ałunu na drobne kryształki tej wielkości, jakiej zwykle jest sprzedawany w sklepach niemielony kwasek cytrynowy. Miał i brudne lub nieforemne kryształki, zostawiali na kupie, a dobre, czyste rzucano na dużą płachtę. Po kilku godzinach intensywnej pracy robota była skończona. Jaś zamiótł pracownię, zebrał do wiadra odpadki i wyniósł je do dołu w ogrodzie. W trakcie roboty Baran mówił Jasiowi:

— W 1913 roku taką samą sztukę machnęliśmy w Orle... Miałem koleżkę, spryciarza... Był farmazonem i tufciarzem... Z 50 sklepów taką cytrynką obdzieliliśmy... Tu też pójdzie dobrze... ale tylko jeden raz...

— A się ludzie nie potrują?...

— Gdzie tam!... Najwyżej baby obiady popsują... A niektórzy kupiec w mordę dostanie, że taki kwasek sprzedaje...

Następną czynnością było rozścielenie kryształów ałunu drobną warstwą na płachcie. Potem Baran zaczął skrapiać z pulweryzatora, rozcieńczonym winnym kwasem, całą warstwę.

Od czasu do czasu drewnianą łopatą przekładano kryształki ałunu i znów skrapiano je winnym kwasem. Powtórzono tę czynność kilkakrotnie. Potem kryształki schnęły przy otwartym oknie. Następnie Jaś przyniósł od montera wagę i zaczęto ładować torebki, ważąc je — aby każda zawierała po 3 kilo. Wreszcie przy ścianie, na podłodze stało rzędem 21 torebek po trzy kilo każda. Baran skro-

pił jeszcze z wierzchu winnym kwasem zawartość każdej torebki i uznał robotę za skończoną.

Jaś brał z poszczególnych torebek spreparowane w ten sposób kryształy alunu i oglądał je. Ani kształtem, ani barwą nie różniły się od kryształów kwasu cytrynowego. W smaku, przy próbie językiem, również były identyczne z kwaskiem cytrynowym.

Baran umieścił całą tę produkcję u siebie pod łóżkiem i powiedział Jasiowi, że sprzedadzą to jutro.

— Rozumiesz: w jednym dniu musimy to wszystko opylić. Potem nie sprzedasz i jednego kila; chyba sam zechcesz do kicza wleźć.

Baran początkowo zamierzał użyć Jasia do sprzedaży sfalszowanego kwasu, lecz po zastanowieniu się odrzucił ten projekt. Ufał na robocie tylko sobie. A tolerował w pracy jedynie „firmowych” złodziejów, specjalistów w obranej dziedzinie kunsztu złodziejskiego. I chociaż sam był „giganciarzem”, niezbyt ufał pracy i doświadczeniu kolegów, chwytających się każdej roboty. Uważał, że dobrym skokierem jest tylko ten, który jedynie „skoki” uprawia, doliniarzem ten, który tylko po dolinie chodzi itd. Chociaż laikom fach złodziejski zdaje się łatwym, w rzeczywistości wymaga ogromnego sprytu, wiedzy i doświadczenia. Stąd wynika u błatnych dziwnie obszerna specjalizacja. Owszem, złodzieje często przekraczają wąski zakres swego zasadniczego zajęcia. Np. złodzieje mieszkaniowy dzienny idzie na sznif. Lub nocny złodziej mieszkaniowy na skok. Lecz robią to albo w czasie mortusu — z konieczności, lub jeśli robota sama w ręce lezie. Lekarz chorób wewnętrznych też czasem musi zabiegu chirurgicznego

dokonać. Lecz to jest odchyleniem od normalnej jego specjalności.

Co się tyczy współpracy z frajerami, to dobry złodziej bardzo niechętnie ją podejmuje. Tak wiele wynikało z tego wysyp i nieporozumień, że z zasady uważają taką współpracę za drogę do więzienia. Baran też po namyśle postanowił nie wyręczać się Jasiem w sprzedaży „kwasku”, lecz zrobić to samemu.

Nazajutrz Olek Baran wdział na siebie nową jesionkę, granatowy kapelusz i okulary. Jaś ledwie go mógł poznać w takim przebraniu i mimo woli parsknął śmiechem. Baranowi to się podobało.

— Nie poznałbyś potem... Co?

— Nigdy w życiu! — odparł Jaś.

— No, to i klawo!

Mistrz i uczeń wybrali się na robotę. Baran niósł 2 torebki kwasku. Jaś dźwigał w koszu 4 torebki. Rozpoczęli sprzedaż na Kreszczeńskiej ulicy. Tam Baran sprzedał 2 torebki, kazał Jasiowi jechać dorożką do domu i co prędzej przywieźć jeszcze 6 torebek. Umówili się spotkać na Kwietnym Bulwarze. Ostatnią partię Baran sprzedał na Moskiewskiej ulicy, w pobliżu dworca. Cała ta procedura zajęła im cztery godziny. Mało w którym sklepie, kwasku nie kupiono. Jasiowi na jego prośbę, Baran pozwolił sprzedać ostatnią torbę „towaru”.

Jaś wstąpił do sklepu przy ul. Moskiewskiej. Było tam sporo klientów. Jaś zwrócił się do starszego Żyda, który coś ważył:

— Może kupicie kwasek cytrynowy?

Kupiec od razu zainteresował się, bo był to rzadki w tych czasach towar.

— Dużo masz?

— Trzy kilo.

— Po czemu?

— 600 rubli kilo. Ale sprzedaję wszystko razem.

— Pokaż.

Kupiec wziął torbę. Spróbował językiem jeden kryształ z góry drugi ze środka, rozgarnął kryształy palcami i zajrzał głębiej.

— Zapłacę po 550.

Jaś wiedział, że Olek kilka partii sprzedał nawet po 500 rubli, lecz się uparł że taniej nie odda.

— Jak nie chcecie kupić po 600, to sprzedam gdzie indziej po 650.

Kupiec wziął towar, zważył i zapłacił Jasiowi 1800 ostrubli. Uroczyście i radośnie Jaś zbliżył się do Olka i wręczył mu pieniądze.

— 1800... — powiedział wesoło.

— Klawo jest — obojętnie rzekł Baran.

Jaś szedł obok Olka pełen dumy i zachwytu. Na Podgórznej ulicy Baran wprowadził chłopca do spelunki, gdzie nielegalnie targowano wódką, morfiną i kokainą. Tamże był dom schadzek dla wyborowych gości. Korzystali z niego nawet funkcjonariusze policji, bo był tam zawsze świeży „to war”... tak żywy jak i w zakresie narkotyków.

Baran kazał podać do seperatki ćwiartkę koniaku i sardynki. Wypili po kieliszku.

— Za fart — rzekł Baran, pijąc do chłopca.

Potem kazał Jasiowi liczyć zyski. Wynikało z obliczeń, że po potrąceniu kosztów i zaokrągleniu ogólnej sumy mistrz i jego asystent zarobili tego dnia 34.000 ostrubli. Jasiowi to się wydało fantastyczną sumą. Baran był obojętny. Liczył pieniądze. Odliczył 6.800 rb i przysunął je Jasiowi.

— Masz... To twoje!

Jaś zarumienił się i zażenował.

— Ja przecież prawie nic się nie przyczyniłem... Tylko jedną torbę sprzedałem.

— Masz, masz... Należy ci się piąta część!...

I Jaś wziął pieniądze. Przydały mu się bardzo, bo w ostatnim miesiącu do mieszkania Nacewiczów znowu coraz częściej głód zaglądał.

Nazajutrz Jaś przeczytał w gazecie, w rubryce „Kronika” następującą informację, pod tytułem: „Nowa afera”. „Wczoraj wielu kupców mińskich padło ofiarą oszusta, który w kilkudziesięciu sklepach sprzedał jako kwaśną sól, jakąś inną, szkodliwą dla zdrowia, gorzką substancję. Nie bacząc na wielokrotne ostrzeżenia publiczności przed oszustami, nie brak jeszcze naiwnych, którzy w pogoni za zyskiem, stają się ofiarami bezczelnych wydrwigraszów. Policja jest na tropie sprawców”.

Baran ironicznie się uśmiechnął:

— Policja na tropie i to w galopie!

XII.

FRAJER ZDOBYWA ZŁODZIEJSKIE OSTROGI

Baran od dawna miał dużą sympatię dla Jasia. Podobało mu się, że chłopiec jest zawsze grzeczny, wesoły, chętny. A imponowało to, że jest uczony. Stasia Doróżkarza i Profesora też uważał co prawda zauczonych, lecz teraz spostrzegł, że Jasi ma wiedzę teoretyczną o wiele większą od nich, a jednak nigdy tym się nie przechwala, „dymów” nie puszcza i wieloznaczących minek „jak kurwa na Bugaju” nie robi. Chętnie i prawidłowo tłumaczy co sam wie, a gdy czego nie wie, szczerze mówi i odpowiedzi szuka w książkach.

Olek dotychczas nigdy się nie wyręczał frajerami. Jasia zaczął uczyć swego fachu — jak uczył reperacji obuwia — bo chciał mu dopomóc materialnie, a poza tym miał w głowie: z tego to byłby złodziej: ładny, mądry, śmiały, sprytny... Tylko w dobre ręce dać go... Odczuł chętkę przekazania komuś, kto wart tego, swojej wiedzy technicznej i praktycznej, tego wszystkiego, co musiał zdobywać mozolną pracą wielu lat... Wziął go na kilka

drobnych kradzieży: używał go na razie jako świecy. (Ostrzegacz). Jaś wywiązywał się z zadań skrupulatnie, śmiało i inteligentnie. Baranowi to się podobało i zaczął stopniowo zapoznawać swego ucznia z tajemnicami kunsztu złodziejskiego. W świat przestępczy na razie swego ucznia nie wprowadzał. Brał go na roboty sam. Opowiadał o więzieniach, paserach, agentach, złodziejach, melinach, nadawcach, o wspaniale wyrobionych robotach...

Kilka razy przynosił mu z miasta serie kłódek, które bez potrzeby — specjalnie dla Jasia — zdejmował z piwnic, składzików, strychów i mieszkań. Rozbierał je, obznajmiał chłopca z mechanizmem, cuhaltami. Pokazywał, które kłódki można otwierać szpilardem, które trzeba zrywać lub skręcać szabrem, które rozpruwać meslem, które przecinać nożycami. Uczył pracy szabrem — uniwersalnym narzędziem włamywacza. Nauczył operowania wytrychami, kupując nieraz — specjalnie w tym celu na rynku stare wewnętrzne zamki do drzwi. Tłumaczył wygląd i stosowanie różnych narzędzi złodziejskich. Klasyfikował mu poszczególne rodzaje robót i systemy ich wykonania. Wymieniał kategorie przestępców i sposoby ich działań. Nawet z techniką okradania kas ogniotrwałych teoretycznie ucznia swego zapoznał.

Jaś zgłębiał chętnie wiedzę złodziejską. A ponieważ nie ma drukowanej taktyki, techniki, etyki, prawa i historii złodziejstwa, poznawał je w krótkich zarysach ze słów, przykładów i wyjaśnień swego mistrza.

Baran zawsze małomówny, z Jasiem gadał wie-

le i rzeczowo. Umiał inteligentnie wytłumaczyć dość zawiłe sprawy i całe swe doświadczenie przekazywał chętnie uczniowi. Nie specjalizował go teoretycznie w jednej gałęzi — uczył wszystkiego, a jednocześnie brał go na roboty, kiedy chłopiec był mu potrzebny i kiedy uważał, że Jaś na tym skorzysta.

Dziwnym było jego przywiązanie do chłopca. Sądzę, że w dużej mierze powstało ono z powodu nieszczęśliwego pożycia z Paulinką, która dla Olka była zła, opryskliwa, kapryśna. Więc Baran znajdował odskocznię w wódce, kradzieżach i obcowaniu z miłym dobrym chłopcem.

Od tego czasu jak do Mińska weszli Niemcy, dla złodziejów rozpoczęła się nowa era. Zmiana władzy wytworzyła pewien chaos i dezorientację, które złodzieje skwapliwie wykorzystywali. Szczególnie dobre pole do popisu otworzyło się przed aferzystami. Jaś względnie prędko poznał wiele odrębnych rodzajów robót i szczególnego smaku nabrał do afer. Kradł śmiało i sprytnie, lecz kradzieże nie dawały mu zadowolenia; natomiast każda sprytnie przeprowadzona afera — swoja lub cudza — przy której przeważnie wykorzystywano chciwość ludzką — rzadziej głupotę — cieszyła go ogromnie.

Znając rynek, zaczął pracować tam samodzielnie, jako tufciarz. Z biegiem czasu poznał kilku innych tufciarzy i farmazonów. Wówczas najczęściej pracował do spółki z innymi magikami tego rodzaju. Był bardzo inteligentny i pomysłowy, więc zaczął sam wynajdować różne sposoby o-

szustw. Lecz żadnego nie wyeksploatował należycie, a wciąż się przerzucał na inne roboty. Pracował nie tyle dla zysku, ile „dla sportu”! Choć zazwyczaj pospolici złodzieje uparcie się trzymają jednego rodzaju afer lub kradzieży.

Jaś, chodząc po Trojeckiej Górze, w dniu targowym, uważnie obserwował otoczenie. Rynek był duży, zatłoczony wozami. Jaś niósł pod pachą, zawinięte w żółty, gruby papier dwa duże płyty dobrej skóry na podeszwy. Podobną paczkę, tak samo opakowaną miał pod połą jesionki. Lecz tam była nie skóra, a gruba tektura. Taki sam ciężar, kształt i elastyczność. W pobliżu Jasia kręcił się Małysz — współnik; zawodowy tufciarz i farmazon. Małysz obnosił po rynku złoty pierścionek. Lipa nie złoto. Lecz na wygląd wszystko w porządku.

Do Jasia zbliża się chłop. Z wyglądu zamożny.

— Sprzedajesz podeszwy?

— Sprzedaję.

Jaś rozwija papier i pokazuje chłopu towar. Tamten z kwaśną miną, zgina skórę, próbuje paznokciem i chociaż towar jest pierwszorzędny, krytykuje:

— Rzadka... Na miesiąc nie wystarczy... W wodzie, jak flak będzie.

Jaś bierze podeszwy i zawija w papier.

— Nie podoba się, nie kupuj!

Lecz chłop pyta o cenę. Wie, że towar dobry, lecz chce kupić jak najtaniej.

— Za wszystko 1.200 rubli — mówi Jaś.

— Dam 500.

— I za 1000 nie oddam — odpowiada Jaś i rusza dalej przez tłum.

Do Jasia zbliża się Małysz. Zatrzymuje go. —
— Może jest skóra na podeszwy? — pyta Małysz Jasia.

— Jest.

Jaś znów rozwija z papieru skórę. Małysz ogląda towar. Chłop zbliża się niespokojnie ku nim i nasłuchuje.

— Wiele chcesz za wszystko? — pyta Małysz. Mnie do warsztatu trzeba.

— Ostateczna cena 1.100 — mówi Jaś.

— Dam 1000 — mówi Małysz.

— Ani rubla mniej — odpowiada Jaś.

Małysz niezdecydowanie oddala się. Wówczas chłop się zbliża do Jasia i pyta.

— Za ile oddasz?

— 1.100.

— Dam 1.050. Dobra cena... No?...

Jaś rozwija skórę z papieru i prezentuje ją:

— Ale zobacz jaki towar! Takiego nigdzie nie znajdziesz. Chłop znów ogląda skórę i powtarza:

— Dam 1.050.

— 1.100... Taniej nie oddam — odpowiada Jaś i znów owija skórę w papier. Bierze ją pod jesionkę. Natomiast wydobywa na wierzch paczkę z tekturą. Chłop go zatrzymuje.

— No dawaj!

Jaś bierze pieniądze, oddaje chłopu paczkę tektury i odchodzi. Potem z dala obserwuje swego kupca. Tamten idzie do wozu chowa paczkę do worka i wsadza pod siedzenie. Zostawia wóz na opiece kobiety — pewnie żony — i znów idzie na rynek.

...Dopiero w domu się spostrzeże — myśli Jaś i idzie szukać Małysza.

Pomógł Małyszowi sprzedać trzy „złote” pierścionki i parę obrączek. Pomoc jego polegała na podbijaniu ceny, gdy Małyszowi nadarzał się kupiec. W ten sposób sprzedawano srebrny pozłacany pierścionek, albo ze złota „double”, wartości 50 rubli, za 500-1000 rubli, albo i więcej — zależnie od okoliczności.

Po sprzedaniu towaru Małysz i Jaś podzielili między siebie zysk z dzisiejszej pracy.

Idąc na rynek Jaś ubierał się zawsze nieco inaczej niż zwykle. Wkładał kapelusz, chociaż zwykle chodził w cyklistówce i zawsze nosił okulary w rogowej oprawie, w których były zwykle szkła. Na rynkach uważał, aby nie spotkać klienta z poprzednich transakcji. Gdy rynki były bardzo wyeksploatowane przerzucił się na ulicę, na przedmieścia, w pobliże dworców. Zawsze się znalazła jakaś kombinacja, przy której się zarabiano na głupocie, naiwności, a najczęściej na chciwości ludzkiej. Jednocześnie Jaś pracował z Baranem i coraz więcej wchodził w świat przestępczy.

Materialnie powodziło się Jasiowi coraz lepiej. Biedy w domu nie było. Jaś dobrze się ubrał, wyładniał, ruchy jego zrobiły się zdecydowane, celowe; spojrzenie śmiałe. Poczul się człowiekiem, który da sobie radę w każdej sytuacji. Romans jego z Łobową trwał dalej. Jasiowi nerwowa, kapryśna, władcza kochanka nie podobała się. Łobowa traktowała go nadal jak smarkacza, którego trzeba uczyć żyć i kochać. Jaś poczul się człowiekiem samodzielnym i pobłażliwe traktowanie go przez kobietę obrażało go. Poza tym wstydzil się wspomnienia o pierwszym swym doświadczeniu erotycznym, kiedy to był tak głupi i bojaźliwy.

Pobłażliwość Marusi zdawała mu się lekceważeniem go jako... mężczyzny.

Jaś zaczął opuszczać lekcje i rzadziej odwiedzał Marusię. Coraz więcej spoglądał na inne kobiety; coraz mniej interesowała go Łobowa. Postanowił nawet przestać do niej chodzić. Lecz mijało kilka dni i zwykły pociąg zmysłowy znów rzucał go w jej objęcia. Uważał to za słabość. Znów przyrzekał sobie, że skończy z tym na zawsze i znów przetrzymywał pewien czas do następnego upadku. Zaczęła narastać w nim niechęć do tej kobiety— jako przyczyny jego „klęski”, lecz zmysły znów pędziły go jak niewolnika, kurczącego się ze wstydu, przed samym sobą, w ramiona Marusi. Był z nią coraz więcej szorstki, lekcewał jej pieszczoty i tkliwostki, i starał się jak najprędzej, ją opuścić po zaspokojeniu swych zmysłów.

W początkach ich romansu Marusia myślała, że Jaś w niej się kocha. Uważała, że ma w ręku niedoświadczonego chłopaka i że potrafi kierować nim, jak zechce. Później spostrzegła, że Jaś jej unika, że nie lubi jej pocałunków. Zrozumiała wreszcie, że służy mu tylko do zaspokojenia rozbudzonych przez nią zmysłów. Natomiast poczuła, że sama naprawdę do niego się przywiązała. Nie było w tym elementów prawdziwej miłości; raczej była to miłość dla siebie... obrażona nieco, że nie może utrzymać w garści tak niedoświadczonego partnera. Mimo to zgrabny, silny, ładny chłopiec, coraz więcej opanowywał jej myśli i trudno było jej się pogodzić z jego obojętnością. Pewnego razu Marusia zapytała Jasia:

— Czy ty kochasz mnie?

Jaś, zaskoczony tym pytaniem, milczał.

— No, mów! nalegała kobieta.

— Tak... — niezdecydowanie odrzekł Jaś.

— Tak, tak — przedrzeźniała go Marusia. — „Tak”, to i kaczką powie. Ty powiedz szczerze...

— Ja nie wiem — odparł Jaś.

— Czemu nie wiesz?

— Nie wiem czy kocham i w ogóle co to znaczy, ta miłość.

— Miłość to to, że wolisz mnie więcej niż inne kobiety... Że myślisz wciąż o mnie, że tęsknisz za mną... No, rozumiesz?

— Rozumiem.

— No, więc...

— Więc ja ciebie nie kocham — rzekł szczerze i spokojnie Jaś.

— Ta — ak!... Ach ty podły! podły! podły! Ja ciebie uczę, ja dla ciebie dobra, ja ci się cała oddałam, a ty taki!

Marusia się zarumieniła. W oczach jej zapaliły się błyski złości.

— Ty sama tak chciałaś. Ja ciebie nie prosilem... Robiłaś co chciałaś, a ja byłem ci posłuszny — rzekł Jaś spokojnie.

— To poszedł precz, durniu jeden! — krzyknęła Marusia.

Jaś spokojnie wstał z miejsca i wyszedł, mówiąc „do widzenia”. Był zupełnie spokojny. Czuł, że ma rację. Udawać miłość dla Marusi było mu wstrętne. W ogóle brzydził się kłamstwem, powstającym z tchórzostwa lub wyrachowania.

W kilka dni potem, w niedzielę, Jaś spotkał Marusię na ulicy w pobliżu domu. Spotkanie to nie było przypadkowe. Marusia spostrzegła, że Jaś wybiera się do miasta i że przedtem wstąpił do

montera, więc wyszła pierwsza na ulicę i poszła mu naprzeciw.

— Dzień dobry — grzecznie pozdrowił ją Jaś.

— Dzień dobry — wesoło przywitała go Marusia. — Może odprowadzisz mnie do kina.

— Dobrze — chętnie się zgodził Jaś.

W drodze wesoło rozmawiali. Marusia była w szczególnie dobrym humorze: wesoła, dowcipna, miła. Jasiowi to się podobało i jeśli początkowo zachowywał się w stosunku do niej z pewną rezerwą, to wnet zmiękł i stał się również wesoły i swawolny. Było mu teraz z nią bardzo przyjemnie. Po prostu nie poznawał zawsze tyranizującej i traktującej go z góry kobiety.

Łobowa zrozumiała, że musi zmienić swój stosunek do Jasia. Zorientowała się, że dobrocią raczej może go utrzymać przy sobie. A zależało jej na swym kochanku bardzo. Poza tym, że była zmysłowa, przeżywała z Jasiem nową młodość. Zrozumiała to dopiero wówczas, gdy Jaś na pewien czas od niej się oddalił.

Romans ich trwał w dalszym ciągu, lecz teraz Jaś, pomimo swej woli, grał w nim pierwszą rolę. Nie narzucał jej swej woli, lecz ona sama stała się dla niego miękka, delikatna i starała się, jak umiała, by mu się podobać.

Pewnego dnia Olka Barana odwiedził Filip Łysy. Mało kto ze świata złodziejskiego wiedział, gdzie mieszka Olek Mongoł. Mongoł, było to przewisko Barana, dane mu zapewne z powodu nieco skośnych oczu i wystających kości policzkowych. Filip Łysy należał do niewielu zawodowych prze-

stępców Mińska, z którymi Baran obcował jak z równymi sobie. U złodziejów ta hierarchia ustala się według sprytu, doświadczenia, a przede wszystkim „charakteru”. Jest u nich nawet szczególny wyraz „charakterny” i np. „charakterny chłopak”. To znaczy pewny, śmiały, solidny jako kolega, nie krętacz, zawsze dotrzymujący słowa.

Barana Filip w domu nie zastał. Elegancko uklonił się Paulince.

— Moje uszanowanie madamie!

— Dzień dobry. Pan do Olka?

— Owszem. Osobisty, pierwszej klasy, interes handlowy mam do niego.

...Czyżby i ten złodziej! — pomyślała Paulinka, oglądając reprezentacyjną, wysoką postać Filipa, jego „extraelegancki” ubiór i maniery, oraz łysawą, trochę lśniącą, od kolejnej fantastycznej maści na porost włosów, czaszkę.

— Niech pan siada — rzekła uprzejmie Paulinka.

— Przedstawię się Pani — rzekł Filip uroczyście. — Jestem książę Rozumowski — uściśnął i pocałował dłoń Paulinki.

Kobieta, zaskoczona tytułem i elegancją Filipa dostała wypieków, a Filip wyglupiał się dalej. Wiedział od Olka, że kolega żyje z frajerką, więc uważał, że może puszczać dymy ile wlezie. Naturalnie nie przekroczyłby granicy, za którą bujanie przechodzi w uwodzenie „maruchy” kolegi. Był starym blatnym i szanował głęboko niepisane prawa i tradycje złodziejskie. Lecz czemu nie popyszczyć się przed ładną kobietą.

— Jestem trochę nieczasowy — rzekł Filip — ale chętnie pobędę w towarzystwie tak pięknej ko-

biety. Pewien zoolog powiedział tak: kobiety to kwiaty w raju Mahometa. Więc cóż może być milszego, jak towarzystwo ładnej róży. Wówczas człowiek za życia jest w raju.

Filip, który zawsze wydymał pogardliwie wargi i wciąż ziewał, a minę miał „rycynusową” — aby podnieść swą powagę i solidność blatniarską — Paulinką się rozkrochmalił. Był dowcipny, wesoty, „trajlował i bajzował” bez ustanku. Paulinka była zachwycona nowym znajomym. „Ot żeby mój Olek był taki. A to milczy jak pień, a oczy jak noże. Ale ten, to chyba nie złodziej!”

Po godzinie wrócił z miasta Baran, który wraz z Jasiem poszedł obejrzeć pewną robotę. Był to pomysł Jasia i jego samodzielna obserwacja. Przy ulicy Zacharzewskiej, naprzeciw Kwietnego Skweru, była duża mleczarnia. Sprzedawano tam sery, mleko, śmietaną. Ruch był spory i pod koniec dnia w kasie zbierało się dużo gotówki. Jaś przez dłuższy czas obserwował sklep i przyszedł do wniosku, że właściciele sklepu wieczorem pieniędzy z kasy nie zabierają. Jaś, starając się dobrze „wystawić” robotę zbadał dokładnie teren i znalazł nieduże żelazne drzwi, które prowadziły do sklepu z czarnego wejścia i mieściły się w ciemnym zakątku obok schodów. Z drzwi tych nie korzystano. Na skoblach ich wisiała zardzewiała kłódka, a od wewnątrz mogły być rygle lub haki. Z początku Jaś uważał, że dostanie się do sklepu przez tylne wejście jest niemożliwe, nawet po zdjęciu kłódki i odemknięciu wytrychem zamku. Kołował jednak wciąż w pobliżu sklepu, kombinując — jak wyrobić „pajak”. Nęciła go gotówka, dopingowała chęć samodzielnego uplanowania solidnej roboty.

Wreszcie pewnego dnia przyszedł mu do głowy taki pomysł. Dostrzegł, że codziennie z rana przed mleczarnią zajeżdża kryty wóz i z niego wyładowuje się skrzynie z masłem i serami, bańki z mlekiem. Większą część towaru znoszono przez sklep do małego pokoju w głębi, do którego właśnie prowadziły żelazne drzwi.

Jaś spostrzegł, że towar wyładowują nie tylko furman i robotnik, którzy przyjeżdżają wozem, lecz i męski personel sklepowy, prócz samego właściciela. A pracowało w sklepie dwóch dorosłych mężczyzn, dwie kobiety i jeden młody chłopiec. Więc zwykle wyładowywało towar od trzech do pięciu mężczyzn. Jaś pomyślał: „Jeśli wezmę z wozu jedną skrzynkę z masłem i poniosę do sklepu, to ci z wozu będą myśleli, że jestem ze sklepu, a w sklepie pomyślą, że przywiozłem towar i pomagam im. W razie nieporozumienia powiem, że chciałem im dopomóc”.

Z początku Jaś zamierzał wnieść skrzynkę do narożnego pokoju za sklepem i tam się schować, odemknąwszy przedtem kłódkę i zamek z zewnątrz, a wieczorem po zamknięciu sklepu robotę wykonać i wyjść tylnymi drzwiami... Lecz plan ten po namyśle odrzucił. Mogło być niełatwe ukrycie się w sklepie. Mogli wykryć jego obecność tam. Wreszcie daleko prościej było tylko odemknąć drzwi z wewnątrz, a wieczorem, po zamknięciu sklepu, odemknąć drzwi z zewnątrz i wejść do sklepu.

W kilka dni potem Jaś dostrzegł, że przywieziono towar. Wóz zatrzymał się przed sklepem i zaczęto wyładowywać towar. Ponieważ w sklepie było dużo kupujących, do pomocy furmanom wyszedł tylko jeden subiekt. Jaś zdjął z głowy cykli-

stówkę i wsadził do kieszeni. Wszedł do sklepu. Następnie, gdy subiekt i furman wzięli z ulicy dużą skrzynię, Jaś, bez czapki, wyszedł ze sklepu na ulicę, wziął na barki mniejszą skrzynię i poszedł do sklepu. Subiekt i furman wychodzili z pokoiku, gdy Jaś tam wszedł. Postawił skrzynię na jakiejś półce i pośpiesznie wyjął latarkę. Przy jej świetle, z lewa, w tylnej ścianie pokoju zobaczył żelazne drzwi. Były zamknięte na dużą zasuwę i dwa haki. Jaś prędko skoczył ku nim. Zasuwa ustąpiła łatwo. Natomiast jeden hak się zaciął i Jaś obu rękami ledwie mógł go odemknąć. Trochę zdenerwowany wyszedł do sklepu i przeczekał między kupującymi, dopóki subiekt i furman nie weszli z ulicy, niosąc następną skrzynię. Wówczas Jaś włożył na głowę czapkę, wyszedł ze sklepu i pośpiesznie poszedł do swego mistrza.

Jaś zastał Barana w domu i opowiedział mu szczegółowo o robocie, którą samodzielnie opracował i przygotował do ostatecznego wykonania. Wreszcie zakończył:

— Musimy dziś wieczorem pójść tam i jak tylko zamkną sklep wejść od tyłu i zabrać pieniądze.

Baran w czasie opowiadania Jasia patrzył na niego nieco przymrużonymi oczami, a gdy chłopiec skończył, klepnął go dłonią po kolanie i rzekł poważnie z uznaniem:

— Z ciebie blatniak się wyrobił. Morus...

Jaś z zadowolenia dostał rumieńców. Wiedział, że mistrz jego nie jest prędko do pochwał i uznania Olka cenił bardzo. Wnet obaj poszli do miasta i Baran obejrzał robotę.

— Pietruwa duża, ale prosta, szpilardem się odemknie, a drzwi szpyrakiem. Robota klawa.

Postanowiono, że wieczorem mistrz i jego uczeń pójdą na robotę, a gdy sklep zamkna, Olek wpuści od tyłu Jasia i powiesi na drzwiach kłódkę, aby wszystko wyglądało normalnie. Robotę komplikowała ta okoliczność, że sklep miał duże okna wystawowe, a kasa znajdowała się z prawej strony sklepu tuż przy oknie, tak że z ulicy było doskonale widać wszystko w sklepie.

— Trzeba wziąć jeszcze jednego chłopaka, a jak będziesz w środku, staniemy przed oknem i utniemy pogaduszkę — zdecydował Baran.

Odwiedziny Filipa były Baranowi na rękę. Olek zapoznał z nim Jasia i zaproponował pójście dzisiaj na robotę. Filip wściekle ziewając i co chwila wydymając pogardliwie wargi, oglądał Jasia, którego to bardzo krępowało. Na robotę zgodził się bardzo chętnie. A sam przyszedł do Barana z propozycją wyrobienia pająka przy ulicy Piotropawłowskiej.

— Można robić „na kabar”. Trzech ludzi trzeba.

— No tak trójką i pójdziemy — rzekł Baran.

— Młody jeszcze — Filip miał na myśli Jasia.

— To nic — odparł Baran. — Dawno ze mną chodzi. Chłopak charakterny. Na robocie się zna.

Filip wydał wargi i skinął głową na znak zgody. Dopiero teraz Jaś się poczuł naprawdę fachowym złodziejem. I było mu to przyjemne.

XIII.

LOMEM, WYTRYCHEM I BOREM...

Filip elegancki, solidny, nieco znudzony spacerował ulicą w pobliżu mleczarni. Wydymając wargi pogardliwie, oglądał mijających go przechodniów. Kobietom przyglądał się z wielkim zainteresowaniem. Ot, taki sobie bogaty starszy pan, który wyszedł na spacer.

Olek Baran i Jaś siedzieli na ławeczce na skwerze. Stąd było dobrze widać drzwi sklepu. Nie rozmawiali ze sobą. Czekali.

Nadeszła godzina 6-ta. W kilka minut potem sklep opuścili wszyscy klienci, a nieco później personel. Właściciel sklepu z żoną wyszedł ostatni. Zamknął jedne drzwi, drugie, potem ściągnął w dół karbowaną żelazną żaluzję i ją również zamknął, komicznie przy tym kucając na chodniku.

Jaś obserwował wychodzących ze sklepu ludzi. Poznał wszystkich. W sklepie nikt nie pozostał. Chłopiec wstał i poszedł aleją, potem przeciął ulicę i skierował się chodnikiem ku bramie domu. Miął Filipa i wstąpił do bramy. Baran szedł za nim.

W klatce schodowej było cicho i mroczno. Ba-

ran przez pewien czas nasłuchiwał, potem wytrychem zaczął odmykać zamek. Poszło to niełatwo, bo drzwi chwyciła rdza. Wreszcie przerzucił dwa razy ciężko ustępujący rygiel zamka. Wówczas szpilardem odemknął łatwo kłódkę i zdjął ją ze skobli.

Ciężkie, żelazne drzwi, skrzypiąc w zawiasach, powoli ustąpiły. Jaś zaświeceł latarkę i wślizgnął się do ciemnego pokoiku. Baran przymknął za nim drzwi i znów zawiesił kłódkę na skoblach. Zamknął ją i wyszedł na ulicę. Przed sklepem, niby przypadkiem, spotkał się z Filipem. Uścisnęli sobie dłonie i stanęli naprzeciw okna wystawowego mleczarni. Prowadząc rozmowę osłaniali sobą wnętrze sklepu. Wyglądali przyzwoicie i solidnie. Upływały minuty, a Jaś do kasy się nie zbliżał. Barana to niepokoiło. Zerkał z ukosa do wnętrza sklepu i nie dostrzegł tam chłopca.

— Czyżby „zdrefił?” — myślał Olek.

Tymczasem Jaś napotkał na nieprzewidzianą przeszkodę. Drzwi prowadzące z małego pokoiku za sklepem były zamknięte. Jaś spróbował wyłamać je szabrem, lecz były tak wpuszczone do framugi, że trudno było założyć pazur szabra od zewnątrz, aby wyrwać zawiasy, lub wygiąć rygiel. Jaś coraz więcej się denerwował. Bał się niepowodzenia i ewentualnej nagany kolegów, jeśli nie potrafi dobrze wykonać roboty. Świecąc latarką zaczął uważnie badać. Wreszcie przypomniał sobie — co Baran mówił mu o filongach w drzwiach. Ze są to najsłabsze miejsca i łatwo można je wyciąć, a czasem nawet wypchnąć kolanem lub rękami. W tych drzwiach również były filongi. Jaś wyjął nóż i zaczął nacinać głęboko wklęsłą, podłużną część

filonga. Wnet utworzył długą, wąską szparę. Aby przyspieszyć robotę — hałasu się nie obawiał — włożył w szparę pazur szabra i jednym ruchem wyłamał z filongu spory kawał deski. Resztę filonga usunął łatwo i przez kwadratowy otwór wlaźł do sklepu. Drzwi były zamknięte na rygiel i na zamek. Jaś nie trudził się otwieraniem ich. Wystarczał mu filong.

Jaś zobaczył stojących przy oknie na ulicy Barana i Filipa. Za nimi od czasu do czasu przechodzili ludzie. Jaś prędko zbliżył się do kasy. Był to wysoki drewniany stolik z pochyłym górnym blatem i dwiema szufladami niżej. Szuflady i górna skrzynka były zamknięte.

Baran z ulicy dostrzegł natychmiast zjawienie się Jasia w sklepie i wyciągnął z kieszeni gazetę. Koledzy na zewnątrz ustawili się w ten sposób, aby jak najlepiej osłaniać wnętrze sklepu i kasę, stanowiącą dalszy ciąg lady. Przeglądali gazetę, gestykulowali, coś w niej komentowali. Wyglądali na dwóch solidnych obywateli: bogatego pana i majstra stolarskiego lub ślusarskiego, którzy się porozumiewają w sprawie handlowej lub budowlanej.

Jaś prędko wyłamał szabrem zamek górnej szuflady i wyciągnął ją. Były tam książki handlowe, papiery, rachunki i kaseta z drobnymi pieniędzmi. Następnie wyciągnął dolne szuflady. Dopiero tam ujrzał grube pliki banknotów, ułożone w paczki i oklejone paskami papieru, z wypisanymi na nich cyframi, wskazującym, jaka suma pieniędzy jest w paczce. Jaś wyjął szuflady na ziemię, kucnął przy nich i zaczął wkładać pliki banknotów do przyniesionej ze sobą torby podróżnej. Potem

obejrzał dokładnie, lecz prędko kasę, zamknął górny dekel — aby z zewnątrz nie było widać śladów włamania. Wyjęte szuflady wsunął pod ladę i wyszedł ze sklepu do ciemnego pokoju. Tam wyjął ze skrzyń kilka kwadratowych, opakowanych w cynfolię serów i kilka tafli nasła. Zrobił z tego osobną, dość ciężką przkę. Stał przy drzwiach na tylne schody i czekał. Niedługo potem posłyszał z zewnątrz pukanie do drzwi — kilka razy po dwa z rzędu. Odezwał się tak samo. Drzwi wnet otworzono i Jaś wyszedł na czarne schody. Baran znów zamknął drzwi i zawiesił na miejsce kłódkę. Nawet zamknął ją. W ten sposób, ani z ulicy, ani z podwórza nie można było dostrzec śladów włamania się złodziejów.

Baran wziął od Jasia ciężką paczkę z serami i masłem i kazał po chwili wyjść i udać się z pieniędzmi do domu. Sam wyszedł na ulicę. Wraz z Filipem wsiadł do dorożki i pojechał na Złotą Górkę. Dorożkarza zwolnił przy ulicy Dołgobrodzkiej i poszli pieszo do domu. Jaś zjawił się w dzieście minut później.

Paulinka coś pitrasila w kuchence. Olek zamknął na haczyk drzwi do jej pokoju i Jaś uroczyście wysypał na podłogę pieniądze.

— Zlicz to i podziel na trzy „doli” — rzekł do niego Baran.

Jaś nie rozrywając paczek dość prędko zliczył pieniądze, a potem rozdzielił wszystko na trzy części. Na dolę każdemu wypadła spora kwota i Jasia rozpierała radość i duma, że tak dobrze się spisał. Opowiedział szczegółowo: jak pracował wewnątrz. Baran milczał. Filip pogardliwie wydymał wargi, lecz, gdy Jaś skończył, rzekł poważnie:

Trzeba to zakropić... Na fart... Ja funduję... A na kabar *) można go wziąć... Nadaje się — i uroczyście ziewnął.

Przy ulicy Pietropawłowskiej był sklep, w którym sprzedawano towary galanteryjne i kosmetyczne. Można było tu nabyć wiele rzeczy: pończochy, skarpetki, szelki, portfele, latarki, perfumy, puder, karty do gry, zabawki dla dzieci, bieliznę. Filip specjalnie tym sklepem się zainteresował. Kupował papierosy, zapalki, a jednocześnie bawczo wszystko oglądał. Wreszcie postanowił robić „pajak”. Na współnika zaprosił Barana. Ponieważ do roboty potrzeba było trzech ludzi, zdecydowano wziąć i Jasia, który dobrze się spisał na poprzedniej robocie.

W sobotę wieczorem Jaś i Baran udali się z nadejściem zmierzchu do miasta. Spotkali się z Filipem na Pietropawłowskiej. Złodziej był ubrany w roboczy kostium. Miał pod pachą starą teczkę i duży parasol. W teczce były narzędzia do roboty: korba, bory, piłka, szaber, linka i sznury.

Zapadł dość ciemny wieczór. Filip i Baran z podwórka wleźli na śmietnik, stamtąd na daszek niskiej przybudówki. Po cichu wyłamali dwie deski, prowadzące na strych parterowego budynku, w którym się mieścił sklep.

Robota była trudna. Dziedzińcem i chodnikiem — tuż przed sklepem, wciąż szli ludzie. Hałas na strychu łatwo mógł być dosłyszany, a praca była skomplikowana. Dla zwiększenia bezpieczeństwa Jaś został na zewnątrz. Miał w kieszeni sporo

*) Kabar — włamanie się przez ścianę, podłogę lub sufit.

drobnych kamyków i nimi musiał dawać znajdującym się na strychu kolegom sygnały. Dach był kryty blachą, więc każde uderzenie kamyka było wyraźnie słyhać wewnątrz. Rzut jednym kamykiem był ostrzeżeniem, dwa kamyki, rzucone jeden po drugim oznaczały: można pracować dalej, Gdyby niebezpieczeństwo było poważne, Jaś miał gwizdnąć na palcach.

Chłopiec chodził ulicą przed sklepem. Wstępował na podwórze. Szedł do wygódki i stamtąd bacznie obserwował wszystko. W pewnej chwili posłyszał ma strychu dość wyraźne zgrzyty piły. Rzucił na dach kamyk. Zgrzyty ustały. Jaś po chwili rzucił dwa kamyki i znów uważnie nasłuchiwał. Po pewnej chwili uszu jego doleciał niewyraźny szmer boru. Uważał, że tego nikt nie posłyszy, więc nie alarmował kolegów.

Filip i Baran oczyścili na strychu sporą przestrzeń, usuwając na boki piasek, którym była okryta pierwsza warstwa desek. Następnie zaczęli borem wiercić dziury w poprzek desek. Gdy wywiercili kilkanaście dziur, o centymetr odległości jedna od drugiej, zaczęli przecinać piłą przestrzeń między nimi. Stąd powstał hałas, który Jaś zlikwidował rzuceniem kamyka na dach. Koledzy zaprzestali pracy. Wnet posłyszeli uderzenia dwóch następnych kamyków i zrozumieli, że „świeca” ich uprzedza, że zbyt hałasują. Odłożyli na bok piłę i przecinali drzewo między dziurami nożem lub przerywali szabrem.

Gdy zdjęli wreszcie górną warstwę desek, ukazał się czworokątny otwór. Miał średnicy przeszło jeden metr. Pod deskami była zbita warstwa mehu i gliny. Koledzy usunęli ją szabrem i wyrzucili

wszystko na strych. Ukazały się deski, stanowiące właściwy sufit.

Filip wywiercił pośrodku tego kwadratu cztery dziury. Prawie się łączyły brzegami. Wyciął przestrzeń między nimi nożem i wyjął czworokątny kawał deski, z którego tynk odpadł, powodując w sklepie spory hałas. Jaś znów ostrzegł ich, rzucając na dach kamyk.

Następnie koledzy wsunęli przez dziurę do sklepu parasol, który potem, kręcąc rączką, otworzyli. Do kilku końców żeber parasola były przywiązane mocne lecz cienkie sznurki. Miały ochronić parasol od wywrócenia się w dół, jeśli z sufitu spadnie do niego zbyt wiele gruzu. Parasola użyto w tym celu, aby spadający tynk nie tłukł szkła w gablotkach, na ladach i nie sprawiał hałasu.

Powtórzono robotę z wycinaniem drugiej warstwy desek. Teraz otwór był o wiele mniejszy, lecz człowiek mógł łatwo spuścić się przez niego do sklepu. Koledzy ooczyścili z gruzu, gliny i piasku brzegi otworu i Baran się spuścił po linie do sklepu. Tam powoli poosłaniał dokładnie dużymi arkuszami tektury okna i drzwi — żeby ani jeden promyk światła nie przedostał się na zewnątrz... Zrobili to raczej przez ostrożność, bo drzwi i okna osłaniały od góry do dołu żelazne żaluzje. Lecz koledzy zamierzali pracować przy świetle — aby porządnie spakować towar, a najmniejsza, niezauważona szparka mogła ich zdradzić. Gdy okna i drzwi były dobrze osłonięte, Filip rozsunał deski na strychu i po cichu kazał Jasiowi zobaczyć z ulicy, czy nie widać światła. Chłopak wkrótce wrócił i powiedział, że w sklepie zupełnie ciemno. Filip kazał mu wleźć na strych. Potem zesunął deski

i obaj przez otwór w suficie spuścili się po lince do sklepu. Tam było jasno. Baran zapalił kilka świec i przy ich świetle segregował towar.

Układano na podłodze w osobne stosy poszczególne rodzaje towarów. Wyrzucano go z pudełek, aby zajmował mniej miejsca. To była praca Jasia i Barana. Filip pakował towar w podłużne, wygodne do wydostania na strych paczki. Papieru i sznurków do pakowania w sklepie było dużo, więc Filip go nie oszczędzał.

Koledzy nie śpieszyli. Mieli czasu dość. Zaczęli robotę w sobotę wieczór, ponieważ sklepy w niedzielę są zamknięte, a zamierzali zabrać towar w niedzielę wieczorem.

Po kilku godzinach pracy wszystko było skończone. Spakowano w kilkanaście paczek najlepszy towar. W sklepie pozostawiono tylko małowartościowe, a zajmujące dużo miejsca rzeczy, na przykład: tekturę, pakowy papier, zeszyty, dziecinne zabawki, różne drobiazgi ze szkła itd.

Przed świtem koledzy wydostali się ze sklepu. Paczki towarów wyjęli przez wyłom w suficie na strych i złożyli je obok rozluzowanych desek ze strychu na daszek przybudówki. Umówili się, że Jaś i Baran przyjadą, gdy zapadnie zmierzch dorożką Stasia. Filip miał czekać na nich na ulicy.

Panowie złodzieje poszli do domów na dobrze zasłużony wypoczynek.

Nazajutrz wieczorem Jaś i Baran przyjechali dorożką na ulicę Pietropawłowską. Staś zatrzymał konia przy pobliskiej bramie i zszedł z kozła. Tu miał czekać na towar.

Filip wlaź na daszek, a stamtąd na strych. Paczki towaru rzucał po prostu na dziedziniec, a

Olek i Jaś zbierali je i wynosili na ulicę. Wkrótce dobrze naładowana dorożka wraz z Baranem, odjechała z ulicy Pietropawłowskiej. Jaś i Filip poszli do pasera na piechotkę.

Robotę znalazła Chinka. Była to jedna z najlepszych nadawczyń. Dziewczyna kiedyś sama pracowała w „szopenfeldzie” *). Potem, po wysypie kochanka, zaczęła pracować jako nadawczyni. Utrzymywała kontakt tylko z najlepszymi złodziejami — kolegami dawnego kochanka.

Chinka była bardzo sprytna i ostrożna. Zwykle postępowała w ten sposób, że angażowała się jako służąca do bogatych domów. Pracowała tam przez pewien czas, a gdy wiedziała wszystko w najdrobniejszych szczegółach, pod jakimś pretekstem, np.: choroba matki na wsi, lub wyjście za mąż, porzucała pracę. Jednak nie nadawała roboty od razu, a wyczekiwała pewien czas, aby nie skojarzono kradzieży z jej odejściem ze służby. Dopiero później porozumiewała z firmowymi złodziejami, nadając robotę, a czasem nawet biorąc w niej udział, jako „świeca”. Jej najłatwiej było dać „cynk” w razie powrotu kogoś z właścicieli mieszkania, bo znała wszystkich z twarzy. Za nadanie roboty Chinka otrzymywała zwykle 20 % zysku z kradzieży.

Gdy robota, o której tu mowa, dojrzała do wykonania, Chinka porozumiała się z Baranem. Poszli razem na ulicę Sadową i dziewczyna wskazała Baranowi, gdzie się znajduje mieszkanie.

*) Kradzież sklepowa w czasie kupowania.

Objasniła szczegółowo rozkład pokojów i udzieliła najobszerniejszych informacji, co do trybu życia gospodarzy mieszkania.

Dane były następujące. Przy ulicy Sadowej, w domu położonym z dala od ulicy, w głębi dziedzińca, zamieszkało młode małżeństwo. Byli to zamożni Żydzi. Żona była córką właściciela dużego składu towarów żelaznych, mąż był współwłaścicielem kantoru wymiany, a w czasie wojny zarobił dużo na dostawach do wojska. Poza tym był znanym w Mińsku czarnogiełdziarzem. Zbyt wielkich łupów nie spodziewano się, bo gotówki w domu nie trzymano, zresztą pieniądze były stale w ruchu. Natomiast posiadali dużo luksusowych rzeczy: futer, ubrań, bielizny, naczyń.

Baran, Kazik Morecki i Jaś, po dłuższej naradzie, postanowili wyrobić pracę nocą, gdy właściciele mieszkania będą w domu. Zaważyła na tym ta okoliczność, że frajery mieli przy sobie biżuterię i gotówkę. Kazik Morecki zaproponował przyjście na grandę. Lecz Baran to odrzucił. Nie lubił napadów rabunkowych. Na grandę szedł bardzo rzadko. Uważał, że z grandy najłatwiej się wsypać i że odpowiedzialność jest zbyt duża. Jak na czasy wojenne — kara śmierci. Poza tym uważał, że wykwalifikowany złodziej nie powinien się puszczać na robotę prymitywną, nie wymagającą zasobu wiedzy i sprawności fachowej. Przyjęto zgodnie plan Barana i złodzieje się rozeszli.

W najbliższą niedzielę, wieczorem, Jaś i Kazik Morecki spacerowali chodnikiem po ulicy Sadowej. Baran chodził po drugiej stronie ulicy, prowadząc pod rękę przebraną nie do poznania Chinke. Miły ten spacer trwał dość długo, aż wresz-

cie Chinka powiedziała cicho: „Idą!” i zawróciła w tył. Wkrótce wyminęli ich idący pod rękę młoda Żydówka i Żyd. Baran znał język żydowski i idąc z tyłu przez pewien czas podsłuchiwał ich rozmowę, którą prowadzili w języku rosyjskim, szczerze przeplatając go zwrotami żydowskimi. Na rogu ulicy Zacharzewskiej Baran pożegnał Chinkę i poszedł do kolegów.

Było wiadome, że służąca w niedzielę po obiedzie ma wychodne do poniedziałku rano. Jednak Kazik poszedł do drzwi frontowych mieszkania i długo dzwonił. Naturalnie — co było do przewidzenia — nikt drzwi mu nie otworzył. Chinka poinformowała ich, że Żydzi zwykle w sobotę i w niedzielę wieczór szli do teatru „Renesans” na operetkę, albo do teatru Miejskiego. Czasem szli do krewnych i zwykle wracali dość późno. W tych warunkach okradzenie mieszkania było bardzo łatwe, lecz im zależało na „czystym” przeprowadzeniu roboty.

Olek i Jaś stanęli na werandzie mieszkania. Było ciemno. Wiatr szeleścił liśćmi drzew owocowych. Kazik został przy furtce, prowadzącej do sadu. Baran powoli wprowadzał w szparę lufcika cienką stalkę od czapki. Zaczął skośnie przesuwać ją w górę. Gdy się oparła o haczyk, na który był zamknięty lufcik, przycisnął nieco ramę i silnym ruchem stalki w górę odemknął haczyk. Lufcik był otwarty. Teraz łatwo było odkręcić antabę i otworzyć okno... Wleźli do stołowego pokoju. Drzwi do innych pokoi były pozamykane. Korzystając ze znanego mu rozkładu mieszkania, Baran odemknął wytrychem drzwi do sypialni. Dyskretnie rzucane przez palce, promienie latarki wry-

wały z ciemności szczegóły przeładowanej drogimi meblami i ozdobami sypialni.

— Ci to żyją! — mruknął Baran ni to z uznaniem, ni to ze złością.

Badano sypialnię dlatego, że Jaś i Baran chcieli znaleźć w niej odpowiednie do ukrycia się miejsce. Mówiła o tym Chinka. Wnet znaleziono obok zestawionych łóżek dużą wnękę w ścianie. Możliwe, że były tu kiedyś drzwi, a potem je zamurowano. Wnęka ta była z zewnątrz zawieszona dużą gęstą firanką. Za nią stały dwa kosze z wikliny i jakieś pudełko. Za koszami było tyle miejsca, że mógł stanąć, a nawet usiąść człowiek. Baran usunął na bok różne drobiazgi, które przy poruszeniu się mogły sprawić hałas. Potem Jaś wślizgnął się za kosze.

— Wygodnie ci? — spytał Baran.

— Tak.

— Bedziesz stąd widział cały pokój. Uważaj tylko, gdzie będą kłaść pieniądze i klucze. Masz spluwę.

Baran podał Jasiowi nabity rewolwer — Nagan. Potem zabrał od Jasia trzewiki. Następnie zamknięto okno i lufcik ze stołowego pokoju na werandę i drzwi prowadzące do sypialni. Obaj znaleźli się w zamkniętej sypialni. Wówczas Baran odemknął okno i wyszedł do sadu. Jaś zamknął zanim okno na antabę i przysunął do parapetu półkę z kwiatami. Teraz wszystko wyglądało, jak poprzednio.

Jaś pozostał sam. Miał za pasem rewolwer — na wypadek „szochru”. Cicho chodził w skarpetkach po sypialni i dyskretnie świecąc latarką oglądał ją. Szafy były pozamykane. Natomiast

szuflady toalety były otwarte. Zbadał je. Było tam sporo pudełek do biżuterii, niektóre były puste, w innych znajdowały się pierścionki i brosze. Jaś nic nie ruszył. Przejrzał na toalecie masę flakonów z perfumami i różnych toaletowych przyborów. W pewnej chwili przestraszony się cofnął. Potem półgłosem się roześmiał. To błysk latarki wyrwał z ciemności odbite w lustrze toalety jego oczy i twarz.

Godziny się wlokły. Jasia znużyło oczekiwanie. Dopiero około północy posłyszał z dala hałas otwieranych drzwi. Wślizgnął się więc za firankę i zajął swe miejsce za kozkami. Sprawdził, czy firanka dobrze zakrywa wnękę. Kucnął. Powstał. Jeszcze raz oświetlił latarką podłogę, aby przy poruszaniu się nie sprawić szmeru. Dotknął dłonią rączki rewolweru i czekał. Odczuwał lekkie podniecenie, lecz nie bał się wcale. Dodawała mu pewności siebie posiadana broń i świadomość, że koledzy są w pobliżu — w sadzie, w altance. Było umówione, że jeśli przypadkiem zostanie wykryta obecność Jasia w sypialni, to musi kazać obecnym podnieść ręce do góry i położyć się na podłodze twarzą w dół. Dopiero wówczas powinien był otworzyć okno do sadu i wpuścić kolegów. Strzelać nie wolno było. Chyba w ostatecznym wypadku — w obronie życia.

Uszu Jasia dochodził ze stołowego pokoju dźwięk naczyń.

...Pewnie jedzą kolację — pomyślał chłopiec.

Wreszcie rozległ się zgrzyt klucza w drzwiach sypialni. Potem pokój zalało łagodne światło wiszącej pod sufitem dużej lampy. Klosz jej był blado-żółty, baniasty. Jaś zobaczył dość tęgiego

Żyda, lat około 35 i młodą zupełnie Żydówkę, bardzo ładną i zgrabną. Miała nie więcej jak 17 lat. Żyd był widocznie podchmielony. Głupio żartował i poklepywał żonę, przeszkadzając jej.

— Daj mi spokój — rzekła wreszcie zirytowana.

— Po co spokój? Spokój będzie w łóżku — zarechotał małżonek, leniwie się rozbierając.

Jaś widział, że marynarkę powiesił na oparciu krzesła, spodnie położył na siedzeniu. Wyjął złoty zegarek z dużym masywnym łańcuszkiem. Nakręcił go i położył na nocnym stoliku. Tamże położył dwa pierścienie. Żona jego zdjęła bransoletkę, pierścienie i kolię. Położyła to wszystko na toalecie. Potem rozebrała się zupełnie i włożyła na gołe ciało szlafrok. Jaś ciekawie oglądał pięknie zbudowaną kobietę i przypomniały mu się tamte kobiety, które z wujem podglądał w łaźni.

Żydówka poszła do łaźienki. Wróciła po kwadransie. Usiadła do toalety i zaczęła układać włosy. Potem sypialnię wypełnił zapach wody kolońskiej. Wreszcie zrzuciła szlafrok i włożyła nocną koszulę.

— A ty nie będziesz się mył? — zapytała włączając pod kołdrę.

— Mężczyźni nie potrzebują tego tak wiele, jak kobiety. Woda dla kobiety, dla mężczyzny wódka — odparł małżonek, potem powiedział coś w żargonie, czego Jaś nie zrozumiał, i głośno się roześmiał.

— Jesteś głupi! — rzekła żona widocznie zirytowana.

Mąż przesunął się ze swego łóża na obok stojące łóżko żony i zaczął ją przeproszać i pieścić.

Żona odniosła się do tego bardzo niechętnie. W dalszym ciągu Jaś był świadkiem wstretnie wyglądających karesów i stosunku brzydkiego, otyłego, cuchnącego potem, mężczyzny z ładną, ulegającą jego zachciance, kobietą.

Było już daleko po północy, a małżeństwo jeszcze nie spało. Żona znów poszła do łazienki. Żyd wyszedł na chwilę do stołowego pokoju i przyniósł duże jabłko. Wrócił, pogwizdując jakąś arię z operetki. Rozłamał jabłko i zaczął jeść. Gdy żona wróciła, zaproponował jej drugą połowę.

— Daj mi wreszcie spać — odparła Żydówka, włączając do łóżka i szczelnie się otuliła kołdrą.

Mąż jeszcze pewien czas kręcił się w łóżku, potem wstał zgasił lampę pod sufitem i zapalił małą błękitną lampkę, umieszczoną na ścianie nad wezłowiec łóżek. Niedługo potem usnął. Prawie od razu zaczął odrażająco chrapać i zgrzytać zębami.

Jaś po cichu wyszedł ze swej kryjówki. Zbliżył się do toalety i zabrał z niej leżącą na blacie biżuterię, wysunął ostrożnie szuflady i pozabierał resztę biżuterii i pudełeczek. Potem wyjął portfel z marynarki, wiszącej na krześle i zrewidował wszystkie kieszenie. Znalazł w nich spory plik banknotów, ze spodni wyjął ostrożnie wiązkę kluczy. Potem wziął ze stolika przy łóżku złoty zegarek. Spojrzał na twarz Żyda, leżącego na wznak. Chrapał nadal, usta miał brzydko otwarte. Głowy Żydówki prawie nie dostrzegął, bo była otulona kołdrą.

Jaś powoli odemknął drzwi do stołowego pokoju. Zostawił je wpółotwarte. Kazik i Baran czekali już na werandzie. Pantofle zdjęli. Gdy Jaś odemknął im okno, wleźli po cichu do stołowego

pokoju. Kazik Morecki, którego specjalnością był „sznif”, poszedł z Jasiem do sypialni. Powoli, bez szmeru się posuwając — jakby pływając w błękitnym półmroku — otwierali szafy, komodę i zabierali z nich wszystkie wartościowsze rzeczy. Były tam drogie futra i ubrania, dużo luksusowej bielizny.

Tymczasem Olek Baran „porządkował” resztę mieszkania. Przede wszystkim kredens. Było tam sporo wartościowych serwisów i naczyń. Większość w ładnych kasetach i pudełkach. Stanowiły bogate prezenty ślubne.

Po godzinie czasu mieszkanie było ogołoczone ze wszystkich wartościowych rzeczy. Zrobiono kilka ciężkich paczek, które koledzy wynieśli na werandę. Sporo czasu zajęło im przeniesienie wszystkich łupów nad brzeg Świsłoczy. Potem po grobli koło starego młyna, na drugi brzeg rzeki. Tu się czuli już bezpiecznie. Dopiero nad ranem znaleźli się na melinie, przy ulicy Dołgobrodzkiej.

Jaś wykladał na stół z kieszeni pieniądze i biżuterię. Było tego sporo. Kazik zatarł ręce. Baran się chmurzył. W pewnej chwili rzekł do Jasia.

— Ty jesteś blatny, jak i my. Ale jesteś młody, to może nie wiesz, że blatny od blatnego nie może nie zatyryć (*). Takie jest nasze prawo.

Jaś dostał wypieków.

— Ależ możecie mnie zrewidować. Nie zostałem sobie nic. Chybabym nie znalazł!

Zaczął pośpiesznie wywracać kieszenie. Baran go zatrzymał ruchem ręki.

*) Schować.

Nie trzeba. Wiem, żeś chłopak charakterny. Tylko mówię ci, żebyś wiedział nasze prawo.

Pieniądze złodzieje podzielili na trzy części. Resztę rzeczy i biżuterię postanowili sprzedać. Załatwiono to dość prędko, bo na każdy rodzaj łupów mieli dość paserów. Wreszcie — po ostatecznym podziale — Jaś był w posiadaniu dużej sumy pieniędzy.

XIV.

JAS ZAPOZNAJE SWEGO MISTRZA Z RYCERSKIM OBYCZAJEM

W truszczenie Cypy późnym wieczorem bawiła się wesola kompania. Było to niedługo po ostatniej kradzieży, na której Jaś tak dobrze się spisał. Chłopiec fundował złodziejom i powiedziałbym, że było to oficjalne wprowadzenie go w świat przestępczy.

Obywatel „zalany w deskę” powstał z za stołu i zapukał kieliszkiem o szklankę. Złodzieje, którzy uważali go od dawna za swojego, a niektórzy nawet za blatnego, zwrócili się ku niemu. Nikt u nich mów, ani uroczystych toastów nie wygłaszał, więc byli zdziwieni frajerskim wybrykiem kompana. Obywatel, chwiejąc się nieco w tył i w przód, zaczął uroczyście:

— My, mniejszość moralna, występujemy publicznie i jako protest przeciwko zakłamaniu, piętnujemy normy etyczne, wygodne dla większości zbydlęconych w mieszczańskich koszarniakach miasta obywateli. Precz zakłamanie i obłuda! Trzeba śmiało patrzeć w kaprawe zezowate oczy

życia. Dość mamy pięknych słówek i uczciwości. Dość frajerskiej bujdy! Znamy się dobrze na tchórzliwych machlojkach obywateli miast, wiosek i miasteczek! Dość legalnego złodziejstwa, mordów i oszustw pod opieką lub za pomocą prawa. Spójrzcie na nas — złodziejów zawodowych! zbadajcie nasze żelazne prawa, naszą etykę, naszą solidarność, naszą moralność a zobaczycie, że nawet do pięt nam nie dorosliście! Dopiero wśród nas można odetchnąć świeżym powietrzem prawdy, koleżeństwa i odwagi. My za wszystko płacimy, płacimy życiem, wolnością i zdrowiem. Wy wszystko chcecie mieć darmo. My zabieramy bogaczom nadmiar! My wyrrywamy rabusiom część ich łupów. My — wyrzuceni za burtę życia — my wydziedziczeni — życiem swoim i czynami wyrażamy protest przeciwko tym, którzy, korzystając z prawa i ukutych przez nich obyczajów, każą nędzarzom konać z głodu!... My jedynie moglibyśmy stworzyć na ziemi sprawiedliwość. My, nie żadni demokraci, socjaliści, komuniści! Ale my tym się brzydzymy! Nam nie potrzebna władza nad człowiekiem dla sycenia własnych ambicji lub bezpiecznego, łatwego wypychania kieszeni. My umiemy ryzykować i cierpieć. My wiemy całą prawdę o człowieku i o życiu!... My dobrze znamy te kanalie, co wpajając nędzarzom poszanowanie dla swojej własności, sami obdzierają ich ze wszystkiego. Tych co wpręgli dla ochrony swych dóbr naukę, prawo, a nawet religię!... Łotry, podlecy, obłudnicy! Chrystus przecież dla nas przyszedł na świat i zginął też z rąk możnych w towarzystwie rabusiów. To Chrystus powiedział do zbója: „Jutro będziesz ze mną w raj!” powiedział jak do brata, jak równy do

równego. Po prostu fakt mu znany potwierdził. Ani z prawa, ani z lewa Chrystusa nie było uczciwego obywatela, tylko przedstawiciele nasi. Uczciwi, to byli ci co krzyżują każdą śmiałą myśl, każdą nową, ideę, każdy szczerzy odruch serca lub duszy, każdy protest!... Czy prawdę mówię koledzy? — rzekł do łez wzruszony swą mową Obywatel.

— Ty lepiej wypij!! — odezwał się Filip Łysy, szeroko ziewając — wypij i tak dalej — dokończył poważnie.

Nie wydeła ta mowa zdeklasowanego inteligenta żadnej piersi złodziejskiej. Nie zupełnie go nawet zrozumieli. Chyba tylko Jaś wiedział o co chodzi Obywatelowi. I było mu to przyjemne. W pewnej chwili przesiadł się na wolne miejsce obok Obywatela i wypił z nim.

Tymczasem Kazik Morecki, zapewne pobudzony mową Obywatela, powiedział do Glisty.

— Życie dlatego ciekawe, że różne. Ot, ja złodziej, inny robociarz, tamten kupiec, jeszcze jeden święty. To tak jak teren: górka, pole, rzeka, wąwóz, lasek.

— A ludzie chcą go wyrównać i asfaltem zalać. To pięknie! — dorzucił Profesor.

— Życie tasuje ludzi, jak wiatr liście jesienią — rzekł Kazik. — Unosi w górę, rzuca w dół, goni w dal... A ze wszystkiego będzie mierzwa.

— Źle to mówisz — odezwał się Filip. — Tasuje życie ludzi nie jak wiatr liście, a jak szuler karty. Wciąż szwindle robi.

Tymczasem Obywatel wykladał Jasiowi:

— I ja, mój bracie, byłem kiedyś dzeń-tel-mem! — wymówił to jak kro-ko-dy-lem, ze wstrętem i pogardą. — A teraz jestem w waszej chew-

rze... I nie przegrałem. Zrozumiałem, że prawo istnieje na to, żeby syty mógł dalej się obżerać, a etyka po to, aby tego się nie wstydził... Na początku jedna rzecz mnie przeraziła: dlaczego złodziej pogardza uczciwym obywatelem? Potem zrozumiałem, że jeśli uczciwy człowiek pogardza złodziejem, to wszystko w porządku. Wynika to z jego mechanicznego, bezmyślnego ustosunkowania się do życia. Lecz jeśli złodziej pogardza uczciwym człowiekiem, to jest źle: stoimy wobec rzeczy ohydnych. Zacząłem lepiej wam się przyglądać i szukać przyczyny... — Obywatel przerwał i zamyślił się.

— No i cóż: znalazłeś!?! — zainteresował się Kazik, który z boku nasłuchiwał rozmowy Obywatela z Jasiem.

— Znalazłem, bracie — odparł Obywatel smutnie. — Wielka to i ciekawa sprawa, ale podła, aż śmierdzi. Jeśli zechcesz, to ci wyłożę to wszystko, jak na dłoni.

— A ty lepiej wypij — znów przerwał Obywatelowi Filip — bo mnie od tego gadania kiszki się przewracają.

— I ostatnie włosy z głowy wylażą — dodał Kazik Morecki.

Filip pogardliwie ziewnął i nalał do szklanki piwa. Wtem do pokoju wpadła Cypa: była widocznie przestraszona.

— Chłopaki, policja! Prędko zwiewać!

Ktoś zgasił lampę. Błysnęły latarki elektryczne. Kazik Morecki, który od dawna był poszukiwany przez policję za grubsze sprawy, wyjął rewolwer.

Wszyscy po cichu, bez zbyteń pośpiechu, przeszli do jednego z dalszych pokoi; tam odsu-

nięto na bok komodę i otwarto drzwiczki w podłodze. Całe towarzystwo zeszło po drabinie do piwnic. Niektórzy znali już ten „odchód”.

Tymczasem Cypa na górze zamknęła drzwiczki do piwnicy i postawiła na miejsce komodę. Potem udała się do herbaciarni. W korytarzu spotkała się z rewirowym, dwoma policjantami i trzema tajniakami.

— Gdzie masz gości? — zwrócił się do Cypy rewirowy.

— Ja mam gości całe miasto.

— Ty mnie tu nie kręć! — nasrożyła się władza. — Gdzie są złodzieje, którzy przyszli do ciebie wieczorem.

— Ja mam dzieci — odparła Cypa — one się boją złodziei. U mnie są tylko porządni ludzie.

Zaczęto rewizję lokalu. Szukano złodziejów w szafach, szufladach, pod łózkami.

— Tu były ptaszki! — rzekł rewirowy do Cypy — wskazując na zastawiony butelkami i przekąskami stół.

— Pan rewirowy żartuje — mówiła spokojnie Cypa — tu byli bardzo bogaci handlarze. Oni sprzedają krowy, konie, świnie... U mnie każdy pije. Nawet pan komisarz wie, że mój lokal ma najlepszych gości.

Dalszy ciąg rewizji odbył się przy stole, przy którym niedawno siedzieli złodzieje. Cypa dodała wódki, piwa i przekąsek. Po godzinie nowe towarzystwo było dobrze pijane. W pewnej chwili rewirowy, który przypadkiem pił z kieliszka Obywatela, zadzwonił nim o szklanę:

— Piję zdrowie policji mundurowej i tajnej! Zdrowie tych, którzy w obronie mienia i życia oby-

wateli czuwają dniem i nocą, a nieraz giną w walce ze zbrodniarzami na swych posterunkach. Piję zdrowie nas, którzy stanowimy fundamenty prawa i sprawiedliwości.

Toast spełniono z entuzjazmem. Nawet Cypa była zachwycona i brudnym fartuchem wycierała łezkę z kącika prawego oka.

— Ach, jak to pan rewirowy pięknie mówi! Tak pięknie i mądrze, jak sam rabin!

W dwie godziny potem policja opuściła lokal Cypy. Pan rewirowy chował do kieszeni, zaciśnięte w spoconej dłoni banknoty, które mu Cypa przypadkiem w korytarzyku wsunęła w dłoń. Wszystko się skończyło — jak zwykle — pomyślnie, ku ogólnemu zadowoleniu. Tylko Cypa zachodziła w głowę, który z gości skradł jej ze środkowej szuflady komody 15-metrowy odcinek ładnego batystu.

...Chyba nie pan rewirowy!...

Baran od dawna zrozumiał, że Pawka go nie kocha. Widział, że dziewczyna stara się zawsze wyciągnąć od niego jak najwięcej pieniędzy, że jest dla niego miła tylko wówczas, gdy chce aby kupił dla niej coś nowego z ubrania lub biżuterii. Jednak nadal kochał Paulinkę. Kochał pełną, wielką miłością. Olek szukał w swej ukochanej zalet. Wzruszało go wszystko, co świadczyło — niezgodnie z rzeczywistością — o jej trosce o niego. Natomiast Paulinka patrzyła na Olka, jako na dobre źródło dochodów i, w myśl zlecenia matki, starała się jak najwięcej wyzyskać złodzieja. Pewnego razu Baran, nieco podpity po dobrej robocie, dał Paulince w upominku drogą i ładną bransole-

tę. Kochanka zaczęła go całować i dziękować. Olek zmiękł i przytulił do siebie Paulinę.

— Wiesz, co ja myślę — rzekł Baran.

— Mów, mój złoty, Olusiu.

— Myślę ja, czy nie warto założyć naprawdę dobry warsztat szewski. Miałbym kilku czeladników i poszłaby robota. Zarabialibyśmy.

Pawka nagle odtrąciła Barana i rzekła złym podniesionym głosem.

— A jakże! zarobiłbyś na chleb i kartofle! Dość mam tej poniewierki... Ot zima będzie niedługo, a ja nie mam porządnego palta.

— Kupiłem ci przecież futro!

— Futro?!... Takie futro: tfu! Teraz byle lafirynda ma karakuły, a on mnie jakieś marne futerko wytyka... Zabierz sobie!

Możesz na śmietnik wyrzucić! Widzicie go, jaki hojny pan!

Baran sposepniał i milczał. Po paru dniach zamówił Pawci u dobrego krawca palto z łapek karakułowych, lecz od dawna pielęgnowane marzenie o porzuceniu fachu złodziejskiego i, przy pomocy Pawci, „ustatkowaniu się”, rozplynęło się na zawsze. Lecz miłość wrosła w serce i nie nie mogło jej stamtąd wyrwać — chyba śmierć. Natomiast Paulinka nie miała dla Barana, ani krzty uczucia zbliżonego do miłości, bo miłość jej opanował niepodzielnie elegancki, wykształcony, arystokratyczny Toluś. Dziwna rzecz, że Baran zdrowy, silny, czysty mężczyzna, doskonale zbudowany, mający ogromną siłę woli i charakteru, człowiek na którego można było liczyć zawsze, mający dużą wiedzę praktyczną życia i ludzi, i wielką inteligencję — nie porwał sobą Paulinki. Natomiast Toluś,

chuchro, ślamazara, tchórz, nędzny błazen, cuchnący perfumami, lecz brudny z odrazy dla wody, opanował uczucia Pawki i był jej bóstwem. Tymczasem Toluś, korzystając z Pawki, jako kobiety, wyzyskiwał ją i materialnie. Wciąż pożyczał od dziewczyny pieniądze na nieoddane i dopominał się o prezenty.

Pewnego razu Olek kupował dla Pawki u znajomego jubilera, który był jednocześnie paserem lepszych złodziejów, kolczyki. Transakcja odbywała się u jubilera w mieszkaniu. Obejrzeliby sporo wartościowych rzeczy. Gdy kupiono dla Pawki ładne, drogie kolczyki, dziewczyna koniecznie prosiła Olka, aby kupił jej duży, masywny pierścionek z rubinem.

— Po co ci to? — zdziwił się Baran.

— Podoba mi się... Może ojcu dam jak pogodzimy się.

Baran kupił dla Pawki prócz kolczyków i pierścionka z rubinem, ponadto jeszcze dwa pierścionki na jej rękę.

W kilka tygodni później Baran wracając od Stasia Dorożkarza, wstąpił na rogu Ślepiąńskiej i Zacharzewskiej do fryzjerni „Anatol”a. Zamyślony i zmęczony źle przespaną nocą, Olek ciężko usiadł na krześle.

Toluś przy wejściu klienta odłożył na bok książkę o hrabiach i usłużnie zatarł rączki.

— Czym mogę służyć szanownemu panu?

Toluś omal nie dodał „hrabiemu”, lecz się wstrzymał.

— Golenie! — rzucił krótko Baran.

Fryzjer zabrał się do dzieła. Mydlił, golił, cesał, a jednocześnie elokwentnie sypał lawiną

czeczych komunałów i ploteczek. Bawił gościa, który zdecydowanie milczał i drzemał. W pewnej chwili Baran się ożywił. Uwagę jego zwrócił duży pierścień z rubinem, który fryzjer miał na środkowym palcu prawej ręki.

— Ale pierścień, to ma pan piękny! — rzekł Baran.

Toluś szeroko się uśmiechnął, ukazując czarne i żółte pieńki zębów.

— Owszem, owszem... Amatorska rzecz...

— Kupiony, czy pamiątkowy? — niby obojętnie pytał Olek.

— Pamiątkowy, pamiątkowy — uśmiechał się Toluś.

— Pewnie od kobietki — Baran porozumiewawczo zmrużył oko.

— Zgadł pan, zgadł! — żywo potwierdził Toluś. — Lecą na mnie te szmaty, jak pszczoły na miód. I co we mnie widzą, nie wiem.

— Dlaczego — rzekł poważnie Baran. — Taki elegancki mężczyzna każdej w głowie zawróci.

— Chi-chi-chi!... — zapisał Toluś.

— Może pan pozwoli obejrzeć pierścionek.

— Owszem: proszę bardzo!

Toluś podał Baranowi za luźny nawet na średni palec pierścionek. Baran uważnie obejrzał go i był pewien, że to ten sam pierścień, który niedawno kupił na prośbę Paulinki.

..Czyżby Pawcia z takim figusem się puszczała?! — pomyślał Baran.

Dopiero teraz Olek zaczął uważniej obserwować Paulinkę. Przypomniawszy sobie, że Pawcia kilka razy chodziła, pod różnymi pretekstami, nocować do ciotki, do Balów. Teraz mu tamte powody wydały

się podejrzane. Pamiętał dobrze, że po każdym pobycie w gościnie u Balów, Pawcia wracała rozpromieniona i była wówczas szczególnie miła i dobra dla niego. Gdy Olek czasem mówił Pawci, że nie wróci na noc, kochanka zawsze chętnie to przyjmowała. Było jeszcze wiele drobnych spostrzeżeń, które w sumie potwierdzały podejrzenia Barana.

Olek nie powiedział Paulince. Był dla niej nadal uprzejmy, dobry i w niczym nie zmienił trybu swego postępowania z nią. W kilka dni potem Pawcia, przymilając się do Olka, powiedziała:

— Dziś chcę pójść wieczorem do Lidii. Ona mi wykańcza sukienkę. Pójdę po kolacji, żebyś nie był głodny. Dobrze?

— Dobrze.

— Może ja tam i zanocuję. Nie lubię wracać sama do domu. No i zawsze to rodzina... Co nie?... Daj mi trochę pieniędzy, chcę dla nich kupić jakichś ciastek i dla Władka trochę wódki. On taki dobry dla mnie.

— Weź pieniądze, ile ci trzeba.

Olek dał jej pieniądze. Pawcia po kolacji włożyła najlepszą sukienkę i wyglansowała się, jak do wyjścia na miasto w święto. Olek nieco wcześniej powiedział, że wychodzi za swoimi sprawami. Pożegnał ją, mówiąc: „Pozdrów tam wszystkich ode mnie”. Lecz nie poszedł w śródmieście, a w kierunku Komarówki. W pobliżu ulicy Słepiańskiej, obok fryzjerni Tolusia, znalazł wygodny punkt do obserwacji i czekał. W kwadrans potem dostrzegł w półmroku dobrze mu znaną postać. Paulinka szła prędko prawym chodnikiem. Przy wejściu do furtki obok fryzjerni obejrzała

się, lecz nic nie dostrzegła. Weszła na dziedziniec.

Baran prędkim, lecz cichym krokiem fachowego złodzieja zbliżył się do furtki. Słyszał pukanie klamką w drzwi fryzjerni od podwórka. Potem rozległ się przyciszony głos Pawci:

— Otwórz, to ja, Tolusiu!

Drzwi się otwarły i w smudze światła do środka prześlizgnęła się sylwetka Paulinki. Baran długo bezmyślnie stał w otwartej furtce. Potem zawrócił i wolno, wolno poszedł z powrotem.

— Taki już mój los — wyszeptał, wchodząc na dziedziniec swego domu.

Olek zbliżył się do budki Miłego. Pies głucho warcząc wypełził na zewnątrz. Baran głaskał go po głowie. Pies chwycił zębami za rękę i trzymał dość mocno. Nie znał innej odpowiedzi na pieszczoty, a ta była przeznaczona tylko dla Barana.

— Wiesz, Miły, życie to cholera, a ludzie zaraza... Moje życie gorsze od twego... Wiesz?...

Miły wiedział, lecz nie mógł odpowiedzieć.

Baran wszedł do pracowni, usiadł przy warsztacie na zydlu i długo siedział nieruchomo, bezmyślnie patrząc w ciemny kąt pokoj. Po północy, wstał i wyjął z szafy butelkę wódki. Pił kieliszek za kieliszkiem i palił papierosy. Nad ranem znów poszedł do Miłego. Odpiął mu obrożę i przyniósł psa do pracowni. Postawił przed nim na podłodze duży półmisek z cieleciną na zimno.

— Jedz, Miły, na zdrowie!... Ty mój najlepszy druh! Jedz!

I pies, zdziwiony, jadł powoli, obserwując swego pana.

— Wódki bym ci dał mój piesku, ale nie pijesz, szkoda...

I tak siedział do świtu. Wypił już litr wódki, lecz myśli były trzeźwe.

Jaś rano wyszedł na podwórze. Szedł z wiadrem po wodę. Baran wychylił się z okna pracowni i zawołał:

— Wstąp do mnie na chwilę. Mam tu jeden interes.

Jaś spojrzał na Olka i się zaniepokoił. Nigdy nie widział u niego takiego wyrazu twarzy. Chłopiec postawił wiadro na ganeczku i wstąpił do pracowni. Zobaczył na podłodze masę odpadków od papierosów, a na stole, przy którym siedział Baran w rozchełstanej koszuli, z zawiniętymi wysoko rękawami, kilka próżnych flaszek od wódki. Zdumiony patrzył na swego mistrza.

— Co się stało? — zapytał trwożnie.

— Ot wypijmy — odparł Baran, nalewając do szklanek wódki.

— Ja jeszcze na czczo — wzbraniał się chłopiec.

— I ja na czczo... Całą noc myślałem co robić i nic nie wymyśliłem... Może ty będziesz mądrzejszy... Książki różne tam czytasz i uczyłeś się... A ja jak pień głupi.

— O co ci chodzi? — wypytywał Jaś.

— Ty — chłopak rzetelny — rzekł Baran. — Wiem, że dobrze mi życzysz. Mogę ci całą moją biedę wyłożyć, ale pod hajrem, że nikomu nie będziesz o tym trzepał.

I Baran opowiedział Jasiowi cały swój romans z Paulinką i to co zaszło ostatniego wieczoru. Na zakończenie powiedział:

— Ty mnie nie mów, co ja mam dalej robić ze sobą i z Paulinką. Ty mi powiedz, jakbyś postąpił teraz z Pawcią i z tamtym golibrodą?... Jak to załatwiają ludzie mądrzy, o których w książkach piszą?

Jaś się zastanawiał. Czytał sporo o takich sprawach w różnych romansach i powieściach. Wreszcie zaczął mówić:

— Trzeba by tamtego fryzjera wywołać na pojedynek. Rozumiesz?... To jest sprawa honorowa, którą się załatwia w ten sposób. Poślij mu dwóch sekundantów, żeby wyznaczyli rodzaj broni i miejsce spotkania z twoim przeciwnikiem. Następnie...

Baran mu przerwał:

— To do luftu... Będę takiemu pętakowi jeszcze kogoś posyłał!

— To można inaczej — rzekł Jaś — według obyczaju rycerskiego.

— A to jak się robi?

— No rycerz, rozumiesz, jeśli miał do kogoś urazę, to przyjeżdżał albo przychodził do takiego franta i rzucał mu w twarz rękawiczkę. To znaczyło, że wywołuje go do walki na równą broń. I wtedy się bili do pierwszej krwi, albo na śmierć.

— I to do luftu. Będę jeszcze rękawiczki kupował. Śmiechu warte.

— No to rób jak chcesz? Pytałeś mnie, więc ci opowiadam, jak to się załatwia w książkach.

— Wiadomo: frajery! — odburknął Baran.

Niedługo po tej rozmowie Baran się ubrał i poszedł na Komarówkę. Wyglądał jak zwykle. Z wyrazu twarzy i oczu nie można było poznać ile przemyślał i przecierpiał w ciągu nieprzespanej

nocy. Przechodząc obok fryzjerni zobaczył, że drzwi są zamknięte.

...Śpią jeszcze — pomyślał Baran.

Szedł do Balów. W duszy jego jeszcze się tliła drobna iskierka nadziei, że to co widział, jest nieprawdą. Że przyjdzie do Balów i znajdzie tam Paulinkę. Lecz u Balów Paulinki nie było, a z rozmowy — chociaż nie pytał o to wręcz — wywnioskował, że i wczoraj wieczorem tu nie przychodziła.

Baran wracał ulicą Zacharzewską. Drzwi fryzjerni były otwarte. Nad drzwiami wisiał szyld: „Anatol — Fryzjer męski — Onże strzyże i goli owłosienie”.

Olek przeszedł jezdnię i wstąpił do fryzjerni. Toluś coś tam sprzątał: przygotowywał zakład do przyjęcia klientów. Baran usiadł w fotelu.

— Co pan rozkaże?

— Ogól mnie chamie — rzekł krótko Baran.

Toluś zdębiał. Pierwszy raz w życiu klient go tak traktował, lecz posłusznie zabrał się do roboty. Gdy golenie było skończone Baran spytał poważnie:

— Masz rękawiczki?

— Rękawiczki mam... O co chodzi panu... hrabiemu.

— Nareszcie się poznałeś na mnie, draniu! Daj tu rękawiczki.

Toluś pośpiesznie przyniósł z drugiego pokoju i podał Baranowi rękawiczki. Baran wziął jedną z nich i trzasnął nią Tulusia po twarzy. Fryzjer zzieleniał, i omal nie usiadł na podłodze.

— Ależ o co panu chodzi?! Co ja panu hrabiemu zrobiłem?

Baran ujął go lewą dłonią za kołnierz koszuli:

— Ty głosu nie podnoś i nie piszcz, bo cię zabiję! Rozumiesz. Chcesz żyć, to bądź cicho!... Ja ci draniu Paulinkę z głowy wybiję... Zdejmuj ten pierścień alfonsie...

Fryzjer pośpiesznie oddał pierścień Baranowi.

— Ona sama tu przyłazi! — jęczał Toluś. — Panie kochany! Nigdy jej na próg nie puszczę! Odczepić się nie można!

— To ja was odczepię! — odparł Baran.

Po kilku minutach Baran wyszedł z fryzjerni, która wnet po jego odejściu została zamknięta. Trwało to przez wiele dni. Dopóki Toluś nie wygoił sińców i opuchlizny na twarzy.

Paulinka wcześniej wróciła do domu. Była zdumiona stanem warsztatu.

...Pili tu pewnie, cholery! — myślała ze złością. Nie będę sprzątać!

Z łóżka Barana, zachleptując się złością, warczał na nią pies. Paulinka poszła do swego pokoju.

Niedługo potem wrócił Baran. Paulinka zła, nadęta wyszła mu na spotkanie. Baran uważnie jej się przyglądał, stojąc w progu. Zewnętrznie był zupełnie spokojny. Paulinka po chwili wrzasnęła:

— Cóż ty mnie tu burdel urządziłeś! Co? Będę ci tu sprzątać?

Baran zrobił ku niej parę kroków i zaczął się uśmiechać.

— Mówisz: burdel urządziłem?... A może to ty burdel mi tu urządziłaś?

Paulinka zbladła. Zorientowała się, że Baran coś o niej przewąchał, lecz chciała opanować sytuację bezczelnością.

— Ja robię to co mi się podoba, ty złodzieju jeden! Musisz nogi mi całować, że ciebie do kryminału nie wpakowałam. Wiem, jaki z ciebie szewc!

— Ach, to ty z tej beczki zaczynasz! — warknął Baran i skoczył naprzód.

W jednej chwili zakrył Paulince dłonią usta, wykręcił ręce w tył i rzucił ją na łóżko. Wtem Miły rzucił się również na kobietę i wżarł się paszczą w bark jej. Baran porzucił Paulinkę. Chwycił Miłego, oderwał od Pauliny i wyrzucił za drzwi. Paulinkę ogarnęło nagle przerażenie. Nie krzyczała, nie uciekała. Tylko wstała z łóżka i słaniając się podeszła do ściany, szukając ręką z tyłu klamki u drzwi do swego pokoju. Ze zdenerwowania nie mogła jej namacać, a bała się odwrócić plecami do Barana.

Olek blady, zdawało się spokojny, podszedł do niej i ujął za ramię. Poprowadził na środek pokoju. Patrząc jej w oczy, zaczął cicho:

— To mówisz: złodziej jestem!... A wiesz, że złodziejem mnie takie jak ty zrobiły!... Wiesz, że ja dla ciebie kradnę!... Policją mnie grozisz!... Mądrze to obmyśliłaś... Mądrze!...

Cofając się Baran chwycił prawą ręką z warsztatu ostry szewski nóż. Oczy Paulinki rozszerzyło przerażenie, wargi się zrobiły białe... Wolną, lewą ręką zakrywała to pierś, to gardło... Głos przeszedł w chrapliwy szept:

— Olusiu!... Olku kochany!... Bój się Boga!... Olku!... Nigdy nie...

Baran jej przerwał:

— Tobie mało złota i dobrego życia!... Mało... Wszystko dla ciebie... Wszystko... To masz jeszcze moją krew!... Masz!... Pij!...

Baran puścił Paulinkę, która słaniając się za-

kryła twarz rękami i wbił nóż sobie głęboko w mięśnie koło lewego łokcia. Trysnęła krew.

— Masz!... Pij... — mówił Baran, trzymając prawą dłoń Paulinkę za szyję, a tryskającą krwią ranę przyciskając jej do ust.

Paulinka zemdląła.

Na ganku Miły drapał pazurami drzwi i wył.

W mieszkaniu Nacewiczów Helka siedziała przed lustrem i czesząc włosy śpiewała:

Ej, jabłuszko: serce boli!

— Miesiąc jestem na wolności

A lata w niewoli!

Dalszy ciąg w powieści „Spojrzę ja w okno...”.



DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ NAKŁADEM

INSTYTUTU LITERACKIEGO

W RZYMIE NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

HENRYK SIENKIEWICZ: *Legiony.*

ADAM MICKIEWICZ: *Księgi Narodu Polskiego i
Pielgrzymstwa Polskiego.*

STANISŁAWA KUSZELEWSKA: *Kobiety.*

PAWEŁ HOSTOWIEC: *Dziennik podróży do Austrii
i Niemiec.*

STANISŁAW SZPOTAŃSKI: *Prometeusz.*

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI: *Miasto mojej
matki.*

ANDRZEJ STRUG: *Dzieje jednego pocisku.*

SERGIUSZ PIASECKI: *Jabluszk.*

WŁ. REYMONT: *Rok 1794 (Trylogia).*

ANDRZEJ STRUG: *Mogiła nieznanego żołnierza.*

W DRUKU:

LEON BLUM: *Na poziomie człowieczeństwa.*

WACŁAW SIEROSZEWSKI: *Beniowski.*

DR. TADEUSZ FELSZTYN: *Energia Atomowa.*

asa Editrice
Roma